



***Sherryl Woods***



***CZAS NADZIEI***

Tytuł oryginału: Welcome to Serenity



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Jeanette Brioche rozsmarowała krem na dłoniach, lecz nawet miły lawendowy zapach nie zdołał ukoić napiętych nerwów. Parę godzin temu jej szefowa i współwłaścicielka klubu fitness, Maddie Maddox, zaprosiła ją do siebie na rozmowę. Miała zgłosić się do niej o szóstej, gdy skończy ostatni zabieg. Maddie nie powiedziała, czego ma dotyczyć spotkanie, lecz jej mina nie wróżyła niczego dobrego. Na pewno nie zanosilo się na naprędcie organizowane przyjęcie, w czym Maddie i jej przyjaciółki, Dana Sue i Helen, były nieprześcignione.

Denerwowała się czekającą ją rozmową. Wolala mieć to jak najszybciej za sobą, więc gdy tylko pożegnała ostatnią klientkę, z duszą na ramieniu ruszyła do gabinetu szefowej.

Drzwi były uchylone. Jeanette zapukała, weszła do środka i zatrzymała się zaskoczona. Maddie, potargana i w rozchełstanej, poplamionej mlekiem bluzce, próbowała nakarmić półrocznego Cole'a, a dwuletnia Jessica Lynn buszowała po pokoju, z dziką radością zrzucając na podłogę wszystko, co znalazło się w zasięgu jej rączek. Papiery i segregatory poniewierały się na ziemi, dokładnie przemieszane z próbkami od dostawców.

- Pomóż mi! - błagalnie zawołała Maddie. Jeanette pochwyciła na ręce umykającą dziewczynkę i zaczęła ją łaskotać. Mała zaniosiła się śmiechem.

- Ciężki dzień, co? - zagaiła Jeanette, odprężając się nieco. Jessica Lynn delikatnie poklepywała ją po twarzy rączkami lepкими od różanego kremu. Im częściej Jeanette miała okazję stykać się z dziećmi Maddie czy córeczką Helen, tym wyraźniej uzmysławiała sobie, że jej zegar biologiczny tyka coraz głośniej. Zapach niemowlęcego talku zaczął mocniej do niej przemawiać niż ziołowe kompozycje do aromaterapii.

- Żeby tylko dzień - z westchnieniem wyznała Maddie. - Tydzień, a nawet miesiąc...

Miała prawo czuć się zmęczona. Oprócz tych maluchów miała trójkę dzieci z pierwszego małżeństwa. Tyler był na drugim roku studiów, Kyle, który wreszcie otrząsnął się z szoku po odejściu ojca i rozwodzie rodziców, chodził do liceum, Katie właśnie skończyła dziewięć lat i wciąż chciała się czuć oczkiem w głowie, a nie starszą siostrą.

Maddie zarządzała klubem spa odwiedzanym przez mieszkanki Serenity w Karolinie Południowej i panie z sąsiednich miejscowości. Zwykle radziła sobie doskonale, ale dziś wyraźnie była nie w formie.

- Cał powinien być lada moment i zabierze dzieci - powiedziała. - Wtedy będziemy mogli w spokoju pogadać.

W tej samej chwili na progu stanął jej mąż. Szybko ocenił sytuację i z uśmiechem wziął od Jeanette córeczkę.

- Jak się ma moja ulubiona dziewczynka? - Podrzucił córkę, obdarzając ją głośnym buziakiem. Dziewczynka zachichotała radośnie.

- Myślałam, że to ja jestem twoją ulubioną dziewczynką - burknęła Maddie.

Cał postawił małą i pocałował żonę.

- Ty jesteś moją ulubioną kobietką, a to zupełnie co innego.

Jeanette patrzyła z zazdrością, jak Maddie przesuwa dłonią po jego policzku. Wpatrywali się w siebie, jakby poza nimi na świecie nie było nikogo innego. Dana Sue i Ronnie Sullivanowie, Helen Decatur i Erik Whitney też byli na zabój w sobie zakochani. Jeanette przez swoje trzydzieści dwa lata życia nie zetknęła się z tak wspaniałymi uczuciami i tak niezwykłymi, w najlepszym tego słowa znaczeniu, ludźmi. Nic dziwnego, że

ilekroć była świadkiem ich miłości, przepelniała ją tęsknota, by zaznać tego samego i wreszcie nadać swojej egzystencji najgłębszą treść.

Widok tych szczęśliwych par napawał ją jednocześnie nadzieją. Trzy lata temu zerwała z partnerem, uznała bowiem, że tak będzie dla niej zdecydowanie lepiej i sensowniej, i od tamtej pory była sama. Jednak przykład ludzi, którzy ją otaczali, krzepił i nie pozwalał się załamać. Może przyjdzie czas, że i ona znajdzie swoją połowę.

Maddie oderwała wzrok od Cala.

- Weźmiesz tych urwisów, żebyśmy mogły porozmawiać z Jeanette jak ludzie?

- Jasne. - Włożył synka do wózka, a córeczkę wziął na ręce. - Może po drodze złapać coś do jedzenia w „Sullivan's”?

- Już do nich dzwoniłam. Zajrzyj od kuchni, a Dana Sue lub Erik podadzą ci paczkę.

- Super. - Cal zasalutował z uśmiechem. - To do zobaczenia. Miłego wieczoru, Jeanette. Nie daj się jej w nic zrobić.

- Zmykaj! - Maddie wypchnęła go za drzwi.

Jeanette popatrzyła na nią czujnie.

- W co chcesz mnie zrobić?

- Och, nie słuchaj go - próbowała ją zbyć, ale minę miała nietęgą. - To nic takiego.

Czyli wręcz przeciwnie, pomyślała Jeanette. Przez tych kilka lat zdążyła dobrze poznać szefową. Pracowały razem od początku. Teraz klub kwitł, wszystko szło jak w zegarku. Maddie świetnie sobie radziła, doskonale dogadywała się z ludźmi, do każdego umiała dotrzeć i odpowiednio zmotywować. Jednak Jeanette tyle już razy widziała ją w akcji, że wiedziała, co oznacza ten bagatelizujący ton. Stała się bardzo czujna.

- Mów, o co chodzi.

- Jest taka ładna pogoda, to może wyjdziemy na dwór, zamiast siedzieć tutaj - zaproponowała Maddie, wychodząc z gabinetu i kierując się do klubowego barku. - Weźmiemy sobie mrożonej herbaty i pójdziemy na patio.

Usiadły w cieniu wielkiego dębu. Maddie upiła łyk i uśmiechnęła się do Jeanette.

- Jak idzie biznes?

Tak zagadnięta pracownica omal nie roześmiała się w głos.

- Przecież sama wiesz to najlepiej. Co się dzieje, Maddie? Wyduś wreszcie, przestań bawić się w podchody.

Ofuknięta tymi słowy szefowa odstawiła szklanekę i pochyliła się ku Jeanette.

- Wiesz, że ostatnio mam mnóstwo roboty, prawda?

- Oczywiście, i nie tylko ostatnio... Zaraz... - Aż zaniemówiła na moment, tknięta okropną myślą. - Chyba nie zamierzasz odejść?!

- Nie, skądże. Zależy mi na klubie co najmniej tak samo jak Helen i Danie Sue. Jestem dumna z tego, czego dokonałyśmy, razem z tobą, rzecz jasna. Wspaniale rozkręciłaś spa, mamy imponującą ofertę zabiegów. W żadnym razie nie zamierzam się wycofywać.

- Bogu dzięki - odetchnęła z ulgą Jeanette. Kierowała klubem, gdy Maddie była na urloпах macierzyńskich, i szło jej całkiem nieźle, ale nie spełniała się jako menadżer. Jej powołaniem była odnowa biologiczna i na tym polu czuła się najlepiej, podobnie jak inni fachowcy zatrudnieni w klubie, tak staranie dobrani przez właścicielki. Gimnastyka, siłownia, zabiegi pielęgnacyjne i nieustanny kontakt z klientkami to zupełnie coś innego niż papierkowa robota i marketing. Owszem, przymuszona

okolicznościami Jeanette dobrze sobie radziła i w tej roli, lecz traktowała to jak zesłanie, i to w sensie dosłownym. Kiedy musiała kierować klubem, podobnie jak Maddie rzadko kiedy wyściubiła nos z biura, bo taki był charakter tej pracy.

- No dobrze. Rzecz w tym, że mam teraz mnóstwo zajęć z maluchami, a Kyle i Katie też mnie absorbują. No i wciąż jesteśmy z Calem młodym małżeństwem. - Uśmiechnęła się. - W każdym razie tak się przy nim czuję.

- Co widać - mruknęła Jeanette z uśmiechem.

- Krótko mówiąc, nie mam chwili wolnego czasu.

- Rozumiem - powiedziała ostrożnie.

- Nasz klub jest jednym z najprężniejszych, najszybciej rozwijających się interesów w Serenity. To nakłada na nas pewne zobowiązania. Powinniśmy poczuwać się do roli lokalnych liderów.

- I już nimi jesteśmy - stwierdziła zgodnie z prawdą Jeanette.

- No właśnie. A to znaczy, że ktoś z nas powinien jeszcze intensywniej zaangażować się w życie miasteczka. Wsparcie finansowe czy udział w imprezach to zbyt mało - powiedziała, patrząc na Jeanette żarliwie. - Musimy bardziej się włączyć, wejść do komitetów organizujących różne imprezy czy ważne społecznie akcje.

Jeanette szeroko otworzyła oczy. Coś zaczynało jej świtać.

- Nie - wydusiła przez zaciśnięte gardło. - Nie proponujesz mi tego...

- Nie wiem, o czym mówisz. - Maddie zrobiła minę niewiniątka. - Co masz na myśli?

- Boże Narodzenie - wykrztusiła.

Okres Bożego Narodzenia był dla Serenity czasem radosnego świętowania. Ludzie prześcigali się w dekorowaniu domostw i ogrodów, rozbrzmiewały kolędy, występowały miejscowe chóry, szykowano słodyczne

i drobne prezenty dla wszystkich dzieci, urządzano przyjazd Świętego Mikołaja.

Jednak dla Jeanette od lat nie był to czas wesela i bratania się z ludźmi. Zwykle brała wolne, zamykała się w domu i w samotności oglądała filmy, których nie zdążyła zobaczyć przez cały rok.

- Nie ma mowy. Nie mam zamiaru się w to pakować.

- Jeanette, nie mów tak - błagała Maddie. - To nie będzie aż tak męczące. Kilka spotkań, by ustalić szczegóły, a potem dopilnowanie, czy wszystko gra. Mieszkasz tu już trochę i doskonale wiesz, o co chodzi. A jesteś jedną z najlepiej zorganizowanych osób, jakie znam.

- I ostatnią osobą, która chce tym się zająć - odparowała. - Proszę, nie wrabiaj mnie w coś takiego. Gdyby to ode mnie zależało, odwołałbym te całe święta.

Maddie zrobiła wielkie oczy.

- Dlaczego? Nie lubisz świąt Bożego Narodzenia?

- Nie lubię, i na tym zakończmy ten temat, dobrze? Nie mogę się tego podjąć. Wszystko, tylko nie to. Mogę posiedzieć z twoimi dziećmi, zgodzić się na dodatkowe prace w klubie, co zechcesz, za nic jednak nie włączę się w obchodzenie świąt.

- Ale...

- Nie zrobię tego. I kropka.

Podniosła się i odeszła, zostawiając szefową z buzią otwartą ze zdumienia.

Tom McDonald od godziny i kwadransa sprawował funkcję dyrektora zarządu miasta Serenity, gdy do jego gabinetu wkroczył burmistrz Howard Lewis, klapnął w fotelu i oznajmił:

- Porozmawiajmy o świętach Bożego Narodzenia.



Tom nie okazał zainteresowania, mając nadzieję, że w ten sposób zdusi temat w zarodku.

- Nie uważasz, że powinniśmy skoncentrować się raczej na założeniach do budżetu? Niedługo zbiera się rada miejska, żeby go przegłosować. Trzeba ustalić priorytety, wybrać najważniejsze sprawy.

- Zaraz ci powiem, co jest naszym priorytetem.

- Howard jak zwykle wiedział najlepiej i nie zamierzał nikogo słuchać.

- Boże Narodzenie. W Serenity traktujemy je bardzo poważnie i obchodzimy z pompą. Już musisz zacząć działać, by ze wszystkim zdążyć. Trzeba zwrócić się do izby handlowej i do naszych przedsiębiorców. Podrzucę ci kilka nazwisk.

- Aha, no tak... - Tom gorączkowo szukał słów, by zrećcznie się wykręcić.

Howard popatrzył na niego przenikliwie.

- Myślę, że w tym roku moglibyśmy pokusić się o nowe dekoracje, bo przybyło nam trochę firm w centrum. Może takie migoczące płatki śniegu?

I wiesz, byłoby nieźle, gdybyśmy urządzili obchody na głównym placu, tak jak kiedyś. Park nie jest złym miejscem, jednak tradycja to tradycja, nie sądzisz?

- Nowe dekoracje są ujęte w bieżącym budżecie? - zapytał o całkiem istotny konkret, by nie wyrażać swego stosunku do świąt.

- Wątpię. - Howard wzruszył ramionami. - Tym się jednak nie przejmuj, bo zawsze są jakieś rezerwy i w razie pilnej potrzeby można je uruchomić.

- Zakup płatków śniegu raczej trudno uznać za pilną potrzebę - zareplikował Tom, zastanawiając się w duchu, ile takich dyskusji czeka go w czasie jego kadencji w Serenity. To może być naprawdę męczące.



Burmistrz zbył jego obiekcje machnięciem ręki.

- Znajdziesz jakiś sposób, wierzę w ciebie. Najważniejsze, żeby już się zabrać do przygotowań.

- Howard, mamy dopiero wrzesień - przypomniał coraz bardziej spięty.

- Potrzeba czasu, by wszystko zorganizować, zwłaszcza że będą to robić ochotnicy. Z pewnością doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. W CV wymieniłeś swoje osiągnięcia organizacyjne. Teraz masz świetną okazję, by wykorzystać tę wiedzę.

- Skoro jesteś tak bardzo zainteresowany tym projektem, może powinieneś sam go poprowadzić - zasugerował z desperacją.

Jeszcze chwila, a zacznie wyc złości... albo urwie się na drinka. Ale cóż, po prostu nie znosił świąt. W jego rodzinnym domu przygotowania zaczynały się niewiele później. Tuż po Święcie Dziękczynienia, gdy rozpoczynał się sezon imprez, zawodowi dekoratorzy aranżowali wnętrza domu, by wyglądały jak z kart ilustrowanych magazynów. Boże broń, by on czy jego siostry spróbowali rozpakować któryś z artystycznie ułożonych prezentów piętujących się pod kapiącymi ozdobami choinkami. W większości były to pięknie opakowane puste pudełka. Wszystko na pokaz. Jak wiele rzeczy w tym domu.

Widział, że burmistrz przygląda mu się zwięzonymi oczami.

- Masz coś przeciwko świętom? - zapytał.

- Pod względem religijnym absolutnie nic - zapewnił pośpiesznie. - Tylko uważam, że dogłądanie tych przygotowań i prac związanych z udekorowaniem miasta trochę mija się z zadaniami, które przede mną stoją. Mógłbym efektywniej- wykorzystać czas. Jest jeszcze kwestia rozdziału Kościoła od państwa i tego typu problemy. Powinniśmy być ostrożni. Coraz częściej takie inicjatywy kończą się w sądzie. Na przykład przed rokiem w

Idaho - improwizował - a może w Utah... nieważne, w każdym razie wytoczono sprawę...

- Bzdura! - przerwał mu Howard. - Zapominasz, gdzie jesteśmy.

- Nie rozumiem...

- Jesteśmy w Serenity. To prawda, szanujemy naszą konstytucję, ale zarazem nikt nie ma nic przeciwko uroczystemu obchodzeniu Bożego Narodzenia. Wszystko jest więc zgodne z zasadami demokracji, bo nikt nie poczuje się pokrzywdzony, dyskryminowany czy poddany religijnej indoktrynacji za publiczne pieniądze - stwierdził z mocą burmistrz i podniósł się. - Chcę dostać dokładne sprawozdanie z podjętych prac. Przed następnym zebraniem rady w przyszły czwartek. Jasne?

Tom najchętniej zamknąłby oczy i modlił się o cierpliwość. Ledwie się powstrzymał, by tego nie zrobić.

- Jasne - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Cóż, jego kariera w Serenity pięknie się zaczęła.

Gdyby lubiła sobie wypić, poszłaby prosto do baru, lecz zamiast tego wylądowała w restauracji Dany Sue i zamówiła podwójną porcję jabłkowego puddingu. To zamówienie - a może jej podły nastrój, który nie uszedł uwagi kelnerki - wywołało niezamierzony efekt.

Dana Sue, właścicielka restauracji i współwłaścicielka klubu spa, osobiście przyniosła deser i usiadła na wprost Jeanette.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem. Jeanette skrzywiła się. Nie powinna była tutaj przychodzić. Słodkie Magnolie, jak od lat nazywano Maddie, Danę Sue i Helen, miały wyjątkową intuicję, a w dodatku uwielbiały się mieszać w sprawy innych ludzi.

- Dlaczego uważasz, że coś się stało? - zapytała, sięgając po pudding.

- Zwykle nie zamawiasz deserów, tym bardziej podwójnej porcji. No i twoja mina mówi sama za siebie. - Dana Sue mierzyła ją badawczym spojrzeniem. - Maddie zadzwoniła po twoim wyjściu, powiedziała, że zdenerwowałaś się rozmową i pewnie przyjdiesz tu szukać pocieszenia.

- Czy wy naprawdę o wszystkim sobie opowiadacie? -z irytacją spytała Jeanette, nabierając łyżeczkę cynamonowych lodów roztopiających się na puddingu. To połączenie smaków było rewelacyjne. Lecz co z tego, skoro była w takim nastroju, że nic jej nie cieszyło.

- Oczywiście, że nie - zapewniła Dana Sue. - Każda z nas ma swoje tajemnice, ale śpieszymy sobie z pomocą, gdy któraś potrzebuje wsparcia. Jesteś jedną z nas, przecież wiesz.

- Nie, nie jestem - zaprzeczyła, choć oczy jej się zamgliły. - Nie pochodzę stąd. Wy znacie się od małego, zawsze byliście razem. Ja jestem tu obca.

- Nie opowiadaj głupstw. To my ustaliśmy reguły. Jesteś jedną z nas i basta. Dlatego martwimy się o ciebie i wtrącamy się w twoje sprawy. Mów, co zaszło.

- Nie powiedziała ci?

- Wspomniała jedynie, że poszło o Boże Narodzenie, a ja nic z tego nie chwytam. Wpadać w irytację z powodu świąt? To niedorzeczne, chyba że ktoś czeka z kupnem prezentów do Wigilii i lata jak zaspany pies od sklepu do sklepu. Jednak mamy dopiero wrzesień, więc nie o to chodzi.

Najchętniej zaprzestałaby tej rozmowy, lecz czuła, że Dana Sue łatwo nie ustąpi. Westchnęła z rezygnacją.

- Prosiła, żebym weszła do komitetu przygotowującego obchody Bożego Narodzenia.

- Aha - wolno powiedziała Dana Sue. - Jaki z tym problem? Nie masz czasu?

- Znalazłabym czas, gdybym chciała - powiedziała z niechęcią. - Ale nie chcę.

- Dlaczego?

- Bo nie. Czy to nie wystarczy? - Chyba zjadła za dużo tego puddingu, bo zaczynało się jej robić niedobrze.

- Jeśli masz takie opory, to Maddie na pewno nie będzie cię zmuszać - pocieszyła ją Dana Sue. - Ale może powinnaś wyjaśnić jej powód.

Jeanette pokręciła głową. Nie chciała wracać do bolesnych wspomnień, a tak by się stało.

- Nie zamierzam rozmawiać na ten temat. Możemy na tym zakończyć? Dana Sue popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Wiesz, że Maddie jest jak kwoka. Będzie się zamartwiała, póki nie wyciśnie z ciebie prawdy. Posłuchaj dobrej rady i powiedz jej, o co chodzi. Wtedy będziesz to miała z głowy, bo w innym razie...

- Nie - odparła bezbarwnym tonem. - Zatrudniłyście mnie do pracy w spa, natomiast o angażowaniu się w przygotowanie świąt w ogóle nie było mowy. Jeśli robi się z tego taki problem, to może Serenity nie jest dla mnie.

- Nie wygłupiaj się! - zawołała wystraszona nie na żarty Dana Sue. - Oczywiście, że tu jest twoje miejsce. Jesteś dla nas jak siostra. Maddie wynajdzie kogoś innego, jeśli tak się opierasz. Może Elliott by się w to włączył? Albo ktoś inny z pracowników?

Jeanette wreszcie się rozpogodziła.

- Elliott byłby świetny. Odkąd związał się z Karen, nie przepuści żadnego święta. - Zapalała się do tego pomysłu coraz bardziej. - Jest niesamowicie wysportowany, więc może skakać po drabinach i wieszać te

wszystkie świąteczne ozdóbki. A i na nim samym przyjemnie zawiesić oko, więc wszystkie babki na ochotnika zgłoszą się do pomocy.

- Racja. Nie zapomnij powiedzieć tego Maddie - rzekła z uśmiechem. - Może zjesz coś na kolację? Polecam suma, jest naprawdę pyszny.

Jeanette odsunęła talerz.

- Nie, nie. Już się strasznie najadłam.

- Czujesz się lepiej?

- O sto procent. Dzięki. Dana Sue zaczęła się podnosić.

- Nim podejmiesz ostateczną decyzję, rozważ coś jeszcze. Komitetem będzie kierować nowy dyrektor zarządu miasta. Był tu wczoraj z burmistrzem na kolacji. Mówię ci, prawdziwe z niego ciacho. - Uśmiechnęła się. - I podobno jest wolny.

Jeanette popatrzyła na nią zwięzonymi oczami.

- A więc o to chodziło... Próbujecie mnie swatać?!

- W życiu - zaprzeczyła z niewinną miną. - Powtarzam tylko, co słyszałam, żebyś mogła świadomie podjąć decyzję.

- Już to zrobiłam - oznajmiła stanowczo. - Nie szukam faceta. To jeszcze jeden powód, bym się wycofała.

Dana Sue uśmiechnęła się znacząco.

- Dokładnie tak samo mówiła Maddie, a wkrótce potem wyszła za Cala. Helen opierała się jeszcze bardziej, nim poślubiła Erika. Ja też powtarzałam, że nie wyjdę ponownie za Ronniego. I zobacz, co się porobiło.

Jeanette pobladła.

- Ale ja mówię poważnie.

- My też tak mówiłyśmy - odparowała ze śmiechem. - My też.

Jeanette milczała. Popęłniała w życiu kilka pomyłek, ale od dawna była sama i to jej odpowiadało. Nawet bardzo. Owszem, może i zazdrościła

Maddie, Danie Sue i Helen, lecz zdawała sobie sprawę, że tacy mężczyźni jak ich mężowie to wymierający gatunek. Ze świecą szukać podobnych.

- Nie wtrącajcie się w moje prywatne życie. - Zmierzyła Danę Sue ostrym spojrzeniem.

- Nie wiedziałam, że takie masz.

- No właśnie. I tak ma zostać.

- Zobaczymy - mruknęła Dana Sue, a potem poszła sobie.

Jeanette odprowadzała ją wzrokiem. Nie widziała jej twarzy, lecz domyślała się miny. Może powinna przestawić się na popijanie margarity, jak Słodkie Magnolie. Wtedy przy kolejnym kryzysie pójdzie prosto do baru zamiast narażać się na wścibstwo i dobre rady.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Tom wyszedł z pracy i ruszył do pensjonatu. Wciąż gotował się po rozmowie z burmistrzem, a perspektywa długiego wieczoru w hotelowym pokoju też nie poprawiała mu humoru. Najchętniej zmęczyłby się solidnie, ostro poćwiczył. Forsowny wysiłek, tego właśnie potrzebował.

Zapytał w recepcji, czy w miasteczku jest jakiś klub sportowy lub siłownia.

- Hm, jest siłownia Dextera, ale od razu uprzedzam, że to nie jest szczególnie przyjemne miejsce - odparła Maybelle Hawkins. - Sprzęt jest podobno niezły, lecz od trzydziestu lat niewiele się tam zmieniło. Co najwyżej salę odmalowano raz czy dwa.

Panom to nie przeszkadza, ale kobiety wciąż się krzywiły.

- Czy to jedyne miejsce? W lokalnym piśmie czytałem o klubie spa. Maybelle aż się rozpromieniła.

- Och, to zupełnie inna bajka. Wystarczy wejść, a od razu człowiek czuje się lepiej. Mieści się w starym wiktoriańskim budynku na rogu Main Street i Palmetto Lane. Właścicielki dokonały cudu, bo dom był w ruinie, a dzięki nim odżył. Nie ćwiczyłam na maszynach, ale zafundowałam sobie zabieg na twarz i błotną kąpiel. Rewelacja! W życiu nie czułam się lepiej.

- Czegoś takiego szukam. - Pamiętał, że autor artykułu też wychwalał klub pod niebiosa.

- Nic z tego, może pan tylko sobie pomarzyć. - W oczach Maybelle ujrzał triumfujący błysk.

- Nie rozumiem...

- To klub wyłącznie dla pań. Przez lata błagały Dextera, by zmodernizował siłownię. Teraz już nie muszą, bo mają swoją.



- Tylko dla kobiet? - Poczłł gniew. - To jawna dyskryminacja! Nikt ich nie oskarzył?

- Niby z jakiej racji? Mężczyźni też mają swoje kluby, i to od lat. Wreszcie kilka pań zebrało się i otworzyło miejsce tylko dla kobiet, a pan chce je ścigać? Też coś!

Tom skrzywił się. Jego ojciec należał do kilku klubów wyłącznie dla mężczyzn. Ale to poboczny temat.

- Na pewno pani wie, że to nie jest w porządku, a najpewniej też niezgodne z prawem. - Musi przejrzeć przepisy, zajrzeć do kodeksów nabytych przez ojca w nadziei, że syn kiedyś zmadrzeje i otworzy własną kancelarię.

Starsza pani wcale się nie przejęła.

- Może pan wystąpić z takim zarzutem, ale ostrzegam, że jedną z właścicielek jest Helen Decatur, najlepsza prawniczka nie tylko w Serenity, ale i w całej Karolinie Południowej - stwierdziła z niezachwianą wiarą w swoje słowa. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie wystąpi przeciwko niej.

Tom powoli pokiwał głową. Może właśnie tą sprawą powinien się zająć, zamiast zżymać się przeciwko burmistrzowi, z którym na pewno nie wygra.

Choć może to nie jest najszcześniejszy pomysł. Atak na znaną prawniczkę, a jednocześnie współwłaścicielkę klubu, może oznaczać początek końca jego kariery w Serenity. Musi to sobie dobrze przemyśleć.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się do Maybelle. Przebrał się w dzinsy, starą bawełnianą bluzę z logo uniwersytetu i tenisówki, a potem szybkim krokiem ruszył w stronę centrum. Pewnie wylądje u Dextera, ale najpierw zerknie na to szpanerskie spa.

Kilka razy pomylił drogę, ale w końcu trafił. Stary dom spodobał mu się od razu. Miał klasę i sprawiał miłe wrażenie.

Wszedł na werandę i zerknął przez okno do środka. Sprzęt rzeczywiście był z najwyższej półki. Kilkanaście kobiet ćwiczyło na bieżniach i rowerach eliptycznych. Ujrzał też kilku panów. Może Maybelle nie miała dokładnych informacji? Z tą nadzieją już miał nacisnąć klamkę, gdy tuż za sobą usłyszał szybkie kroki.

- Mogę w czymś pomóc? - rozległ się damski głos o śpiewnym południowym brzmieniu, choć pytanie zostało zadane raczej ostro.

Odwrócił się. Tuż przed nim stała szczupła kobieta o krótkich ciemnych włosach i wielkich ciemnych oczach. Gdyby nie ten śpiewny ton, wziąłby ją za Europejkę. Jej strój, choć zwyczajny, a mianowicie dzinsy i T-shirt, miał w sobie coś kojarzącego się z Francją, może przez apaszkę artystycznie omotaną wokół szyi czy buty podobne do baletek. Takie wrodzone wyczucie stylu widział u paryżanek, gdy po studiach spędzał wakacje w tym cudownym mieście. Po tamtych dniach - i kobietach - pozostały mu piękne wspomnienia.

- To zależy. - Uśmiechnął się, by ją oczarować. - Ma pani tu jakieś chody?

- Nie jestem jedną z właścicielek, jeśli do tego pan zmierza. Z dostawcami kontaktuje się Maddie. Mogę dać panu jej wizytówkę.

- Nie jestem dostawcą. Chciałbym się zapisać.

- Przykro mi, ale tu wstęp mają tylko panie.

- Widziałem w środku kilku mężczyzn - zaproponował.

- To instruktorzy. Jedyni mężczyźni, których wpuszczamy w czasie godzin pracy. Chętnie podam panu namiary do siłowni Dextera, jeśli nie wie pan, gdzie się mieści.

- Znajdę ją - odparł cierpko. - Zdaje sobie pani sprawę, że taki zakaz jest niezgodny z prawem?

Wcale jej to nie poruszyło.

- Bardzo w to wątpię - powiedziała wyraźnie rozbawiona. - Dam głowę, że Helen Decatur, jedna ze wspólniczek, dokładnie to sprawdziła, gdy zakładały klub. Życzy pan sobie jej wizytówkę? - spytała z nadzwyczajną wprost uprzejmością.

Tom spojrział zaś przeciągle na nią, jawnie przesunął wzrokiem od góry do dołu i od dołu do góry, by ją zdekoncentrować, speszyć, zbić z pantałyku.

- A kiedy zaproponuje mi pani swoją wizytówkę?

- Nie zrobię tego, chyba że rozprowadza pan kremy kosmetyczne, produkty do aromaterapii i tego typu rzeczy. Jednak już ustaliliśmy, że się pan tym nie zajmuje.

No i się doigrał, bo sam poczuł się zirytowany jej triumfującym tonem i ironicznym, pobłażliwym spojrzeniem, lecz nie pokazał tego po sobie.

- To wielka szkoda, prawda? Może znajdziemy jakąś inną wspólną płaszczyznę?

Przestała się uśmiechać.

- Nie wydaje mi się - odparła chłodno. - Miłego wieczoru.

Weszła do środka, zamykając mu drzwi przed nosem. Był pewien, że gdyby już było po godzinach pracy, przekreśliłaby klucz.

Już nie był zirytowany, tylko po prostu stał nieruchomo, zafascynowany tą niesamowitą, zadziorną kobietą. A przy tym czuł się tak, jakby znalazł się w zupełnie innym świecie. Przyszły spadkobierca fortuny McDonalldów rzadko spotykał się z odmową czy odrzuceniem, a już na pewno nie ze strony wyższych sfer rodzinnego Charlestonu. W każdym

razie wiedział na pewno, że mimo całej fascynacji tą niezwykłą kobietą, cały incydent z pewnością nie był przyjemny. A jeśli dodać do tego przeprawę z burmistrzem...

Ojciec z miejsca by podsumował, że sam sobie na to zapracował, wybierając własną drogę kariery, zamiast podążać tą, którą on mu wyznaczył. Wyobraził sobie jego zadowoloną minę i wyprostował się dumnie. Nie podda się, nic z tego. Musi udowodnić kilka rzeczy nie tylko ojcu, ale również sobie.

Przyjechał do Serenity, bo leżało mu na sercu dobro takich miasteczek. Był przekonany, że jego wiedza i zdobyte przez lata umiejętności bardzo się tu przydadzą. Poradzi sobie z wojującym burmistrzem i na pewno jakoś przeżyje niechęć okazaną mu przez tę frapującą kobietę.

Jeszcze raz tęsknie zerknął na siłownię. Cóż, daruje sobie salę Dextera. Ruszył truchtem do pensjonatu.

Jeanette zaszyła się w swoim pokoju i zaczęła nadganiać papierkową robotę. Nie cierpiała tego, lecz pora na to właśnie nastąpiła.

Niestety zupełnie nie potrafiła się skupić. Mimowolnie wracała myślami do niedawnego spotkania. Niech no ten koleś spróbuje podskoczyć Helen! Uśmiechnęła się na tę myśl. Był taki pewny swych racji. Już Helen ostro go przeczłga!

Dawno skreśliła mężczyzn ze swego życia, jednak nawet tych kilka minut w towarzystwie przystojnego faceta, patrzącego na nią z wyraźnym zainteresowaniem, dobrze na nią podziałało. Już dawno nie była w takiej sytuacji. I dawno nie była taka poruszona.

Co oczywiście niczego nie zmienia, upomniała się w duchu, z determinacją pochylając się nad papierami.

Skończyła sprawozdanie za sierpień, gdy ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł Elliott. Czarnowłosy, smagły, wspaniale umięśniony, był chodzącą reklamą klubu. A także świetnym facetem. Pochodził z dużej, zżytej rodziny, związał się z Karen samotnie wychowującą dwójkę maluchów. Nie od razu zaczęło się im układać. Rozwiedziona Karen nie była dobrze widziana przez katolicką rodzinę Elliotta, lecz jakoś przetrwali najgorsze i powoli wszystko zaczęło się układać.

- Zrobiło się strasznie późno - zagał.

- Nadrabiam zaległości. - Z odrazą wskazała papiery. - Już pora zamykać? Straciłam poczucie czasu.

- Ostatnie klientki już wyszły. Jeśli jesteś gotowa, podrzucę cię do domu.

Jeanette popatrzyła na niego pytająco.

- Nie ma potrzeby - zdziwiła się. - Nie mam daleko, a mały spacer dobrze mi zrobi.

- Nie dzisiaj - stanowczo stwierdził Elliott. - Jakiś człowiek kręcił się tutaj, zaglądał przez okno do środka. Nie znam go. Niektóre panie się wystraszyły, nawet chciały dzwonić po szeryfa, ale gdy wyszedłem na zewnątrz, ten typek już się ulotnił.

- Natknęłam się na niego - odparła z uśmiechem. - Jest niegroźny. Chciał zapisać się do klubu. Pewnie dopiero co przyjechał do Serenity. Odszedł, gdy skończyliśmy rozmowę.

Elliott wcale się nie rozluźnił.

- Nie podoba mi się to. Podał ci nazwisko?

- Nie, ale go nie pytałam. Nie denerwuj się. Znam się na ludziach. - Może nie na mężczyznach, ale co do tego nieznanego nie miała wątpliwości. - To porządny człowiek, z klasą. Nikomu nie zagrazi.

Chociaż nie do końca musi być to prawdą, bo dla niej może być zagrożeniem. Przecież nim go spławiła, niemal podjęła jego subtelny flirt. Wbrew samej sobie.

Był naprawdę przystojny. Bardzo przystojny. I seksowny. Nie tak postawny i muskularny jak Elliott, lecz szczupły i wysportowany. Oczy bardziej szare niż niebieskie, z psotnymi iskierkami. Starannie przycięte brązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami od słońca. Gdy się uśmiechał, robił mu się dołeczek w policzku, co ją rozbroiło i oczarowało. Ta reakcja bardzo zaskoczyła Jeanette, bo była pewna, że jest uodporniona na takie rzeczy.

Był w luźnym stroju, ale bez trudu potrafiła wyobrazić go sobie w koszuli i pod krawatem, w garniturze szytym na miarę. Na jej oko to ktoś na poziomie.

Elliott nie wydawał się przekonany. Usiadł, wyjął z kieszeni komórkę.

- Uprzedzę Karen, że będę później.

- Dlaczego?

- Bo nie zostawię cię tutaj - odparł z uśmiechem. - Mam za dobrą opinię, żeby ją sobie popsuć. Ostatnim razem, gdy wbrew przeczuciom zostawiłem Słodką Magnolię samą sobie, omal nie przypłaciła tego życiem.

Jeanette skrzywiła się na to wspomnienie.

- To nie była twoja wina. Mąż klientki Helen chciał się na niej zemścić. Nikt nie mógł temu zapobiec.

- To fakt. Ale drugi raz nie będę ryzykować.

- Dobra, niech ci będzie - poddała się, uznając dalszy opór za bezcelowy. - Nie chcę, żebyś przeze mnie spóźnił się do Karen. Chodźmy.

- To mi się podoba. Może zjesz z nami kolację? Robię paellę z owocami morza.

- Ty robisz? - zdumiała się. - Przecież to Karen pracuje w restauracji.  
- Dlatego nie powinna gotować w domu, gdy ma wolny dzień.  
- Że też ty nie masz braci zamiast sióstr! Elliott zaśmiał się.  
- Mam kuzynów. Chcesz, to cię z nimi poznam. Ja jestem najlepszy, ale znajdzie się jeden czy dwóch całkiem do rzeczy.

- Też mają takie rozdęte ego?  
- Jeszcze bardziej niż ja.  
- W takim razie dziękuję. Wolę działać solo.  
- Wielka szkoda. Jesteś piękną kobietą i masz złote serce. Powinnaś mieć kogoś, by razem iść przez życie.

Jeanette westchnęła.

- Też kiedyś tak myślałam.  
- Nie mów tak. - Pomógł jej wsiąść do samochodu. - Ten ktoś może być tuż za rogiem.

Przypomniała sobie swój stan ducha, gdy rozmawiała z nieznajomym. Kto wie, może Elliott ma rację. Może nie powinna tak szybko się poddawać.

Mary Vaughn Lewis mozolnie przenosiła dane z wypełnionego notatkami terminarza na BlackBerry. Córka namówiła ją na zakup tego kieszonkowego komputera, gorąco przekonując, że w dzisiejszych czasach bez niego nie da się obejść. Mary Vaughn w dużej mierze podzielała jej zdanie. Skoro chciała utrzymać pozycję najlepszej agentki nieruchomości, będąc jednocześnie prezesem lokalnej izby handlowej, to musi wszystko mieć pod kontrolą i niczego nie zaniedbać. Rory Sue, aktualnie studentka drugiego roku w Clemson, twierdziła, że BlackBerry będzie idealnym rozwiązaniem. Problem w tym, że Mary Vaughn miała takie samo pojęcie o komputerach jak jej perski kot.



Kiedy rozległ się dzwonek, omal nie upuściła urządzenia na podłogę. Trwało z minutę, nim nacisnęła właściwy guzik.

- Mamo, to ja. Czy to twój pierwszy telefon?

- Żebyś wiedziała. - Rozpromieniła się na dźwięk głosu córki.

- Nic dziwnego, że jesteś taka spięta, ale jak tylko się oswoisz, docenisz go.

- Zobaczymy. Co u ciebie, rybko? - Intuicyjnie czuła, że córka nie dzwoni bez powodu. Pewnie chce wyděbić trochę kasy na zakupy, które były jej słabością. W dodatku potrafiła tak zagadać sprzedawców, że zawsze dawali jej upusty. Wyssała to z mlekiem matki, choć Mary Vaughn chętniej widziałaby u niej inne zalety.

- Chciałam pogadać z tobą na temat świąt.

- Na temat świąt? Przecież dopiero wrzesień.

- Pomyślałam, że lepiej zapytać teraz, niż zastrzelić cię w ostatnim momencie.

Mary Vaughn natychmiast stała się czujna.

- To znaczy?

- Pomyślałam, że skoro nie urządzamy tradycyjnych świąt, takich jak... jak wtedy, gdy byłam mała...

Czyli zanim Sonny się z nią rozwiódł, burząc życie Rory Sue, podsumowała w duchu, w milczeniu czekając na ciąg dalszy.

- No więc pomyślałam sobie, że może się zgodzisz, bym pojechała na ferie do Aspen - powiedziała pośpiesznie. - Jill co rok wyjeżdża tam z rodzicami i zaprosiła mnie, żebym się przyłączyła. Muszę szybko dać jej odpowiedź, by w razie czego mogła zaprosić kogoś innego.

- Nie - odpowiedziała natychmiast. - Święta się spędza w rodzinie. To nie jest pora, żeby rozbijać się gdzieś z obcymi.

- Jill nie jest nikim obcym. Od dwóch lat mieszkamy w jednym pokoju.

Ten drugi rok zaczął się właśnie teraz, zgryźliwie pomyślała Mary Vaughn, lecz szybko ugryzła się w język.

- Nie znasz zbyt dobrze jej rodziny, a ja wcale.

- Martwisz się, jak to będzie wyglądało, jeśli na święta nie przyjadę do domu - rzekła oskarżycielsko Rory Sue. - Boisz się, że ludzie zaczną gadać, co z ciebie za matka. O to chodzi, prawda? Dla ciebie ważne jest tylko to, co inni powiedzą.

Było w tym sporo racji. Jej ukochana córeczka nawet nie chce spędzić z nią świąt. Jeśli tak się stanie, wszyscy będą jej współczuć, tak jak kiedyś. A potem przez wiele lat ciężko walczyła o to, by zaczęto na nią patrzeć inaczej.

Choć nie to było najważniejsze. Co zrobi, jeśli Rory Sue nie przyjedzie? Będzie siedzieć w tym wielkim domu i gapić się w ścianę? Zapali porcelanową choinkę odziedziczoną po mamie i będzie popijać ajerkoniak, póki nie zagłuszy nim samotności? Nie, za nic się na to nie zgodzi.

Za kilka lat Rory Sue może założyć swoją rodzinę i przeprowadzić się nawet tysiące kilometrów stąd. Może nie będzie mogła przyjechać na święta, i wtedy Mary Vaughn pojedzie do niej w odwiedziny, ale to jeszcze nie teraz. W tym roku Rory Sue przyjedzie do Serenity. Zamierza urządzić tradycyjne święta, nawet gdyby córce to było nie w smak.

- Nie - powtórzyła bezbarwnym tonem.

- Nawet nie chcesz tego rozważyć? - błagała.

- Wykluczone. I nie próbuj dzwonić do ojca i przeciągać go na swoją stronę. Już nie uda ci się nastawić nas przeciwko sobie. Tak bywało, gdy miałaś dziesięć lat, ale od tamtej pory oboje dorośliśmy i zmądrzeliśmy.

Odetchnęła z ulgą, bo Rory Sue zachichotała.

- Naprawdę tak myślisz?

- Ja to wiem - z przekonaniem rzekła Mary Vaughn. - Kocham cię i obiecuję, że będziemy miały najlepsze święta pod słońcem, nawet tu, w Serenity.

- Jakby to było możliwe - zareplikowała Rory Sue. - Cześć, mamó.

- Cześć, kochanie.

Odkładając słuchawkę, przyrzekła sobie, że spełni obietnicę, nawet gdyby to wymagało nawiązania kontaktu z ukochanym tatusiem Rory Sue, a jej byłym mężem.

Przez cały ranek Jeanette schodziła Maddie z drogi. Intuicyjnie czuła, że sprawa jej udziału w komitecie wciąż jest aktualna. Trudno będzie się też wykręcić od niewygodnych pytań. Jak zna życie, Maddie nie ustąpi. Co gorsza, zwróci się o pomoc do swych przyjaciółek, a wtedy marny jej los. Kto zdoła odeprzeć zmasowany atak uroczych, kochanych, przepełnionych dobrymi intencjami i nad wyraz wścibskich przyjaciółek?

Nikt, po prostu nikt. Przecież nieraz widziała Słodkie Magnolie w akcji, więc dobrze wiedziała, czego powinna się bać. Wczorajsza rozmowa z Daną Sue była tylko maleńką przygrywką do tego, co z pewnością nastąpi. Im dłużej zastanawiała się nad pomysłem oddelegowania Elliotta, tym mniej wierzyła, że się jej to uda. A już na pewno okaże się niemożliwe, jeśli Maddie naprawdę próbuje ją swatać. Przecież takie akcje traktowała jak świętą misję!

- Coś jesteś dzisiaj nieswoja - zauważyła Mary Vaughn, gdy Jeanette nakładała jej krem na szyję i twarz.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Jakoś trudno mi się skoncentrować. - Postanowiła zmienić temat. - A jak tam Rory Sue? Cieszy się, że wróciła na zajęcia? Jest w Clemson, prawda?

Zwykle wystarczyło wspomnieć jej o córce, i wszystko inne stawało się nieważne. Tak było i teraz, jednak Jeanette wyczuła, że Mary Vaughn jest dziwnie spięta.

- Coś cię martwi - przerwała po chwili jej wywody o Rory Sue. - Myślisz, że nie jest jej tam dobrze?

- Jest nieszczęśliwa z mojego powodu - wyznała Mary Vaughn. - Nie zgodziłam się, by na święta wyjechała do Aspen na narty.

- Dlaczego?

- Bo święta należy spędzać z rodziną.

- Niekoniecznie - ostrożnie stwierdziła Jeanette. - Jeśli wśród najbliższych dobrze się układa, to jak najbardziej, ale znam wiele rodzin, które nie mogą wytrzymać z sobą ani chwili.

- Twoja należy do takich?

- Żebyś wiedziała... - Za późno ugryzła się w język. Pośpiesznie zmieniła temat. - Mogłabyś też wybrać się do Aspen. To świetne rozwiązanie. Ty byłabyś z córką, a ona jeździłaby ze znajomymi na nartach. Co cię tutaj trzyma?

- Tradycja. Gdyby Rory Sue nie przyjechała, dla jej ojca byłby to straszny cios. Sonny jest bardzo rodzinny. Tak jak jego tatuś.

- Masz na myśli burmistrza Lewisa?

- Tak. Dam głowę, że mój były teść przez cały rok czeka na te chwile, kiedy będzie bawić dzieciaki, udając Świętego Mikołaja. Ma bzika na

punkcie świąt. Teraz, gdy zostałam prezeską izby handlowej, muszę włączyć się w prace komitetu, co wcale mnie nie cieszy. Mówię to z ręką na sercu, bo sytuacja nie wygląda zbyt wesoło. Z Howardem wciąż się ścinamy, trudno nam się dogadać, a tu przyjdzie nam współpracować na forum publicznym.

Jeanette popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Może ktoś mógłby cię zastąpić? Myślałaś o tym?

- Miałabym podesłać kogoś w zastępstwie i w ten sposób demonstracyjnie okazać, że ten komitet nie jest dla mnie najważniejszą rzeczą pod słońcem?

Chyba żartujesz! Howard do końca życia by mi nie darował, wciąż by mi to wypominał.

- Maddie chce, bym ja reprezentowała w Komitecie nasze spa - wyznała Jeanette. - Nie zgodziłam się.

Mary Vaughn aż się rozpromieniła.

- Nie możesz odmówić! Musisz się zgodzić. Uratujesz mnie. Jeanette, błagam, zgódź się. Stworzymy świetną grupę wsparcia, wiesz, jedna za drugą zawsze stanie murem. Będzie naprawdę fajnie.

Nie bardzo pojmowała, co Mary Vaughn widzi w tym fajnego, zwłaszcza że będzie musiała dogadywać się z byłym teściem, nadętym i pyszałkowatym małomiasteczkowym prominentem.

- Maddie być może da ci spokój, ale ja na pewno nie odpuszczę. Obiecuj mi, że się zgodzisz. Zobaczysz, że nie pożałujesz. Przyciśniemy starszków, postawimy ich do pionu. Wiem, że lubisz wyzwania. No co, zgodzisz się? - Popatrzyła na nią z nadzieją.

Jeanette westchnęła.

- Może... - Na nic więcej nie była gotowa, jak tylko na owo „może”, czuła jednak, że odmowa staje się coraz trudniejsza, a prawdę powiedziawszy, wręcz niemożliwa.

RS

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

W piątkowe popołudnie Tom sprawdził kalendarz. Jeszcze jedno spotkanie i może jechać do Charlestonu na kolejną imprezę dobroczynną urządzaną przez matkę. Niestety, nie mógł się z tego wykręcić, ponadto musiał obiecać, że zostanie na noc. Do Serenity zamierzał wrócić z samego rana, by rozejrzeć się za mieszkaniem lub domem.

Zadzwonił telefon na biurku.

- Przyszedł Cal Maddox - zaszczębiotała Teresa.

- Powinienem wiedzieć, kto to jest?

W słuchawce rozległo się westchnienie. Sekretarka rozłączyła się, a po chwili weszła do gabinetu. Teresa strzygła na krótko swe siwe włosy, z upodobaniem ubierała się w kwieciste bluzki i pastelowe spodnie. Tomowi z miejsca skojarzyła się z babcią dumną z domowych wypieków, lecz pozory myliły, bowiem żelazną ręką zarządzała biurem zarządu miasta. Spojrzenie, którym obdarzyła szefa, było pełne matczynej troski.

- Jeśli mamy z sobą dobrze pracować, musi pan uważnie słuchać, co do pana mówię - rzekła surowo.

- A przynajmniej rzucić okiem na codzienny plan zajęć, który co rano panu wręczam.

- Przepraszam - wymamrotał, pośpiesznie przerzucając papiery na biurku. Po chwili wyjął przygotowany przez Teresę plan dnia. Nie spojrział na niego wcześniej, a w swoim kalendarzu nie miał żadnej notatki. - Aha, Cal Maddox, trener licealnej drużyny baseballowej... Czego ode mnie chce? Nie mam nic wspólnego z oświatą.

- O, tu. - Teresa palcem wskazała właściwy fragment.

- W sprawie zainicjowania programu Małej Ligi - przeczytał.



- No właśnie, szefie. Robię, co do mnie należy. Musi się pan wdrożyć do mojego systemu pracy.

Z trudem zdusił uśmiech. Tam, gdzie do tej pory pracował, to on ustalał system pracy, a podwładni chodzili wokół niego na paluszkach.

- Postaram się - obiecał solennie.

- Zobaczymy - sceptycznie oznajmiła Teresa.

- Czy Cal już może wejść?

- Bardzo proszę.

Chwilę później do gabinetu wszedł uśmiechnięty trener szkolnej drużyny baseballowej.

- Co pan zrobił, że Teresa jest taka wkurzona? Tom zawahał się, a potem również się uśmiechnął.

- Niemal wszystko, co robię, ją wkurza. Teraz zapomniałem przeczytać, co mi przygotowała.

Cal podał mu rękę na powitanie.

- By wszystko było jasne, tak naprawdę to Teresa od piętnastu lat rządzi miasteczkiem. Pan jest intruzem.

- Była tu dyrektorem? - zapytał zaskoczony. Nikt wcześniej mu tego nie powiedział.

- Nie, przynajmniej nominalnie. Praktyka była jednak taka, że pańscy poprzednicy pozostawiali jej wolną rękę. Jeśli teraz zamierza pan to zmienić, powinien pan wziąć to pod uwagę.

- Zapamiętam sobie. - Był wdzięczny za wyjaśnienie. Będzie musiał dokładnie to przemyśleć, bo nie tak widział swoje relacje z sekretarką, czemu zresztą trudno się dziwić. - Proszę usiąść. Czym mogę służyć? Teresa wspomniała, że chodzi o program Małej Ligi.

Cal podał mu komplet dokumentów.

- Tu znajdzie pan wszystko: korzyści dla miasta, koszty, firmy, które zgodziły się sponsorować drużyny, miejscowości prowadzące podobne programy.

- Czego oczekuje pan po mnie?

- Funduszy na start. Kwota jest tu podana. Poza tym potrzebny będzie drugi trener. Mamy chętnych na co najmniej dwie drużyny, młodszą i starszą.

- Hm, zaraz... Czy to propozycja pod moim adresem?

- Grał pan w Clemson, prawda? Na pierwszej bazie, jak mi się wydaje.

- Skąd pan to wie? - zdumiał się. - Grałem w drużynie tylko rok, po kontuzji musiałem zrezygnować. - Naraz szeroko otworzył oczy. - Cal Maddox? To ty grałeś w Atlanta Braves?

- Niestety dość krótko. Też doznałem kontuzji i moja kariera się skończyła, ale gdy jeszcze byłem w drużynie, dostaliśmy cynk na twój temat. Łowca talentów widział w tobie rewelacyjnego zawodnika, czyli w sam raz się nadasz na trenera Małej Ligi. Pomyślisz o tym?

- Najpierw trzeba rozpocząć taki program. Przez weekend przejrzę dokumenty i zorientuję się, czy te koszty dadzą się wcisnąć do budżetu, nad którym pracujemy. Potem pogadamy.

- W porządku. - Cal podniósł się z miejsca. -Czekam na twoją decyzję.

- Jesteś sportowcem, więc zapytam cię o coś. Gdzie w Serenity można poćwiczyć?

Cal zmieszał się nieco, popatrzył uważnie na Toma, wreszcie rzekł:

- Zdradzę ci ten sekret, jeśli obiecasz, że nikomu nie powtórzysz.

- Obiecuję. Możesz mi zaufać.

Cal pochylił się, jakby z lękiem, że usłyszy go Teresa czy ktoś inny.

- Po godzinach zakradam się do klubu spa, gdzie mają również całkiem niezłą siłownię.

- Żartujesz! - Tom popatrzył na niego z niedowierzaniem. - Powiedziano mi, i to w stanowczych słowach, że mężczyźni nie mają tam wstępu.

- Bo to prawda, ale moja żona jest współwłaścicielką i udaje, że nie widzi, kiedy podkradam jej klucz. Oczywiście gdyby mnie ktoś tam przydybał, wyparłaby się, że mi na to pozwala, i rzuciłaby mnie psom na pożarcie.

Tom wybuchnął śmiechem.

- Macie ciekawy układ.

- Żebyś wiedział. Maddie jest wspaniałą kobietą, Bogu dziękuję, że postawił ją na mej drodze. Z pewnością będziesz miał okazję ją poznać, zwłaszcza jeśli ruszymy z Małą Ligą.

- Z przyjemnością. W sprawie tego projektu skontaktuję się z tobą w przyszłym tygodniu.

- Dzięki. Miłego weekendu.

Pomyślał o czekającej go snobistycznej imprezie i nieuniknionym kazaniu ojca. Ten weekend na pewno nie będzie przyjemny.

Jeanette udało się przetrwać kolejny dzień, nie natykając się na Maddie, jednak gdy już zbierała się do wyjścia, w korytarzu pojawiła się szefowa.

- Wymykasz się? - zapytała niefrasobliwie.

- Próbowałam - odparła z uśmiechem Jeanette.

- Mogłabyś zostać na minutkę?

- To prośba czy polecenie?

- Prośba, oczywiście. - Trzymała w rękach dwie szklanki herbaty i przezroczyste pudełeczko z żurawinowo-pomarańczowymi rożkami, co było naprawdę perfidnym wyborem. - Mam coś, czym cię przekupię - dodała bez żenady.

Maddie ruszyła na patio, a Jeanette poszła za nią, bo akurat wobec tych słodkości była zupełnie bezbronna.

Kiedy usiadły, zatopiła zęby w delikatnym jak puszek ciastku. Naraz znieruchomiała. Rożek jeszcze był ciepły.

- Skąd go masz? Dziś nie mieliśmy rożków, sprawdzałam.

- Poprosiłam Danę Sue, żeby je upiekli i nam podesłali. Dopiero co przyjechały, prosto z pieca.

- Naprawdę bardzo ci zależy, bym weszła do tego komitetu, co? - zapytała, odgryzając kolejny kęs. Łapówki od Maddie, a potem desery na odreagowanie stresu... pięknie się utuczy.

- Prawdę mówiąc, bardziej interesuje mnie twój zdecydowany opór. Miałam trochę czasu na przemyślenia i nie wierzę, by chodziło o tych kilka godzin miesięcznie, które trzeba poświęcić dla dobra ogółu. Mylę się? - Gdy Jeanette uparcie milczała, ponagliła ją: - No więc w czym rzecz?

Za nic nie chciała drażnić tematu, dlatego postanowiła załatwić sprawę krótko i węzłowato.

- Dobrze, zrobię to - stwierdziła obojętnym tonem.

- Co zrobisz? - zdziwiła się Maddie.

- Wejdę do tego idiotycznego komitetu - burknęła. - Czy nie o tym mówiłyśmy?

Ku zdumieniu Jeanette, szefowa wcale nie wyglądała na zadowoloną.

- Zostawmy na razie komitet. Powiedz, co aż tak odstręczającego jest w tych świętach? - naciskała Maddie. - Teraz uzmysłowiłam sobie, że na

czas świąt zawsze brałaś urlop, ale nie jechałaś do rodziny czy do jakiegoś kurortu, tylko zamykałaś się w domu. Nigdy nie skorzystałaś z zaproszeń Dany Sue, Helen czy moich, by z nami spędzić święta. Musi być więc jakiś powód.

- Jestem aspołeczna.

- Przecież nie jesteś! Gdy były inne okazje, chętnie się zjawiałaś. Masz uraz akurat do tych świąt. Chcę wiedzieć, o co chodzi.

- To moja sprawa - powtórzyła z uporem. - Wiem, że chcesz dobrze, ale nie ma żadnego problemu. Po prostu nie lubię tych świąt. - Popatrzyła na nią ostro. - Tylko mi nie mów, że wszyscy je uwielbiają.

- Ależ uwielbiają, w każdym razie tutaj.

- Więc jestem wyjątkiem od reguły czy też wyrzutkiem... Maddie, powiedziałam, że włączę się w przygotowania. To powinno wystarczyć.

- Skąd ta nagła odmiana?

- Kobieto, nigdy nie czujesz, kiedy należy przestać?! - zirytowała się nie na żarty, natomiast Maddie tylko uniosła brwi. Jeanette nigdy tak się nie zachowywała. Sprawa musiała być więc naprawdę poważna. - Pewnie, że nie czujesz. Po prostu nie ruszaj tematu. Zgodziłam się i już. - Przerwała na moment. - Poza tym Mary Vaughn błagała mnie o to, bo na nią też spadł taki obowiązek.

- Robisz to dla Mary Vaughn?! Choć próbowała ukraść męża Danie Sue?

- Wtedy nie byli razem - przypomniała jej Jeanette. - Zresztą nigdy nie miała u niego żadnych szans, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, oczywiście poza nią. To jednak są sprawy prywatne, natomiast naprawdę ważne jest to, że Mary Vaughn jest naszą stałą klientką i prosiła mnie o to.

- Ja jestem twoją szefową i też cię prosiłam, ale nie miałaś żadnych oporów, by odmówić - obruszyła się Maddie. - Robisz to dla Mary Vaughn. Poczekaj, aż Dana Sue i Helen się o tym dowiedzą.

- Przede wszystkim chciałam, żebyś dała mi spokój, jednak bardzo się przeliczyłam, więc idę do domu, nim zmienię zdanie. - Maddie zamierzała coś dodać, lecz Jeanette uciszyła ją gestem. - Zostawmy to już, dobrze?

- Dobrze, dobrze... Wiedz tylko, że jeśli będziesz chciała pogadać, wszystkie trzy jesteśmy do dyspozycji. Jasne?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Jasne - wyszeptała i wybiegła szybko, by nie zrobić z siebie szlochającej idiotki.

Tom nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyrwie się z domu i ruszy do Serenity. Wczorajsza impreza charytatywna była dokładnie taka, jak przypuszczał. Oficjalna kolacja, a potem tańce, co roku to samo. I po co, skoro pieniądze, które na nią poszły, z pewnością dorównywały zebranym podczas kwesty funduszom. Ilekroć to powtarzał, matka patrzyła na niego tak, jakby wypowiadał bluźnierstwo.

- Mając taką pozycję społeczną, jesteśmy zobowiązani do działań na rzecz obywateli.

- Wypisanie czeku byłoby o wiele prostsze i znacznie bardziej efektywne - replikował.

- Przecież w ten sposób nagłaśniamy problem, co ma ogromne znaczenie. Poza tym wspieramy miejscowych przedsiębiorców. Angażujemy firmy cateringowe, poligraficzne, kwiaciarnie i wiele innych.

- Czyli najważniejszym celem jest pobudzenie miejskiej gospodarki?

- Chryste, przecież dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej! - zirytowała się. - Uważasz, że to, co robię, jest błahe i niepotrzebne, ale któregoś dnia pokażę ci sprawozdanie finansowe, wtedy może przejrzysz na oczy.

- Chętnie je obejrzę - rzekł z uśmiechem.

- Jesteś niemożliwy.

- Ale i tak mnie kochasz.

- Zazwyczaj. A jeśli ożenisz się i zapewnisz spadkobierców naszej rodzinnej fortuny, wybaczę ci te głupie dyskusje.

- Mamo, masz sześć wnuczek, które możesz hołubić i rozpieszczać. Następne pokolenie już jest.

- Żadna z nich nie będzie nosiła naszego nazwiska. Nawet gdyby któraś z twoich sióstr miała syna, też nie nazywałby się McDonald.

- Czyli mam się ożenić i mieć syna, tak? Popatrzyła na niego surowo, lecz w jej oczach dojrzał wesoły błysk.

- Tak byłoby najlepiej.

Potrafi człowieka przycisnąć, pomyślał Tom, kończąc śniadanie. Daleko jej jednak było do despotycznego ojca. Thomas Barlow McDonald nie był łatwy w obejściu, a każda ich rozmowa kończyła się spięciem. Niestety, nie wypadało ulotnić się z domu bez słowa, choć najchętniej już byłby w drodze do Serenity. Zresztą z dwojga złego wolał sprzeczkę z ojcem niż nieunikniony telefon z pouczeniami od matki.

Senior rodu wszedł do jadalni. Miał na sobie strój do golfa, bo jak zwykle w sobotę wybierał się do prywatnego klubu.

- Myślałem, że już wyjechałeś - zagadnął, nakładając sobie potrawy.

- Wieczorem nie było okazji, żeby pogadać - odparł Tom. - Jak ci idzie gra w golfa?



- Pewnie lepiej niż tobie. Grasz jeszcze? W tej miejscinie, gdzie teraz mieszkasz, jest jakieś pole?

Tom zacisnął zęby. Nie zamierzał dać się sprowokować.

- To miasto nazywa się Serenity. W pobliżu mamy znakomite pole golfowe, drugie powstaje kilka kilometrów dalej. Jeśli mielibyście ochotę wybrać się na wycieczkę, pokażę wam, że poza Charlestonem też jest wiele ciekawych miejsc.

- Aha, czyli jeszcze grywasz - z uporem drażył ojciec.

- Prawdę mówiąc, nie mam na to czasu. - Ani ochoty, dodał w duchu. Golf uważał za zbyt spokojną rozrywkę, a może po prostu był kiepskim graczem. Perspektywa trenowania drużyny baseballowej znacznie bardziej go pociągała.

- Koniecznie chcesz odrzucić wszystko to, co zrobiłem? - zaczął starą śpiewkę senior rodu.

Okres buntu Tom już dawno miał za sobą.

- Tato, idę swoją drogą. Robię to, co uważam za słuszne. Powinieneś to zrozumieć.

- Marnujesz swój potencjał. Zdobyłeś wykształcenie, mógłbyś wykorzystać swą wiedzę tutaj, w Charlestonie. Klub to świetne miejsce do nawiązania kontaktów. Za rok czy dwa miałbyś szansę startować na gubernatora czy nawet do Kongresu. Synu, to jest twoje przeznaczenie, a nie ścibolenie groszaków w jakiejś prowincjonalnej dziurze.

- Tym koleśiom z Waszyngtonu też przydałaby się taka umiejętność - odparł chłodno Tom.

- Dobrze wiesz, do czego zmierzam - odciął się ojciec. - Masz za dobre kwalifikacje do takiej roboty. Skończyłeś prawo, zrobiłeś licencjat z

biznesu, znasz odpowiednich ludzi. Zrób z tego dobry użytek. Tom odstawił talerz.

- Przykro mi, że dla ciebie nie jestem wystarczająco ambitny, ale musisz przyjąć do wiadomości, że mam inne priorytety. Lubię bliżej poznawać ludzi, mieć z nimi osobisty kontakt, a także widzieć efekty podejmowanych przeze mnie decyzji. Po prostu lubię rozwiązywać problemy, i te małe, i te duże.

- Nie wydaje ci się, że polityka właśnie na tym polega? Tyle że w skali makro.

- Może... Jednak większość czasu poświęca się na gromadzenie funduszy i zabieganie o popularność, bo przecież już następnego dnia po wyborach myśli się o kolejnych. Trzeba mieć poparcie różnych organizacji i sponsorów, bez tego po prostu się nie istnieje. Nie twierdzę, że wśród polityków nie ma porządnych, ciężko pracujących ludzi, którzy robią wiele dobrego, ale z większością wolę nie mieć do czynienia. Przykro mi. W tej kwestii raczej nie dojdziemy do porozumienia. Liczę, że nie będziemy powtarzać tej dyskusji przy kolejnych spotkaniach.

- Tego nie mogę obiecać - skrzywił się kwaśno ojciec. - Zawsze będę się starał przemówić ci do rozsądku.

Tom westchnął ciężko. Dlaczego ojcu tak bardzo na tym zależy? Raczej nie dojdzie przyczyny, więc nie warto kruszyć o to kopii.

- Może miałbyś ochotę przejechać się z mamą do Serenity obejrzeć miasteczko, *zagrać* ze mną w golfa. Jest tam pierwszorzędna restauracja. Myślę, że by się wam spodobało.

Ojciec nie zdążył machnąć ręką, by zbyć tę propozycję, bo mama, która właśnie weszła do jadalni, usłyszała ostatnie słowa Toma.

- Z przyjemnością, prawda, Thomas? - Popatrzyła na męża znacząco.

- Jak chcesz - mruknął. - Czas na mnie.

- Wrócisz na lunch?

- Nie, zjem coś w klubie. - Był w połowie drogi do wyjścia, gdy odwrócił się. - Miło było cię widzieć, synu.

- Mnie też, tato. - Kiedy ojciec wyszedł, Tom popatrzył na matkę. - No, obyło się bez rozlewu krwi. To już postęp.

Matka usiadła na wprost niego.

- Nie wiem, czemu tak musicie się spierać o każdą bzdurę.

- Bo ja mu nie ulegam. Wiem, że chce dla mnie jak najlepiej, ale musi wreszcie zacząć mnie słuchać.

- Robi to, tylko nie przyjmuje twoich racji. Wiązał z tobą wielkie nadzieje.

- Wiem i rozumiem, przecież każdy ojciec myśli podobnie, tylko że tata obsesyjnie chce, abym żył tak, jak on sobie wymarzył. A przecież już tyle razy tłumaczyłem mu, że jestem zadowolony z tego, co robię.

- Wiesz, dlaczego jest taki, prawda?

- Bo jest upartym staruszkiem?

- Powinieneś okazywać mu szacunek. Kiedyś musicie się z sobą dogadać. Ojciec nie miał takiego łatwego życia jak ty.

- Jak to? Przecież jesteśmy bogaci i szanowani od pokoleń.

- Nie dzięki twojemu dziadkowi - stwierdziła cierpko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Dziadka ledwie pamiętał. Starszy pan, który wciskał mu czasem ćwierćdolarówkę, i to właściwie wszystko.

- Zapytaj ojca. Może wtedy lepiej go zrozumiesz.

- Ty nie możesz mi tego powiedzieć?

- Mogę, ale uważam, że powinniście wreszcie zacząć z sobą rozmawiać. No dobrze, a teraz mów, jak ci się tam żyje. Jesteś zadowolony?

- Nie wciągnąłem się jeszcze do końca, ale zaczyna mi się podobać. -  
Pomyślał o kobiecie, którą przelotnie spotkał w spa. - Mieszkają tam  
interesujący ludzie.

Matka od razu się ożywiła.

- Masz na myśli kobietę?

- Może.

- Więc opowiadaj! - zażądała niecierpliwie.

- Nie bardzo jest o czym. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Wpadłem  
na nią pod centrum odnowy biologicznej dla pań. Zamieniliśmy kilka słów i  
zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

- To niezbyt dobrze o niej świadczy - obruszyła się. - Raczej nie  
pochodzi z dobrej rodziny.

- Nie pytałem jej o pochodzenie - odparł z uśmiechem. Miał nadzieję,  
że ich drogi jeszcze się skrzyżują. Jeśli nieznajoma pracuje u żony Cala...

Przypomniawszy sobie o nim, opowiedział o planach powołania Małej  
Ligi. Matka zawsze mu kibicowała i interesowała się baseballem.

- Nie miałam pojęcia, że w Serenity mieszka były zawodnik Atlanta  
Braves - powiedziała zdumiona.

- Zdziwiłabyś się, kto jeszcze tam mieszka. Na przykład Paula  
Vreeland. Wiesz, o kim mowa?

- Ta artystka? Byłam pewna, że mieszka w Charlestonie.

- Mylisz się. Burmistrz pokazał mi jej dom i pracownię, gdy obwoził  
mnie po miasteczku. Klub fitness i spa, o którym ci wspomniałem, cieszy się  
wielką renomą nie tylko w Serenity, ale również w całym regionie, zaś  
restauracja „Sullivan's" słynie z wybornej kuchni.

- Koniecznie muszę zobaczyć to na własne oczy. Poczekaj, przyniosę  
kalendarz, to ustalimy termin.

- Przyjedziesz z ojcem?

- Może najpierw sama, na zwiady. - Popatrzyła na niego porozumiewawczo.

- Mnie to pasuje. - Jeśli mamie miasteczko przypadnie do gustu, to pozytywnie nastawi ojca. W tym małżeństwie to ona była szyją.

- Za dwa tygodnie od dzisiaj - orzekła, przejrawszy zapiski. - Wcześniej się nie wyrobię.

- Świetnie. —Powstał, pocałował ją w policzek. - Dzięki, mamó. Będę was wyglądał.

Mówił szczerze. Chciał, by ujrzała Serenity jego oczami. To miasteczko było wymarzonym miejscem do zamieszkania na długie lata, tym bardziej że dobrze rokowało na przyszłość. Kto wie, może to kolejny krok w jego karierze. Bo wbrew temu, co sądził ojciec, nie był pozbawiony ambicji, tylko miał inny pomysł na życie, niż ten, który wyznaczył mu Thomas Barlow McDonald.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Prawie wszystkie najlepsze klientki były aktywne zawodowo, więc na zabiegi upiększające miały czas tylko w sobotę, przez co Jeanette prawie nigdy nie miała wolnego całego weekendu. Bardzo jej to odpowiadało, za to nie znosiła niedziel, podczas których spa było zamknięte. Ciągnęły się w nieskończoność, a ile czasu można prasować czy robić zakupy? W Serenity nie było kina, a dostępne rozrywki, jak golf, kajaki i tym podobne, zupełnie jej nie pociągały. To był jedyny minus mieszkania w tym miasteczku. Cisza i spokój czasami naprawdę ją dobijały, zwłaszcza że żyła sama.

Ta niedziela była jeszcze gorsza niż zwykle.

Nie mogła odsunąć od siebie myśli o świętach i rodzinie.

O trzeciej tak ją nosiło, że impulsywnie sięgnęła po słuchawkę. Już dawno nie rozmawiała z rodzicami. Mieszkali niecałe dwie godziny jazdy stąd, lecz nie widziała ich od miesięcy. Sami nie dzwonili, to ona inicjowała kontakty. Jakby zapomnieli o jej istnieniu.

Pośpiesznie wybrała numer, bojąc się, że zaraz się rozmyśli. Mama odebrała po kilku sygnałach.

- Cześć, mamó.

- To ty, Jeanette? - zapytała niepewnie.

- Tak, mamó. Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze - odparła lakonicznie.

- A tata? - nie zrażała się Jeanette. - Jak się czuje?

- Ojciec zbliżał się do siedemdziesiątki, lecz wyglądał na znacznie więcej. Odbiła się na nim praca na polu i przeżyta „tragedia”, jak określali to rodzice, unikając jakichkolwiek konkretów.

- Nadal ciężko pracuje - powiedziała mama.

- Farma to całe jego życie.

- W tym roku nie zatrudnił nikogo do pomocy? - zapytała, by podtrzymać rozmowę, która kompletnie się nie kleiła.

- Miał kilku ludzi do zbioru warzyw. Teraz zostały tylko dynie. Sam je zbiera i sprzedaje na targu.

- Jest w pobliżu? Przywitam się z nim. - Niegdyś ojciec był w nią zapatrzonej jak w obrazek, ale to się zmieniło w mgnieniu oka. Teoretycznie rozumiała jego racje, lecz rozdzźwięk, który powstał między nimi, był jak jątrząca się przez lata rana.

- Pracuje na polu - odparła matka. Nie zaproponowała, że go zawoła. Po chwili wahania dodała:

- Powiem mu, że dzwoniłaś.

Jeanette westchnęła cicho. Już nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio z nim rozmawiała. Matka zawsze wymyślała jakieś powody, dlaczego nie może podejść. Pewnie niektóre z nich były prawdziwe, ale nie mogło przecież być tak, że ilekroć dzwoniła, ojciec zawsze był poza domem. Jeanette zaczęła nawet podejrzewać, że po śmierci syna w ogóle przestał się odzywać.

- Co robisz, mamó? - zapytała z udaną beztroską.

- Nadal pieczesz ciasta na niedzielne spotkania w kościele?

- Dziś było kokosowe. W przyszłym tygodniu upiekę czekoladowe.

Wszyscy najbardziej je lubią.

- Ja również. Może wpadnę do was, to upieczesz je dla mnie.

Tym razem matka wahała się dłużej.

- Tylko uprzedź nas, kiedy zamierzasz przyjechać. Westchnęła głęboko. Liczyła na odrobinę ciepła z ich strony, lecz okazuje się, że ma zapowiadać się z wizytą jak ktoś obcy. A może przesadzała z oceną?



Czyżby stała się zbyt wyczulona na wszelkie niuanse i dostrzegała coś, czego nie było? Czuła się odrzucona i szukała potwierdzenia tego stanu rzeczy w każdym słowie...

- Dobrze, mam. Miło było pogadać.

- Mnie też.

Dopiero gdy się rozłączyła, dotarło do niej, że matka ani słowem nie zapytała, jak się jej wiedzie, co ciekawego wydarzyło się w jej życiu, nic, po prostu nic. A była przecież jej córką! Ten brak zainteresowania głęboko ranił i upływ lat niczego tu nie zmienił. Bo kiedyś było całkiem inaczej. Wciąż miała w pamięci chwile, kiedy po szkole wpadała do domu, opowiadając o wszystkim, co się stało, a mama podsuwała jej mleko i ciasteczka i z uwagą wysłuchiwała chaotycznych relacji. Te chwile były dla mamy ważne, tak jak dla niej. A teraz z trudem zmuszają się do pięciominutowej rozmowy przez telefon.

- Chyba zaraz zwariuję... - szepnęła zdesperowana, złapała torebkę i ruszyła do drzwi.

Dwie godziny później siedziała w multipleksie w Charlestonie, zaopatrzona w wiaderko popcornu, dietetyczny napój i miętówki. Film nie zainteresował jej zanadto, lecz wszystko było lepsze od siedzenia w domu, wpatrywania się w ścianę i rozmyślania o beznadziejnych relacjach z rodzicami.

Wychodząc z sali, usłyszała znajomy głos. Był to Kyle, syn Maddie, wraz z kolegami i Calem.

- Film super, co? - spytał z entuzjazmem.

- Jeanette, jak ją znam, wolałaby komedię romantyczną - wtrącił Cal, nim zdążyła się odezwać.

- To czemu wybrała ten film?

- Nie wiem. - Popatrzył jej w oczy. - Czyżbyś zmieniła gust?

- Liczyłam, że szybka akcja mnie wciągnie. - Wzruszyła ramionami.

- I oderwie od rozmyślania o innych rzeczach?

Jeanette ponuro spojrzała na Cala.

- Wiesz co, z tymi swoimi pytaniami czasami jesteś gorszy od Maddie.

- Z kim przestajesz, takim się stajesz - odparł z uśmiechem. - Jeanette, jedziemy na pizzę do „Rosalina's". Maddie już tam czeka. Może się skusisz? Zabijesz trochę czasu, jeśli o to ci chodzi.

Zawahała się, a potem stwierdziła mało przyjaźnie:

- Żebyście dalej mnie przepytawali? Nie, dzięki.

- Żartujesz? Będziemy z bandą chłopaków, Jessica Lynn i Cole'em. W tym wrzasku niczego nie będzie słychać. I żadnych wścibskich pytań, obiecuję.

- Przecież znasz Maddie, gdy na coś się uprze, nie da się jej spacyfikować. A tak się jakoś składa, że ostatnio strasznie ją interesują moje sprawy.

- Chyba nie staje ci wyobraźni, jak to jest z dwójką pędraków. Maddie będzie uganiać się za małą i nie starczy jej czasu, żeby cię przydusić. Z dziećmiakami można zapomnieć o spokojnym posiłku, a jeszcze będą kumple Kyle'a - klarował z uśmiechem jak ktoś bardzo zadowolony z życia. Widać było, że wspaniale się odnalazł w roli ojca rodziny.

Uległa sile jego perswazji. Zresztą miała ochotę coś zjeść, a gdy pojedzie z nimi, nie będzie zdana wyłącznie na własne towarzystwo i rozpamiętywanie rozmowy z matką.

- No dobrze. Spotkamy się na miejscu.

Cał popatrzył na nią badawczo.

- To kawałek drogi. Nie rozmyślisz się? Może wcisnę ci Kyle'a i jego kumpla, żebyś cię przypilnowali?

Wreszcie się uśmiechnęła.

- Bez obaw, nie zwieję.

- To do zobaczenia.

Patrzyła, jak wraz z chłopcami odchodzi. Podeszła do swojego niewielkiego sportowego samochodu. Wyjechawszy z garażu, opuściła dach i włączyła muzykę na maksa. Wiatr rozwiewał jej włosy. Kiedy dojechała do Serenity, była w znacznie lepszym humorze.

I dobrze, bo pierwszą osobą, którą ujrzała po wejściu do restauracji, był seksowny nieznajomy, z którym rozmawiała przed klubem... Siedział przy stoliku z Maddie.

Tom miał w rękach lalkę, którą dała mu do potrzymania Jessica Lynn, gdy na progu sali ujrzał tajemniczą kobietę. Patrzyła prosto na niego i przez mgnienie wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć.

Maddie poderwała się z miejsca i popędziła ku niej.

- Jeanette, Jeanette! - wołała radośnie.

Jessica Lynn pobiegła za mamą. Tom niespokojnie zerkał na śpiące obok niego niemowlę. Nieraz zajmował się siostrzenicami, ale gdy były nieco starsze. Nie dał się przekonać, że niemowlęta wcale nie są takie kruche i delikatne, jak by się wydawało. Maddie szła z nieznajomą do stolika. Tom wstał.

- Pozwólcie, że was przedstawię. To Tom McDonald, nowy dyrektor zarządu miasta. - Maddie niemal siłą podsunęła do przodu rękę Jeanette. - Tom, to Jeanette Brioche, prowadzi w klubie odnowę biologiczną.

- Witam. - Przytrzymał jej dłoń może odrobinę dłużej, niż należało. Miała delikatną skórę. Świetna reklama salonu piękności.

Spojrzała na niego czujnie, po czym uśmiechnęła się.

- Miło się przekonać, że pierwsze wrażenie nie było mylące. - Widząc jego minę, wyjaśniła: - Powiedziałam Elliottowi, naszemu instruktorowi, że wyglądasz na osobę godną zaufania, mimo że wystraszyłeś panie, zaglądnąjąc przez okno.

- Co takiego?! - zdumiała się Maddie.

- To nie było dokładnie tak - tłumaczył się Tom. - Szukałem miejsca, gdzie mógłbym poćwiczyć. Powiedziano mi, że to klub dla kobiet, ale chciałem sprawdzić, czy jednak nie mógłbym skorzystać. No i Jeanette mnie przegoniła.

- Przepraszam - kajała się z jawną obłudą, a potem dodała z lekkim uśmiechem: - Takie mamy zasady.

- Może skrzykniecie się z Calem i założycie klub dla panów - podsunęła Maddie. - Nie będę musiała udawać, że niby nic nie widzę i nie słyszę, jak zakrada się na siłownię.

- Nie zgodzisz się, bym mu towarzyszył? - z nadzieją zapytał Tom.

- To wykluczone - ostro powiedziała Jeanette, czym zdumiała Maddie.

- Cał to co innego - poprawiła się szybko. - Jest mężem właścicielki. Gdybyśmy ci pozwolili, zaraz znaleźliby się inni chętni.

Uśmiechnął się, słysząc jej pośpieszne tłumaczenie.

- Aha. Już myślałem, że masz coś przeciwko mnie.

- Też coś. Przecież nawet cię nie znam.

- Możemy to zmienić. - Z zadowoleniem patrzył, jak Jeanette oblewa się rumieńcem.

- Raczej nie - odparła ostro, znów ściągając na siebie surowe spojrzenie Maddie. - Ale dzięki za intencje.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Wysunął dla niej krzesło. Jessica Lynn skorzystała z okazji i wskoczyła na nie, a potem szarpnęła Toma za rękę.

- Jestem głodna - oznajmiła. - Gdzie moja lala?

- Tutaj. - Podał jej zabawkę. Pogodził się z myślą, że Jeanette nie usiądzie obok niego, i pochylił się do dziewczynki. - Również umieram z głodu.

- Ja też - powiedziała Jeanette, czym go zaskoczyła.

- Możemy zamawiać - rzekła Maddie. - Cal powinien się zjawić lada chwila.

- A gdzie Katie? - zapytała Jeanette.

- Poszła odrabiać lekcje do koleżanki. Choć bardzo w to wątpię, bo Grahamowie mają basen.

Tom spojrział na nią z zainteresowaniem. Zorientował się, że między Maddie a Calem jest spora różnica wieku, pewnie z dziesięć lat. Cal był niewiele po trzydziestce, tak jak on.

- Ile macie dzieci?

- Ja piątkę - odparła Maddie. Wskazała na Cole'a i Jessicę Lynn. - Te z Calem, ale mam trójkę z pierwszego małżeństwa. Tyler jest na drugim roku w Duke, Katie poszła do koleżanki, a Kyle zaraz przyjedzie z Calem.

- Pracujesz na cały etat? - spytał z podziwem.

- W dodatku świetnie jej to wychodzi - powiedziała Jeanette. - Kobiety już takie są, że świetnie potrafią godzić z sobą wielorakie obowiązki - dodała protekcyjnie, patrząc na przedstawiciela gorszej płci.

Tom zmarszczył czoło, słysząc jej ton.

- Wiem. Staram się dowiedzieć, kto czym się tu zajmuje.

Maddie popatrzyła na Jeanette przenikliwie. Dopadnie ją potem, to oczywiste.

- Ucieszysz się, bo Jeanette jest fantastycznie zorganizowaną osobą, a będzie reprezentować naszą firmę w świątecznym Komitecie. Ty nim pokierujesz, prawda?

- Tak. - Ta informacja stawiała narzuconą mu funkcję w nieco lepszym świetle. Wspólna praca pozwoli mu zbliżyć się do Jeanette, która właśnie mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Widzę, że wcale się nie znacie, więc co ty tu robisz? - zapytała mało taktownie.

Maddie omal nie zabiła jej wzrokiem.

- Zaprosiłam go. Uprzedzając twoje pytanie, zrobiłam to na prośbę Cala. Zadzwoił, że spotkał cię w kinie i namówił na pizzę. To Cal wpadł na pomysł, by ściągnąć Toma. W ten sposób pozna kilka osób.

Jeanette usiadła i zaczęła studiować memu. Tylko zaróżowione policzki świadczyły, że czuje się zażenowana.

Wraz z przybyciem Cala i chłopców przy stole zapanował taki rozgardiasz, że nie było szans na rozmowę. Dopiero w drodze na parking Tom podszedł do Jeanette.

- Przepraszam, jeśli popsułem ci humor - zagadnął, przyglądając się jej uważnie. - Maddie nie powiedziała mi, kto będzie, kiedy mnie zapraszała. Miałem już tak dość siedzenia w hotelowym pokoju, że jej propozycja była nie do odrzucenia.

Jeanette westchnęła.

- Przepraszam. Wiem, że zachowałam się jak idiotka, ale nie znasz jeszcze Maddie i jej przyjaciółek. Zaraz zaczną... się wtrącać.

Podumał przez chwilę, wreszcie zaskoczył.

- Swatki?

- Żebyś wiedział. Nawet było zabawne, gdy robiły to we własnym gronie, ale teraz skupiły się na mnie, a to mnie dobija. Zresztą ty też zostałeś postawiony w niezręcznej sytuacji.

- Wcale nie. Dla mnie to była prawdziwa niespodzianka, kiedy zobaczyłem, jak wchodzisz do sali. Miałem nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

To wyznanie tylko dołało oliwy do ognia.

- Nie chodzę na randki - stwierdziła z naciskiem. Chciała go zniechęcić, lecz zamiast tego jeszcze bardziej go zaintrygowała. Zawsze pociągało go to, co było trudne do zdobycia.

- Musi się za tym kryć jakaś historia. - Przytrzymał jej wzrok.

Po kilku sekundach Jeanette odwróciła oczy.

- I to niejedna, niestety.

Ruszyła, ale szybko się z nią zrównał.

- Musimy się kiedyś umówić, byś mi o nich opowiedziała.

- Masz na myśli randkę? - sarknęła.

- Niekoniecznie - odrzekł z powagą. - Możemy potraktować to jako niewinną przyjacielską kolację przy butelce wina.

- Niewinną? Jakoś to do ciebie nie bardzo pasuje. Nawet nie próbował się wykręcać.

- Przez ten dołeczek w policzku, co? - Skrzywił się z przesadą.

- Niezły gracz z pana, panie McDonald.

- Zawsze mi powtarzano, że wiara w siebie to najważniejsza zaleta.

Czyżbym coś źle zrozumiał?

- Wiara w siebie, też mi coś - droczyła się. - Zwyczajna arogancja, ot co.



- Uwierz mi, popracuję nad sobą i stanę się lepszym człowiekiem - obiecał z przesadną skruchą.

- Zobaczymy.

- Mogę się samodoskonalić od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu, jeśli tylko zgodzisz się pójść ze mną na kolację.

- Staniesz się lepszy, to już będzie dla ciebie wystarczającą nagrodą. Dobranoc.

- Może cię podwieźć? - zapytał z nadzieją.

- Nie, dziękuję. Jestem samochodem.

- No to może ty mnie podwieszisz?

- A co będzie z twoim autem? Tom wzruszył ramionami.

- Zabiorę go jutro.

Jeanette wreszcie się roześmiała.

- Jesteś niemożliwy.

- Nie ty pierwsza mówisz mi to w ten weekend.

- Kobiety nie dają ci spokoju.

- To akurat była moja matka.

- Wiedziała, co mówi, bo zna cię najlepiej. Wsiadła do samochodu, machnęła do Toma i odjechała, zostawiając go w chmurze kurzu.

Znowu go odrzuciła. To nie działało dobrze na jego ego, za to jeszcze mocniej motywowało do działania. Wygra. Lepiej niż ona zna zasady tej gry, czuł to przez skórę. I nigdy nie ponosi porażki. Nie wtedy, gdy mu na czymś zależy.

Cieszył się, że Jeanette będzie członkiem komitetu, bo to oznaczało ich częste kontakty; ale też liczył, że na razie burmistrz da mu trochę spokoju. Tym bardziej więc się zdziwił, gdy w poniedziałek, ledwie wszedł do biura, Teresa oznajmiła, że wszyscy już czekają.

- Jest cały komitet - dodała z uśmiechem. - Podałam kawę i pączki.

- Jaki komitet? - zdumiał się. - Nie wiem o żadnym spotkaniu.

Wytrzymała jego chmurne spojrzenie.

- Komitet zajmujący się obchodami Bożego Narodzenia. Howard rozmawiał z tobą na ten temat. Prosił, bym zorganizowała dzisiejsze zebranie.

A to łotr, pomyślał ze złością. Sekretarka też nie jest lepsza, skoro tak chętnie wykonuje polecenia burmistrza. Cóż, musi się dostosować, inaczej jego kariera w Serenity nie potrwa długo.

- No dobrze, powiedz mi coś o tych ludziach. - Postara się szybko mieć ich z głowy, a potem pomyśli, czy na pewno nadaje się do służby publicznej. Nie tak dawno wydawało mu się to bardzo szlachetnym zajęciem, lecz zaczynał mieć wątpliwości. Jeśli głównym zadaniem ma być wybieranie świątecznych ozdób na latarnie czy podobne głupstwa, to szkoda czasu. Nie spotkał się z takimi problemami w miastach, w których dotychczas pracował. Był specjalistą od planowania i finansów, w tym się wyżywał zawodowo i na tym polu odniósł liczne sukcesy.

Uważnie słuchał Teresy. Poza Howardem i Jeanette, w skład komitetu wchodził Ronnie Sullivan, właściciel sklepu budowlanego przy głównej ulicy, i Mary Vaughn Lewis, prezeska izby handlowej.

- Uważaj na nią - bez ogródek ostrzegła go Teresa. - Będzie próbowała cię poderwać. Taka po prostu już jest.

Był wdzięczny za ostrzeżenie, choć z drugiej strony... Jeśli ta cała Mary Vaughn Lewis zacznie okazywać mu zainteresowanie, może Jeanette nieco spuści z tonu? Lepiej jednak nie robić aż tak szczegółowych planów, bo zwykle nic z nich nie wychodzi. Ogólna strategia, i owszem, lecz taktykę należy ustalać zgodnie z aktualną sytuacją. Kobiety są znacznie bardziej

nieprzewidywalne niż budżet miejski, o czym jako specjalista od finansów i doświadczony przez życie mężczyzna doskonale oczywiście wiedział.

Jeanette nerwowo stukała długopisem w mahoniowy blat. Musiała zmodyfikować plan dnia, by wyrwać się na zebranie, a Toma wciąż nie było.

Nie żeby się za nim stęskniła. Wczorajszy wieczór nie był dla niej miłym wspomnieniem. Zachowała się beznadziejnie, czego Maddie oczywiście nie omieszkała jej wypomnieć. Nie czekała też na jego awanse, czuła jednak, że Tom nie należy do tych, którzy łatwo ustępują.

- Tracimy czas - burknęła, pochylając się do Mary Vaughn. - Ty mogłabyś już sprzedać jakiś dom, a ja zrobiłabym kilka zabiegów. Jeśli on nie przyjdzie za pięć minut, wychodzę.

Ronnie Sullivan, mąż Dany Sue, puścił do niej oko.

- Spokojnie, słonko. W Serenity nigdzie się nie śpieszymy.

- Powiedz to Maddie!

- Przecież to ona cię tu wysłała, więc się nie przejmuj.

Obecność Ronniego zaskoczyła Jeanette. Dana Sue z pewnością nie wiedziała, że w skład komitetu wchodzi Mary Vaughn, bo w innym przypadku też by tu była, by pilnować męża.

Popatrzyła na kosztowny kostium Mary Vaughn, masywną złotą biżuterię i wysadzany brylantami zegarek, wart pewnie więcej niż jej miesięczna pensja, i nagle ją tknęło. Oto idealna kobieta dla Toma. Samotni profesjonaliści nastawieni na sukces, którzy szukają bratniej duszy. Jej problem sam się rozwiąże, gdy tylko ci dwoje się poznają. Tom da jej spokój, gdy zwietrzy łatwiejszy łup.

Dziwne, lecz ten jakże rozsądny pomysł wcale nie przypadł jej do gustu.

Wreszcie Tom się pojawił. Nie wyglądał na uszczęśliwionego tym, że z samego rana musi poprowadzić zebranie. Był w starannie uprasowanych granatowych spodniach, szaroniebieskiej, idealnie pasującej do jego oczu koszuli ze złotymi spinkami i w krawacie, który lekko już poluzował, lecz i tak wyglądał jak spod igły. Serce zabiło jej szybciej, choć nie był w jej typie. Woląa bardziej nonszalanckich facetów, choć z drugiej strony zdrowo się przejechała na jednym z takich luzaków.

- Witam państwa - uprzejmie powiedział Tom, a jej znów przeszedł dreszczyk po plecach. Z uśmiechem podawał rękę, jedynie w stosunku do Howarda był bardziej zdystansowany.

Burmistrz nawet tego nie zauważył. Promieniał, podobnie jak Ronnie.

Mary Vaughn przesunęła po nowym dyrektorze uważnym spojrzeniem. Jeanette obserwowała ją kątem oka. Spostrzegłszy, że Tom nie ma obrączki, agentka zręcznie poprawiła żakiet, szerzej odsłaniając dekolt, na co Jeanette jęknęła w duchu.

- Howardzie, zainicjowałeś to zebranie i na pewno masz przygotowany program - zagadnął Tom. - Nie znam tutejszej tradycji, więc może zacznij, a ja się włączę za każdym razem, gdy będę miał jakieś sugestie.

Domyśliła się po jego tonie, że ma dokładnie takie samo jak ona podejście do tego całego komitetu i w ogóle do świąt.

Howard nie kazał się prosić. Nim minęła godzina, zobowiązał Mary Vaughn, by przeprowadziła rozmowy z miejscowymi chórami, Ronniemu zlecił zajęcie się dekoracjami, a Jeanette miała skontaktować się z chętnymi do wystawienia kiermaszowych straganów.

- Tom, pomożesz jej w tym, dobrze? - dodał ku wyraźnemu rozczarowaniu Mary Vaughn.

- Oczywiście. - Bezcelnie puścił do niej oko.

- Zapowiadają się nam święta, jakich jeszcze w Serenity nie było - radośnie zaświergotał Howard. - Dobrze się sprawiliśmy. No to widzimy się za tydzień o tej samej porze.

- Będziemy spotykać się co tydzień? - przeraziła się Jeanette.

- Oczywiście. Musimy śledzić postęp prac i wszystko koordynować na bieżąco - odparł Howard. - Ot, choćby ja. Mogę być Świętym Mikołajem - rozmarzył się - ale bez swoich elfów nic nie zdziałam.

Tom miał taką minę, jakby chciał go dźgnąć długopisem prosto w serce. Jeanette doskonale go rozumiała.

- Nie warto iść za niego siedzieć - wyszeptała, mijając Toma.

- Jesteś pewna? - mruknął przez zaciśnięte usta.

- Raczej tak. Choć zaczekaj do przyszłego tygodnia. Mam w spa długopisy z wyjątkowo ostrą końcówką, może zabiorę je z sobą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy wreszcie dotarła do pracy, była zła na stracony czas i na szefową, że ją w to wrobiła. Co tydzień będzie marnować dwie godziny, i to aż do samych świąt! W dodatku Maddie znów nawiązała do jej zachowania względem Toma. Jeanette miała tego serdecznie dość. Mamrocząc gniewnie, weszła do barku.

- O, jesteś! - wesoło powitała ją Helen. - Jak się udało zebranie? Podobno nowy dyrektor jest niczego sobie.

Jeanette skrzywiła się ponuro.

- Ty też? - burknęła, odwracając się na pięcie. - Już nasłuchiłam się od Dany Sue i Maddie.

Helen podeszła, nim zdążyła zamknąć drzwi swego pokoju.

- Oho! Widzę, że się nie wstrzełam. Powiesz, w czym rzecz?

- A w tym, że wreszcie dajcie mi święty spokój! - wybuchnęła. - Nie próbujcie mnie na niego napuszczać. Jeśli zechcę, sama sobie znajdę faceta.

W bystrych oczach Helen zapaliły się wesołe ogniki.

- Jasne.

Jeanette sposepniała jeszcze bardziej.

- Nie bierzecie moich słów serio. Dlaczego nie traktujecie mnie poważnie? To teraz taka moda u Słodkich Magnolii? Wścibstwo i protekcjonalizm?

Helen już się nie uśmiechała.

- Skarbie, jak najpoważniej odnosimy się do twojej pracy w spa.

- Tylko że to nie odnosi się do mojego prywatnego życia - rzuciła oskarżycielsko.

- Bo w tej dziedzinie jesteś dokładnie taka jak my, nim zakosztowałyśmy małżeńskiego szczęścia.

Jeanette westchnęła ciężko.

- Mniej więcej to samo usłyszałam od Dany Sue.

- Wszystkie przez to przeszłyśmy.

- To znaczy?

- Zapierałyśmy się, ile wlezie.

- Nie znam Toma McDonalda. Zetknęłam się z nim wszystkiego trzy razy. Nie jest w moim typie. Jest zbyt zdystansowany i sztywny. - Było to dalekie od prawdy, lecz przecież nie powie, że ma uroczy dołeczek w policzku i mnóstwo naturalnego wdzięku. Wtedy dopiero nie dałyby jej żyć!

- Maddie i Dana Sue nie tak go opisywały.

- A jak? - Niestety nie zdołała powstrzymać ciekawości.

- Wysoki, przystojny, bystry i seksowny. Ma dołeczek w policzku. Maddie natychmiast go wypatrzyła.

- Tak? Nie widziałam - skłamała. - Ale to chyba za mało, by na tej podstawie budować związek na całe życie.

- Tak, oczywiście... Aha, czy wspomniałam, że jest zamożny? Chodzą słuchy, że pochodzi z bogatej rodziny. O ile pamięć mnie nie myli, kiedyś byłam na imprezie dobroczynnej, na której byli jego rodzice.

- To nic nie zmienia. Gdyby zależało mi na pieniądzach, zostałabym w salonie w Charlestonie. Poza tym, jeśli naprawdę jest taki bogaty, to po co przyjechał tutaj, gdzie dostaje grosze? Wydziedziczyli go? A może taki z niego święty, że pragnie coś zrobić dla dobra ludzkości? Zresztą co nadzieemu facetowi po kobiecie, która robi zabiegi kosmetyczne?



- I masaże - tłumiacz uśmiech, dodała Helen. - Nie zapominaj o masażach, bo to bardzo bierze. Erik wciąż nalega, bym się u ciebie podszkoliła.

- Przecież wiesz, o czym mówię. Mężczyzna z bogatej rodziny, szczególnie takiej z tradycjami, szuka kobiety z towarzystwa, z odpowiednimi koneksjami, czego o mnie nie da się powiedzieć.

- Nie mam pojęcia, czego akurat szuka Tom McDonald. Nie widziałam go na oczy. Czemu go sama nie spytasz?

- Bo nie chcę stwarzać wrażenia, że się nim interesuję - rzekła z uporem. - Przepraszam, ale muszę zaparzyć sobie kawy, bo w barku jej nie podajemy, a już czekają na mnie klientki.

- No to się zmywam - rzekła Helen i dodała z uśmiechem: - Może w przyszłą niedzielę wpadniesz do nas na kolację? Będą wszyscy.

Jeanette zwięzła oczy.

- Wszyscy?

- Maddie z Calem i dziećmi, Dana Sue i Ronnie, może Tyler i Annie. Jeśli masz jakieś opory, to od razu mówię, że Erik będzie gotować, nie ja, czyli na pewno się nie potrujemy.

- Dobrze wiedzieć. - Gdy tam się zjawi, nie zostawią jej w spokoju, ma to jak w banku, ale przynajmniej będzie miała okazję stanowczo zaprotestować przed szerokim audytorium i zniechęcić wścibskich przyjaciół do dalszych podchodów. - Dobrze. Może coś przynieść? Wino? Napoje? Ciasto?

- Ciasto sobie daruj. Erik się w tym specjalizuje, więc sam zatroszczy się o desery. Jak raz przyniosłam do domu mrożony placek z owocami, to przez miesiąc mi to wypominał. Wiesz co, może tequilę? Będę robiła margaritę.

- Twoją zabójczą margaritę? - upewniła się.

Helen uśmiechnęła się szeroko.

- A są jakieś inne? Zwłaszcza że chwilowo żadna z nas ani nie jest w ciąży, ani nie karmi. To cud, swoją drogą... Przyjdź koło czwartej, dobrze?

- Dobrze - potwierdziła, choć nie do końca wierzyła w jej zapewnienia. Helen jest gotowa zaprosić Toma, choćby po to, by sprawdzić, czy naprawdę jest taki przystojny, jak o nim mówią - a przede wszystkim po to, by znów po swojemu namieszać.

Tuż przed porą lunchu Mary Vaughn bez słowa minęła biurko Teresy i weszła do gabinetu Toma. Zamierzała zapytać go o coś w związku z komite-tem, a potem zręcznie dowiedzieć się, czy ma plany na lunch.

Zatrzymała się jak wryta, bo pokój był pusty. Odwróciła się do sekretarki.

- Nie ma go.

- Powiedziałabym ci, gdybyś choć na sekundę zwolniła - z satysfakcją odparła Teresa.

- Gdzie jest?

- Ma spotkanie poza ratuszem.

- Kiedy wróci?

- Trudno powiedzieć. Przekazać mu, że byłaś? Wiedziała, że jeśli nie poda racjonalnej przyczyny,

wszyscy od razu domyślą się, w co pogrywa. A mianowicie że próbuje zastawić na niego sidła. Całe miasteczko uważało, że ma hopla na punkcie facetów, co zresztą nie było prawdą, bo był tylko jeden, dla którego serce było jej żywiej, a mianowicie Ronnie Sullivan. Lecz akurat o nim mogła zapomnieć, bo wrócił do Dany Sue.

Małżeństwo z Sonnym Lewisem od samego początku było skazane na porażkę i wcale się nie zdziwiła, kiedy rozpadło się po dziesięciu latach. Zdumiewające było jedynie to, że o rozwód wystąpił łagodny, zawsze skory do zgody Sonny. Przeżyła to. Miała ukochaną córkę i pracę, która dawała jej niezależność. Dzięki małżeństwu z Sonnym zdobyła powszechny szacunek, czego pragnęła od dziecka. Ich związek pewnie nadal był trwały, gdyby Sonny się nie zbuntował.

- To jak? - głos Teresy przywołał ją do rzeczywistości.

- Słucham?

- Mam przekazać, że byłaś?

- Nie, dzięki. Później się z nim skontaktuję.

Już miała przejść przez ulicę, gdy ujrzała Toma wysiadającego z samochodu. Rozpromieniła się w uśmiechu.

- Hej! - zawołała. - Właśnie cię szukałam. Przez mgnienie miał stropioną minę, lecz szybko skojarzył twarz z nazwiskiem.

- Mary Vaughn, prawda?

- Masz doskonałą pamięć. Domyślam się, jakie to stresujące znaleźć się w nowym miejscu, gdzie nikogo się nie zna. Nie doświadczyłam tego na własnej skórze, bo mieszkam tu od zawsze. Znam wszystkich i ich skrywane tajemnice. - Zarumieniła się pod jego spojrzeniem. - Oczywiście to nie są jakieś mroczne sekrety. Chciałam tylko powiedzieć, że wszystkich dobrze znam. Mogę ci co nieco opowiedzieć, jeśli masz chwilę. Chętnie postawię ci lunch u Whartonów czy w „Sullivan's”. To najlepsza restauracja w miasteczku. Byłeś tam już?

- Owszem. Rzeczywiście jest świetna. Dzięki za zaproszenie, ale mam tyle zajęć, że nie dam rady. Poprzestanę na kanapce przy biurku. Teresa pewnie już ją zamówiła.

Mary Vaughn natychmiast się wycofała.

- To może innym razem. Jak ci idzie szukanie domu? Wiem od Howarda, że za czymś się rozglądasz. Z przyjemnością pokażę ci kilka nieruchomości. Mogę przefaksować ci ciekawe oferty.

- Bardzo proszę, choć nie wiem, kiedy będę miał czas, żeby je przejrzeć. Odezwę się, dobrze?

Zdusiła westchnienie. Dzisiaj poległa na wszystkich frontach, lecz nie podda się i jak zawsze z uśmiechem na twarzy pójdzie dalej. Tak robiła przez całe życie i nikt nie miał bladego pojęcia o jej problemach.

- Dzwon, kiedy zechcesz - powiedziała z promiennym uśmiechem.

Odeszła dumnie wyprostowana.

- I co, Mary Vaughn cię dopadła? - zapytała Teresa, gdy tylko przestąpił próg biura.

- Słucham? - zapytał z roztargnieniem. - Ach tak. Wpadłem na nią na ulicy. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, o co jej chodziło.

- Naprawdę się nie domyślasz? - zakpiła, idąc za nim do gabinetu. - Zagięła na ciebie parol. Ostrzegałam cię przed nią, pamiętasz? Lepiej mi zaufaj. Niejeden raz widziałam ten błysk w jej oku. Ostatnio ostrzyła sobie zęby na Ronniego Sullivana, ale Dana Sue szybko to przecięła.

- Tereso, plotki mnie nie interesują - rzekł znużonym głosem, jednak intuicyjnie czuł, że Mary Vaughn była nim zainteresowana. Zaprosiła go na lunch, a także zaoferowała pomoc przy znalezieniu domu. Jednak z tą propozycją wyszła dopiero później. Najpierw był lunch we dwoje.

Nie miał zamiaru zwierzać się z tego Teresie.

- Jedyne, co ją interesuje, to sprzedanie mi domu.

Wzniosła oczy do nieba.

- Mężczyźni! - sarknęła z irytacją. - Kanapka jest na biurku. Żytni chleb z szynką i serem. Poprosiłam, żeby dodali sałaty i pomidora, będzie zdrowsza.

- Dzięki. Nie łącz telefonów przez kwadrans, dobrze?

- Ja też mam przerwę na lunch. Na ten czas włączam taśmę.

Jeszcze lepiej, pomyślał. Odgryzł kęs kanapki, sięgnął po telefon i wybrał numer Jeanette. Miał świetny pretekst, by trochę się z nią podroczyć. Obmyślił nową taktykę i chętnie ją wypróbuje. Jeśli się nie uda, wymyśli nową. Strategiczny cel oczywiście niezmiennie pozostaje ten sam.

- Jestem w trakcie zabiegu - powiedziała. - Mogę oddzwonić później?

- A zrobisz to?

- Oczywiście, chyba że próbujesz się ze mną umówić, bo w takim razie od razu mówię „nie”. Zaoszczędzimy sobie czasu.

Tom roześmiał się.

- Chętnie bym ci zaproponował randkę, problem w tym, że wybujałe ego Toma McDonalda nie zniesie kolejnej odmowy. Chciałem, żebyśmy się spotkali i pogadali na temat kupców, których mamy ściągnąć.

- Naprawdę? - spytała z powątpiewaniem.

- Daję słowo, Howard lada moment mnie o to zahaczy, więc muszę być przygotowany.

- Chcesz się spotkać w tej sprawie? W ratuszu? - W jej głosie jakby zabrzmiała nutka zawodu.

Właśnie to chciał osiągnąć.

- W ratuszu albo w każdym innym miejscu - rzekł lekko. - Mogę przyjechać do spa, możemy umówić się gdzieś na kawę. Wybierz. - Gdy cisza zaczęła się przeciągać, dodał cicho: - Jeanette, jesteś tam?

- Jestem, jestem... Właśnie się zastanawiam. Przyjedź o szóstej. Usiądziemy na patio przy herbacie. O tej porze jest tu cisza i spokój.

- Wpuścisz mnie do klubu? - zapytał z udanym zdumieniem.

- Tylko na patio.

- Hm, a było już tak blisko... Ale i tak dzięki. Będę o szóstej.

- Dobrze.

- Czekam na to - dorzucił.

Już odkładał słuchawkę, gdy usłyszał, jak Jeanette woła:

- To służbowe spotkanie!

- Niech ci będzie - wyszeptał, rozłączając się. - Niech ci będzie.

Służbowe spotkanie, akurat! Przez całe popołudnie powtarzała sobie w duchu te słowa. Była pewna, że Tom wykorzystał pretekst, by się z nią zobaczyć. Wydaje mu się, że go nie przejrzała. Jeśli w ciągu pięciu sekund po przyjściu nie zacznie mówić na służbowe tematy, wykopie go stąd. Mogłaby poprosić o pomoc Elliotta, ale o tej porze już go nie będzie.

- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? - Do pokoju wsunęła głowę Maddie. - Coś się stało?

Tylko tego brakowało, by powiedziała jej o służbowym spotkaniu z dyrektorem zarządu miasta. Maddie z miejsca by ją wyśmiała, a potem kazała poprawić makijaż i fryzurę.

- Nie, wszystko w porządku.

- W takim razie idę do domu. Do jutra.

- Miłego wieczoru.

- Tobie również. Masz jakieś plany?

- Tylko służbowe spotkanie. - Za późno ugryzła się w język. Szefowa nie wtrącała się w jej kontakty związane ze spa, lecz zawsze była o nich informowana. Po co się z tym wyrwała? Maddie zatrzymała się w pół kroku.

- Urzędowe spotkanie?

- Nie dotyczy spa. - Cóż, lepiej od razu powiedzieć prawdę. - Komitet bożonarodzeniowy.

Maddie od razu zapaliły się oczy, a Jeanette właśnie tego wprost panicznie się bała.

- Spotykasz się z Tomem? - rozpromieniła się. - Wspaniale. Może zrehabilitujesz się za tamten wieczór.

- Proszę, tylko niczego się nie doszukuj.

- Gdzieżbym śmiała! - odpowiedziała z uśmiechem. - Jutro mi wszystko opowiesz. Tylko wiesz, choć to służbowe spotkanie, popraw trochę makijaż. No i jesteś trochę potargana.

Jeanette odprowadziła ją gniewnym wzrokiem, z trudem powstrzymując przekleństwo. A przecież nigdy, nawet w myślach, nie klęła!

Po drodze na patio wzięła dwie szklanki mrożonej herbaty i ostatnie dwa rożki. Jeśli Tom się spóźni, sama je zje. I na pewno nie poprawi tego cholernego makijażu!

Przyszedł dokładnie o szóstej.

- Nic mi tu nie grozi? - zapytał teatralnym tonem, rozglądając się czujnie. - Nie ma tłumu dzikich, gołych kobiet?

- To wcale nie jest zabawne - stwierdziła oschle.

- Sama przyznasz, że miejsce tylko dla pań prowokuje do spekulacji o tym, co tu się dzieje. - Usiadł na wprost niej. - Jeden rożek dla mnie?

Niezbyt uprzejmie popchnęła ciastko w jego stronę.

- Tradycyjny, nie z rodzynekami, a z prawdziwą żurawiną.

- Wspaniale. - Przesunął po niej powolnym spojrzeniem, aż Jeanette zrobiło się gorąco. - Jak ci minął dzień?

- Byłam zajęta - odparła cierpko. Przypomniawszy sobie o pouczeniach Maddie, zdobyła się na uprzejmość i spytała: - A tobie?

- Też byłem zajęty. No i Mary Vaughn mnie dopadła.

Mimowolnie się najeżyła.

- Tak? Czego chciała?

- Teresa mówi, że ma na mnie oko. Co o tym myślisz?

- Nie było mnie przy tym, więc nie mogę wydać opinii - oparła z irytacją. Nie powinno jej obchodzić, co oni razem robią. Sama uznała, że świetnie do siebie pasują.

- Próbuje mnie namówić na kupno domu.

- Mężczyźni!- sarknęła Jeanette.

Tom zachichotał.

- Dokładnie tak samo zareagowała Teresa.

- Po co mi to mówisz?

- Pytałaś, jak mi minął dzień.

- Czyli nie chciałaś podstępnie wzbudzić we mnie zazdrości?

- Skoro jesteś stuprocentowo pewna, że nie chcesz się ze mną spotykać, to w jaki sposób mógłbym obudzić w tobie zazdrość? - zapytał z miną niewiniątka.

- Nie mógłbyś. Co nie znaczy, żebyś nie próbował.

- Moje ego jest zbyt wrażliwe, bym znów ryzykował odmowę.

- Ha!

- Taka jest prawda.

- Obiecałaś, że będziemy rozmawiać na służbowy temat - przypomniała mu surowo. - Zaczynaj.

- Nie wiem, czy mogę mówić z pustym żołądkiem. Czy to nie pora na kolację?



- Dałam ci rożka. To ci wystarczy na ten kwadrans, który tu spędzisz.  
- Masz ograniczony czas?  
- Zgadłeś.  
- Wiesz, że twarda z ciebie sztuka?  
- Szczycę się tym.  
- W takim razie bierzmy się do dzieła. - Otworzył kosztowną skórzaną teczkę i wyjął z niej listę.

Miał dużą, nieco zgrubiałą dłoń. Chyba nie spędzał czasu wyłącznie za biurkiem. Mogła wyobrazić sobie dotyk jego ręki. Na samą myśl krew znowu w niej zawrzała.

Tom niczego nie spostrzegł.

- Znalazłem tę listę. To spis kupców, którzy przez ostatnich dziesięć lat brali udział w świątecznym festiwalu. Zwróćmy się do nich.

- Oczywiście. - Jeszcze nie otrząsnęła się z zaskoczenia, że Tom rzeczywiście przeszedł do meritum. - Zamieścimy ogłoszenia w lokalnych gazetach albo przekażmy mediom urzędowy komunikat, że szukamy nowych chętnych. Co o tym myślisz? Chodzi mi o to, by nie wyglądało, że nikt inny nie może się włączyć, poza tym zawsze się przyda zastrzyk nowej krwi. Im więcej stoisk i kramów, tym lepiej. To przyciąga ludzi, przychodzą i chętnie coś kupują.

Do niej to się nie odnosiło. Odkąd zamieszkała w Serenity, czyli trzy lata temu, ani razu nie wybrała się na świąteczny kiermasz.

- Dobry pomysł - pochwalił szczerze Tom. - Raczej damy urzędowy komunikat, a nie reklamowe ogłoszenie, bo fundusze są ograniczone. Lepiej spożytkować je na rozpropagowanie samej imprezy.

Po czternastu minutach zamknął teczkę i wstał.

- No dobrze, czas dobiegł końca. Dziękuję za spotkanie.

Zamurowało ją. Choć sama złośliwie ustaliła limit, nie spodziewała się takiego zakończenia.

- Omówiliśmy wszystko, co chciałeś?

- Prawie. Dam znać, gdy będzie jakiś odzew. Musimy zastanowić się nad rozlokowaniem straganów, ale to może trochę poczekać. Howard, jak go znam, chciałby to mieć na jutro, lecz myślę, że powinniśmy z tym poczekać do listopada. Do Święta Dziękczynienia zapewne będziemy mieć wszystkie zgłoszenia.

- Dobrze. Miłego wieczoru.

- Tobie również. - Popatrzył jej w oczy, przytrzymał jej wzrok. - Och, do diabła! - Pochylił się i pocałował ją w usta... bardzo gorąco.

Nim zdążyła zareagować, odszedł. Westchnęła głęboko. Może i dobrze, że tak szybko się zabrał, bo jeszcze mgnienie, a zamiast go spoliczkować, oddałaby mu pocałunek. Tyle warte jej przeświadczenie, że jest całkowicie odporna na facetów w ogólności, a na tego w szczególności. Najwyraźniej hormony nie znoszą posuchy. W każdym razie jej hormony.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Zachował się bez sensu, ulegając nagłej pokusie, by pocałować Jeanette. Zły na siebie pośpiesznie wracał do pensjonatu. Najchętniej puściłby się biegiem, by rozładować napięcie. Szybki marsz to za mało, żeby odepchnąć wspomnienie jej miękkich ust, zapachu kojarzącego się z kwiatami i słońcem, cichego pomruku, który wydobył się z jej piersi, świadczącego, że nie jest jej aż tak obojętny, jak z uporem to sygnalizowała.

- Cholera - mruknął. Miał inne plany na życie, nie chciał wdawać się w żaden układ, a coraz wyraźniej czuł, że Jeanette może skomplikować mu życie.

Na szczęście zadzwoniła komórka, wyrrywając go z ponurych rozmyślań.

- Tom? Mówi Cal.

Niemal westchnął z ulgą.

- Miałem do ciebie dzwonić, że jeszcze nie zdążyłem przejrzeć projektu, ale pamiętam o nim.

- Nie ma sprawy. Dzwonię z propozycją. Ronnie Sullivan, ten z komitetu, Erik Whitney z „Sullivan's" i ja wybieramy się do parku pograć w piłkę, a potem wypić parę piw. Może się przyłączysz?

- Kiedy? - zapytał z entuzjazmem.

- Za jakieś dwadzieścia minut. Będziemy koło altany.

- Tylko się przebiorę i już jestem.

Od razu humor mu się poprawił. Jeśli solidnie przyłożą się do gry, szybko otrząśnie się z dręczących wspomnień.

Dwie godziny później padał ze zmęczenia. Grali z zapalem, żaden się nie oszczędzał. Naprawdę świetni faceci, pomyślał, popijając drugie piwo. Język mu się rozplatał.

- Co jest z tą Jeanette? - zapytał bez zastanowienia. - Znacie ją, prawda?

Cal, Ronnie i Erik wymienili rozbawione spojrzenia.

- A nie mówiłem? - Cal wyciągnął rękę do pozostałych. - Płacić.

- Co mówiłeś? - z niepokojem zapytał Tom.

- Że Jeanette wpadła ci w oko i wystarczą dwa piwa, byś zaczął o nią pytać.

- Założyliście się o to?!

- O wszystko robimy zakłady - odparł Ronnie, podając Calowi pięciodolarówkę. - To nas trzyma w formie. Lubimy rywalizację.

- Płacę, ale zgłaszam protest - rzekł Erik, wręczając Calowi pieniądze.

- Miałeś przewagę, bo wcześniej widziałeś ich razem, a my nie.

- Przestań jęczeć. Dana Sue lub Helen na pewno wszystko ci opowiedziały ze szczegółami. A Ronnie widział ich na zebraniu komitetu.

Erik uśmiechnął się.

- Może i coś słyszałem, ale w pracy jestem tak zajęty, że nic z tego, co mówi Dana Sue, do mnie nie dociera.

- Żony też nie słyszysz? - zakpił Cal.

- Żartujesz? Już ona dopilnuje, bym nie przepuścił ani słowa.

Tom uciszył ich gestem.

- Poczekajcie. Czy to znaczy, że wy i wasze żony pospołu kombinujecie na temat mnie i Jeanette?

- Tak - potwierdził Ronnie, klepiąc go współczująco po plecach. - Witaj w świecie Słodkich Magnolii.

- Cholera! - zaklął Tom. - Jeanette ostrzegła mnie, że lubią bawić się w swatki, ale nie przypuszczałem, że do tego stopnia.

- Nasze panie to zgrany zespół - wyjaśnił Cal. - Okazałeś zainteresowanie Jeanette, więc już ci nie odpuszczą.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle - rzekł Tom. - Ale widzę, że na Jeanette to działa fatalnie.

Oświadczyła, że nie obchodzi jej ani ja, ani w ogóle całe męskie plemię.

- Wszystkie tak się opierały - pocieszył go Cal. - Ze mną i Maddie było jeszcze gorzej, bo poza różnicą wieku byłem trenerem jej syna. Omal nie doszło do skandalu. Ronnie i Dana Sue mieli... powiedzmy, pewne przejścia, które ich rozdzieliły, i Ronnie musiał bardzo się starać, by znów się połączyli.

- Mówiąc bardzo oględnie - dodał Erik, szturchając Ronniego w ramię.

- Erik i Helen to jeszcze inna historia - ciągnął Cal. - Za nic nie chcieli się wiązać. Mieliśmy dużo uciechy, obserwując ich jazdę w dół.

- Czemu Jeanette jest taka płochliwa? - zapytał Tom z nieco zbyt dużym zainteresowaniem.

- Nie mam pojęcia - odparł Cal. - Odkąd ją znamy, jest sama.

- Poczekaj - wtrącił Ronnie. - Czy nie mieszkała z jakimś facetem, zanim się tu przeprowadziła? W każdym razie coś mi się obiło o uszy... No tak, suszył jej głowę, że za bardzo poświęca się pracy. Poza tym nie chciał przenosić się z Charlestonu.

- Jeanette mieszkała w Charlestonie? Nie wiedziałem. Stamtąd pochodzi?

- Nie, z jakiegoś miasteczka na Południu - rzekł Erik.

Ronnie podsunął Tomowi kolejne piwo.

- Przejdźmy do rzeczy, stary. Jesteś nią poważnie zainteresowany czy tylko szukasz rozrywki?

Tom wlepił w niego wzrok. Mieszkał tu ledwie od miesiąca, Jeanette znał jeszcze krócej, a oni chcą wiedzieć, czy ma względem niej poważne zamiary?

- W jakim sensie? Czy widzę w niej kandydatkę na żonę?

- Właśnie - potwierdził Cal.

- Przecież prawie jej nie znam. - Wzruszył ramionami. - I tak pozostanie, jeśli ona nie zmieni swego nastawienia.

- Moglibyśmy ci pomóc - zaproponował Cal. - Ale tylko wtedy, jeśli uznamy, że podchodzisz do tego poważnie.

- Pomóc? - Przyglądał się im podejrzliwie. Było jasne, że zostali nasłani przez żony. Cholerni pantoflarze!

- W niedzielę wszyscy będą u nas na kolacji, łącznie z Jeanette - znacząco powiedział Erik. - Mógłbym cię zaprosić.

- Pod warunkiem, że mam uczciwe intencje - dopowiedział Tom.

Wszyscy trzej z powagą skinęli głowami.

- Bo jeśli tak nie jest, skrzywdzisz ją i będziemy musieli ci nakopać - z niewzruszoną miną rzekł Ronnie.

Tom roześmiał się, lecz był to solowy występ, bo mężowie Słodkich Magnolii zachowali śmiertelną powagę. Więc i on spoważniał.

- Jasne, rozumiem. Jeanette ma trzech obrońców.

- I trzy ostre kobitki - dodał Cal.

- To może lepiej zainteresuję się Mary Vaughn - powiedział Tom.

Mężowie Słodkich Magnolii wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Chyba trochę przegięliśmy - podsumował Erik.

- Pewnie tak - potwierdził Cal.

- Sprawdzaliście mnie? - domyślił się Tom.
- Żebyś wiedział - z ociąganiem przyznał Ronnie.
- Takie mieliśmy wytyczne - wyjaśnił Cal.
- I co, przeszedłem? - Nie czuł się dotknięty, raczej ciekawy wyników.
- Dla mnie jesteś fajnym gościem, ale moja opinia niewiele się liczy -

rzekł Cal.

- Wpadnij do nas w niedzielę - zaproponował Erik. - Nasze kobiety oznajmia ci werdykt.

Nie był do końca przekonany, czy chce się poddać ocenie tych Słodkich Magnolii. Jeanette miała serdecznie dość ich wtrącania się w jej życie. Choć, jeśli je sobie zjedna, może popchną Jeanette w jego stronę. Warto więc spróbować.

- Możecie na mnie liczyć - rzekł po namyśle.
- Odważny jesteś - pochwalił go Cal.
- Masz plus u mnie - powiedział Ronnie.

Erik uśmiechnął się ze współczuciem, jak człowiek, który kiedyś był w podobnej sytuacji.

Tom potrząsnął głową, dopił piwo. W co on się ładuje? Jeden upojny pocałunek i wpadł jak śliwka w kompot.

Słodkie Magnolie lubiły spotkania przy margaricie, by mogły pogadać o klubie i o życiu, lecz takie wspólne wieczory zdarzały się coraz rzadziej. Jeanette chętnie przychodziła na te pogaduszki, jednak tym razem miała złe przeczucia. Ledwie weszła, trzy przyjaciółki zamilkły jak na komendę.

- O co chodzi? - spytała z miejsca.

Helen pośpiesznie napelniła jej kieliszek aż po brzeg. Jeanette wzięła go, lecz wciąż była nieufna.

- Dlaczego nagle tak umilkłyście? - powtórzyła pytanie.

- Powiedz jej. - Dana Sue popatrzyła na Helen. - Ty to wykoncypowałaś, więc teraz mów.

Helen zaczęła się wzbraniać, lecz przyjaciółki były nieprzejednane.

- Tom będzie na niedzielnej kolacji - powiedziała. - Nasi mężowie wczoraj go zaprosili.

Jeanette przesunęła uważnym spojrzeniem po ich twarzach, wreszcie zatrzymała wzrok na Helen.

- To był twój pomysł?

- Nie całkiem. - Zerknęła na przyjaciółki. - Chciałyśmy zobaczyć was razem. No dobrze, Maddie się nie upierała. Ona już była raz z wami przy jednym stole.

- Jak to się stało, że go zaprosili? - dociekała.

- Normalnie - podjęła Dana Sue. - Poszli pograć w piłkę, Cal zadzwonił po Toma. Potem wypili kilka piw, jak to faceci.

- Sprawdzali go, tak? Wcale nie chodziło o piłkę. Znam was!

- Dla twojego dobra - mitygowała ją Maddie.

- Wiemy, jaki masz stosunek do mężczyzn. Jeśli zamierzasz się z kimś związać, niech będzie to ktoś odpowiedni i godny zaufania.

- Nie mam zamiaru się wiązać - kolejny raz powtórzyła Jeanette. - Dlaczego nie chcecie przyjąć tego do wiadomości?

- Bo ci nie wierzymy - bez ogródek odparła Helen. - Jestem prawnikiem i doskonale wiem, kiedy ludzie okłamują mnie... i siebie.

- No dobrze, sprawdzajcie go sobie do woli. Ja nie muszę przy tym być.

- Nie możesz się wycofać - zaprotestowała Maddie.

- Ciebie zaprosiłam pierwszą - przypomniała Helen. - Przyjęłaś zaproszenie.



- Naprawdę? Chyba tak ci się wydawało.

- Obiecałaś przynieść tequilę, mam to zapisane. Wiesz, że odkąd zostałam matką, wszystko notuję, bo inaczej wylatuje mi z głowy.

- A co ja mam powiedzieć, mając piątkę dzieci? - dorzuciła Maddie.

- Podsumowując - stwierdziła Helen, patrząc przenikliwie na Jeanette - przychodzisz do nas w niedzielę. Jeśli się uprzesz, nie pozostanie nam nic innego, jak odwołać Toma.

- Nie zrobisz tego. Jak to by wyglądało? Jest tutaj nowy, nikogo nie zna. Właśnie, czemu nie zaprosicie jeszcze kogoś, na przykład Mary Vaughn? Wiem, że wpadł jej w oko.

- Wtedy ja musiałabym zostać w domu - powiedziała Dana Sue. - I zatrzymać Ronniego.

- Mary Vaughn dla niego nie istnieje - obruszyła się Maddie. - I nigdy nie istniała.

- Co z tego? Nie mam do niej za grosz zaufania. - Dana Sue z powagą popatrzyła na Jeanette. - Ty też powinnaś to sobie wziąć do serca. Lepiej trzymać ją z dala od Toma.

- Ile razy mam powtarzać, że Tom mnie nie obchodzi?

W oczach Maddie migotały wesołe iskierki.

- Uważaj, bo ci uwierzymy.

Jeanette zacisnęła usta. Nie wygra z nimi. Nikt nie wygra ze Słodkimi Magnoliami. Helen uśmiechnęła się szeroko.

- No to doszliśmy do porozumienia. Zapowiada się wspaniały wieczór.

Jak dla kogo, pomyślała Jeanette. Na pewno nie dla niej. Wciąż miała w pamięci tamten pocałunek. Na samo wspomnienie krew szybciej krążyła

jej w żyłach. Będzie bardzo uważać, żeby nie doszło do powtórki, lecz nie jest pewna, czy znajdzie w sobie tyle silnej woli.

W niedzielny poranek śnił o niedosiężnej Jeanette, gdy nagle w ten upojny sen wwiercił się dźwięk telefonu.

- Chyba cię nie obudziłam? - usłyszał głos matki.

Westchnął. Resztki zmysłowego snu pierzchły w jednej chwili.

- Cześć, mamó. Już miałem wstawać. Coś się stało?

- Umawialiśmy się na przyszły tydzień, ale nasze plany się zmieniły. Pomyśleliśmy, żeby wybrać się do Serenity, zjeść z tobą lunch i przejść się po miasteczku. Czy to ci pasuje?

Zdusił jęk. Matka mówiła jak o wycieczce do podrzędnego parku rozrywki. Zamierzał rano obejrzeć kilka domów, zerknąć na poprawki do budżetu i wyszykować się na czwartą do Helen i Erika. Jeśli rodzice pójdą z nim na lunch, to koło drugiej ruszą do domu. Wyrobi się. I będzie mieć z głowy tę w sumie oczekiwaną, choć jednocześnie budzącą obawy wizytę.

- Jak najbardziej, mamó. Świetnie. Zjemy lunch w tutejszej restauracji. Musimy być w miarę wcześnie, bo po kościele schodzą się goście, a o drugiej zamykają lokal.

- Ruszymy po porannej mszy, czyli w Serenity będziemy koło jedenastej. Wystarczy czasu na spacer i lunch.

- Jasne. Spotkajmy się w ratuszu.

- Ale chcemy zobaczyć, jak mieszkasz - zaprotestowała.

- Mamó, to małe miasto. Mieszkam w pensjonacie, naprawdę nie ma czego oglądać. Jeszcze nie znalazłem domu.

- Wiem, że wynajmujesz pokój, ale chciałabym go obejrzeć - upierała się matka.

To była jedna z jej słabości. Zawsze musiała zobaczyć miejsca, w których mieszkały jej dzieci. Przyjeżdżała do akademika, oglądała wynajmowane mieszkania.

- Mamo, przyjeżdżacie tylko na chwilę. Szkoda tracić czas na oglądanie niewielkiego pokoiku.

- No dobrze, chyba masz rację - przyznała z ociąganiem, lecz zaraz się ożywiła. - A może pomożemy ci wybrać dom?

- Nie, dzięki - powiedział ostrzej, niż zamierzał.

- Obejrzałem już prawie wszystkie wystawione na sprzedaż. Teraz pozostało mi zawęzić listę.

- Możemy ci doradzić - nie zrażała się matka.

- To żaden problem, skarbie. Zawsze umiałam dostrzec ukryty potencjał. Jak już coś wybierzesz, przyjadę z dekoratorem i pomożemy ci doprowadzić dom do odpowiedniego stanu. Duży dom, jak najlepsza lokalizacja. Pełnisz poważną funkcję i...

- Mamo - przerwał jej - daj spokój. Nie potrzebuję niczego specjalnego. Co najwyżej pomaluję ściany, jeśli to będzie konieczne. Zapomnij o dekoratorze.

- Oczywiście będziesz chciał wyeksponować trochę rodzinnych pamiątek - ciągnęła. - W tym okropnym mieszkaniu, w którym ostatnio mieszkałeś, nie było miejsca na cenne antyki, ale liczę, że teraz bardziej się postarasz.

Wolałby zamieszkać w namiocie niż w otoczeniu rodzinnych skarbów.

- Porozmawiamy o tym, jak się zobaczymy - uciął. Jeśli się jej postawi, może go usłucha. Choć to wątpliwe, skoro przez czterdzieści lat małżeństwa to ona ustawiała ojca.

Jeanette wyszła z kościoła, zamieniła kilka słów z pastorem, odwróciła się i wpadła prosto na Toma.

- To ty? - zdumiała się.

Był w świetnie leżącym garniturze, białej koszuli i lśniących włoskich mokasynach. Helen mówiła, że Tom pochodzi z zamożnej rodziny. Rzeczywiście wyglądał na potomka bogatego rodu. Dołeczek w policzku i błysk w oku dodawały mu uroku i bezpośredniości. Niebezpieczne połączenie.

- Co za niespodzianka. Właśnie ciebie mi było trzeba. - Ujął ją za rękę i odciągnął na bok.

- Możesz mnie puścić?

- A ty możesz mnie wysłuchać?

- Czyżbyś znowu próbował zaprosić mnie na randkę?

- Nie do końca.

- To znaczy?

- To znaczy, że moi rodzice zjadą tu za jakieś piętnaście minut i potrzebuję wsparcia.

- Wsparcia? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Dlaczego?

- Ojciec nie może mi darować, że podjąłem pracę w Serenity, a matka chce szukać ze mną domu, a potem go urządzić - wyjaśnił spanikowany.

Nie znała go z tej strony. Ta jego niepewność i zakłopotanie bardzo ją ujęły.

- Boisz się mamusi i tatusia?

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś ich znała. Ojciec jest tyranem, a matkę rozsadza energia.

- I po tym wdzięcznym opisie chcesz mnie z nimi poznać?

- Masz rację, źle to rozegrałem. Rzecz w tym, że przy obcych bardzo się pilnują. Wezmę ich na lunch do „Sullivan's", a przed drugą wyprawę z powrotem, tylko mi w tym pomóż. To żadna randka, odegrasz rolę bufora.

Bawiło ją jego zakłopotanie. Chętnie pozna ludzi, którzy wprawiają go w taki stan. Najwyraźniej w ich rodzinie nie bardzo się układa, co dla niej może być pewnym pocieszeniem. Potwierdzeniem, że nie tylko ona ma problemy z rodzicami. Skoro będzie tylko buforem, to nie ma sprawy.

- Dobrze, ale jak mnie przedstawisz?

- Jako przyjaciółkę - odparł bez namysłu. - Zgodnie z prawdą. Jesteśmy przyjaciółmi, w każdym razie do tego zmierzamy.

- Raczej znajomymi, ale niech ci będzie. Tylko musisz coś obiecać. Żadnych aluzji, że łączy nas coś więcej, jasne?

- Oczywiście. - Ujął ją za rękę. - Spotkamy się z nimi pod ratuszem za dziesięć minut. Nie chcę, żeby czekali. Ważne, by zrobić dobre wrażenie.

Zastanowiła ją dziwna nutka w jego głosie.

- Czemu ci na tym zależy? Może lepiej, żeby od razu poczuli do mnie antypatię.

- Może. Ale nie chcę się spóźnić, po co mamy narażać się na morały i kazanie o braku szacunku i tak dalej?

- Dobrze - odparła ubawiona.

Jej rozrywkowy nastrój zmienił się w chwili, gdy spostrzegła parę wysiadającą ze lśniącej czarnej limuzyny po drugiej stronie placu. Wzrok jej nie mylił. Przesunęła przerażonym spojrzeniem po mężczyźnie, zatrzymała je na kobiecie. To ona, wszędzie by ją poznała. Fachowo rozjaśnione włosy, jasna cera, dumnie uniesiona, udoskonalona ręką chirurga broda.

- To twoi rodzice? - upewniła się.

- Tak. - Popatrzył na nią zdziwiony. - Co jest? Czemu tak pobladaś?

- Nie mogę się z nimi spotkać - wyszeptała, próbując oswobodzić dłoni. Jak mogła wcześniej się nie domyślić? Znała jego nazwisko, wiedziała, że pochodzi z Charlestonu. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności, ot co. Albo w tym konkretnym przypadku po prostu nie chciała uwierzyć.

Tom wpatrywał się w nią jak w osobę niespełna rozumu.

- Dlaczego nie możesz się z nimi spotkać? Jeanette, co się stało? Chodzi o limuzynę? Moi starzy są bogatymi ludźmi. Co z tego?

- Nie chodzi o samochód - wydusiła zmienionym głosem.

- W takim razie o co? Mów szybko, bo już cię widzieli i jest za późno, żebyś teraz się ulotniła.

- Chodzi o twoją matkę - powiedziała, daremnie wyszarpując rękę z jego uścisku. - Znam ją. I lepiej, żeby mnie nie ujrzała. Uwierz mi.

- Znasz moją matkę? - Popatrzył na nią skonsternowany. - Skąd?

- Naprawdę chcesz tracić czas na wyjaśnianie szczegółów? Muszę się zmyć, nim tu podejdzie. Potem ci wytłumaczę.

- Powiedz mi teraz - upierał się.

- Pracowałam w salonie kosmetycznym w Charlestonie. Stamtąd ją znam. Kiedyś zrobiłam jej zabieg twarzy.

Nadal miał stropioną minę.

- I to cię krępuje? Nie ma powodu.

- Nie w tym rzecz. Podała właścicielkę salonu do sądu, oskarżając ją, że omal zniszczyłam jej skórę. To mogło kosztować mnie nie tylko posadę, ale również stratę reputacji. Na szczęście Bella, właścicielka, dowiedziała się, że twoja matka już wcześniej zrobiła to samo w innym spa. Jest uczulona na jakiś składnik. Dermatolog ostrzegł ją, lecz nie potraktowała tego poważnie. Chciała mieć te same zabiegi co jej znajome i chodziła od

salonu do salonu. Za każdym razem kończyło się wysypką. Puścisz mnie teraz?

Tom wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Moja matka podała cię do sądu?

- Nie mnie, salon spa. Pewnie mnie nie skojarzy, ale ja doskonale ją zapamiętałam. Puść mnie, proszę.

Uwolnił jej dłoń. Jeanette oddaliła się pośpiesznie. Nie chciała sprawdzać, czy jego matka ją rozpoznała. Woląca znaleźć się od niej jak najdalej, nim złapie ją za te starannie ułożone blond włosy i wyrwie je z korzeniami.

RS

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

- Kim jest ta młoda kobieta i czemu tak uciekła? - zapytała matka, gdy tylko znalazła się przy Tomie.

- Jej twarz wydała mi się znajoma.

Nie miał zamiaru nic mówić, póki nie wyciągnie z Jeanette wszystkich szczegółów. Znając matkę, wiedział, że zrobienie takiej afery było do niej podobne. Jeśli coś jej nie odpowiadało, zazwyczaj nie przyjmowała tego do wiadomości. Prawdopodobnie w taki sam sposób podeszła do ostrzeżeń dermatologa, bo chciała spróbować zabiegu zachwalanego przez koleżanki.

Ale czemu Jeanette wcześniej słowem o tym nie wspomniała? Przecież musiała podejrzewać, że kobieta, która ją oskarżyła, i jego matka to ta sama osoba albo ktoś z rodziny. Było wiele pytań w tej sprawie, na które nie znał odpowiedzi. Uśmiechnął się z przymusem.

- Nie uciekła. To jedna z osób wchodzących w skład komitetu organizującego obchody świąt Bożego Narodzenia. Musieliśmy coś omówić. Odeszła, bo nie chciała przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu. Wiedziała, że przyjechaliście na krótko.

Sądząc po minie, matka raczej nie uwierzyła, natomiast ojciec w ogóle nie był zainteresowany tematem.

- Czyli tak wygląda Serenity - zagaił pogardliwie. - Raczej nie ma tu za wiele do oglądania.

- Jesteśmy w śródmieściu - zaczął Tom. - Widzieliście po drodze to wielkie centrum handlowe? Zabrało klientów lokalnym sklepikom i usługodawcom, ale powoli życie zaczyna się odradzać. Drogeria przetrwała najtrudniejsze czasy, na nowo otwarto sklep budowlany, dwa nowe lokale zostały wynajęte, -w jednym będzie butik odzieżowy, w drugim kwaciarnia.



Zależy mi, by centrum znowu rozkwitło, to jeden z moich priorytetów. Koło ogrodnicze opracowało program upiększania miasta i dekoruje wejścia do sklepów pojemnikami z kwiatami. Jeszcze kilka lat i ten rejon zmieni się nie do poznania.

- To strata czasu - prychnął ojciec. - Te małe sklepiki nie mają szans.

- Wygrają z konkurencją, jeśli stworzymy właściwe warunki - zaoponował Tom. - Chodźmy się przejść. Chcecie obejrzeć ratusz? Został wzniesiony na początku dziewiętnastego wieku, jest wpisany na listę zabytków. Zachował się w nietkniętej formie. Wszystkie renowacje były dokonywane z wielkim szacunkiem dla oryginalnych detali. Matka rozjaśniła się.

- Z przyjemnością go obejrzę.

- Nie wiem, co widzisz w kupie starych cegieł - zrzędlawie mruknął ojciec, podążając za żoną i synem w stronę niewielkiego budynku w kolonialnym stylu. Front zdobiły białe kolumny, ocieniały go potężne dęby, a ławeczki i obrzeżony kwietnymi rabatami trawnik zachęcały do odpoczynku.

Lewa część ratusza była przeznaczona dla interesantów, po prawej mieściła się sala konferencyjna, w której odbywały się zebrania rady miejskiej. Szerokie schody wiodły na piętro, gdzie ulokowano gabinety urzędników. Tam też mieściło się narożne biuro Toma. Okna wychodziły na plac przed ratuszem. Gabinet nie był tak przestronny i bogato urządzone jak pomieszczenia w ich rodzinnym domu, ale robił wrażenie. Starannie dobrane meble w większości pochodziły sprzed co najmniej stu lat. Matka z miejsca zachwyciła się masywnym biurkiem.

- Popatrzcie na to drewno. - Przesunęła dłonią po gładkim, ciemnym blacie. - Jest w doskonałym stanie, mimo tylu lat. Siedząc przy nim, z pewnością myślisz o swoich poprzednikach, którzy przy nim pracowali.

- Piejesz z zachwytu z powodu jakiegoś mebla - gderał ojciec. - Kiedy pójdziemy coś zjeść? Umieram z głodu.

Tom starał się powściągnąć irytację.

- Do restauracji możemy się przejść na piechotę. To niedaleko stąd.

- Jak ci pasuje - rzekła matka, z aprobatą jeszcze raz omiatając spojrzeniem gabinet. - Wiesz co, przydałyby się tu nowe zasłony, zrobiłoby się jaśniej. Co ty na to? Z przyjemnością ci je sprezentuję. Coś jasnego i gustownego.

- Nie wiem, czy mógłby je przyjąć.

- Prezentu od matki? Nie bądź śmieszny. Niczego w zamian nie oczekuję. Nawet tu nie mieszkam.

Uśmiechnął się.

- No dobrze, może mam zbyt rygorystyczne podejście. Upewnię się jednak, czy nikt nie zgłosi zastrzeżeń. Dam ci znać.

Wyszli na zewnątrz. Ojciec wyprzedzał ich o kilka kroków, choć nie wiedział, gdzie mieści się restauracja. Zatrzymał się na rogu i obejrzał na syna.

- W prawo, w lewo czy prosto?

- Prosto. Jeszcze dwie przecznice.

Ojciec skinął głową i ruszył do przodu.

- Nie wiem, co w niego wstąpiło. - Matka potrząsnęła głową. - Bardzo czekał na ten wyjazd, ale ci tego nie powie.

- Nie liczę na to - sucho odparł Tom. Gdyby pokazywał mu swoje biuro w Kongresie, byłoby inaczej.

Matka umilkła, dumając o czymś przez chwilę.

- Wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś widziałam kobietę, z którą rozmawiałeś. Dziwne, bo jestem tu po raz pierwszy. Ale na pewno sobie przypomnę.

Miał nadzieję, że tak się nie stanie. Nie chciał, by się uprzedziła do Jeanette. Niestety Jeanette już ma ustaloną opinię o jego matce.

- Wyobrażacie sobie? Tom to jej syn! - Jeanette aż się gotowała.

- Chyba nie winisz go za to, co ona ci zrobiła? - zapytała Dana Sue, układając owoce na tacy.

- Oczywiście, że nie, ale jak pomyślę, co by się stało, gdyby mnie z nim zobaczyła... Pewnie by mnie nadziała na jakiś szpikulec.

- Nie wydaje mi się, by damy z wyższych sfer nosiły w torebkach szpikulce - łagodziła Helen.

- Nie znasz pani McDonald - prychnęła Jeanette.

- Mówiłam, że raz widziałam ją na imprezie dobroczynnej - sprostowała Helen.

Jeanette nie dała przemówić sobie do rozumu.

- Założę się, że w tej swojej torebce od Gucciego nosi coś do obrony. - Popatrzyła po przyjaciółkach.

- Mam nadzieję, że teraz już dacie sobie spokój z tym swataniem. Nie ma mowy, bym miała spotykać się z pomiotem tej wrednej baby.

Helen roześmiała się, ale szybko zrobiła skruszoną minę.

- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Ale co to za określenie? W dodatku w odniesieniu do takiego przystojniaka jak Tom?

- Dobrze wiesz, co miałam na myśli. Po prostu nie mogę się z nim umawiać, bo jego matce z radością wbiłabym nóż prosto w serce.

- Masz obsesję na punkcie ostrych przedmiotów - zauważyła Maddie. -  
Napij się trochę margarity, to ci pomoże.

- I zrobisz się miłsza dla Toma - dodała Dana Sue. - Lepiej, żeby nie  
widział twojej agresji, bo w końcu chodzi o jego matkę.

Jeanette pociągnęła porządny łyk, ale nerwy jej nie odpuściły. Naraz  
coś sobie przypomniała.

- Poszli na lunch do twojej restauracji. Widziałaś ich?

Dana Sue skinęła głową.

- Tom nas sobie przedstawił.

- I co?

- Wznosili peany na temat jedzenia. - Wzruszyła ramionami.

- Akurat to mnie nie dziwi - stwierdziła Jeanette.

- Ale miej się na baczności. Niech tylko zakręci ją w żołądku, zaraz cię  
poda do sądu.

Maddie poklepała ją po ramieniu.

- Wcale się nie rozluźniłaś. Radzę ci, wypij jeszcze trochę.

Upiła więc kolejny łyk zimnego, nieco cierpkiego drinka i czekała, aż  
alkohol zadziała.

- Niepotrzebnie stchórzyłam. Powinnam była stawić jej czoło.

- Chciałaś uniknąć niezręcznej sytuacji - rzekła Dana Sue. - To nie  
było tchórzostwo.

- Poza tym tamten incydent to dawno zamknięta sprawa. Bella stanęła  
za tobą, nie doznałaś uszczerbku - zareplikowała Helen. - Chyba że chcesz  
oskarżyć ją o szkalowanie. To da się zrobić.

Jeanette wlepiła w nią wzrok.

- Mogłabym ją pozwać?

- Wtedy mogłaś. Musiałabym sprawdzić, czy nie nastąpiło przedawnienie.

Maddie zgromiła ją wzrokiem.

- Po co mieszasz? Nikt nikogo nie będzie ciągał po sądach. Sprawa już dawno przebrzmiała.

Jeanette wreszcie zaczęła czuć efekt wypitego drinka.

- Chyba masz rację - stwierdziła.

- Oczywiście, że mam - odparła Maddie. - Poza tym taka sprawa popsułaby reputację naszemu klubowi.

- Że też o tym nie pomyślałam - sumitowała się Helen. - Co ze mną się dzieje? Chyba za dużo czasu spędzam w domu, wczuwając się w rolę mamusi, a za mało w sądzie, niszcząc różnych łotrów. Tracę ostrość spojrzenia.

- Nam bardzo pasuje, że jesteś taka odmieniona i bardziej zrelaksowana - z uśmiechem stwierdziła Maddie. - Wreszcie złapałaś równowagę.

Jak na zawołanie z głośniczka stojącego na blacie rozległo się kwilenie Sarah Beth.

- Przyniosę ją - zaofiarowała się Jeanette. Podnosząc się, zachwiała się leciutko. - Muszę się poruszać.

Poszła korytarzem do dzieciennego pokoju. Wyglądał jak z kolorowego magazynu: śnieżnobiałe mebelki, różowe dodatki, szuflady pełne ubranek, których mała pewnie nie zdąży znosić, kolekcja maleńkich bucików.

Niemowlę siedziało w łóżeczku, niebieskie oczka lśniły od łez. Delikatne loczki sterczały we wszystkie strony. Jeanette serce topniało na widok bezradnej dzieciны.

- Chodź, aniołku, zmienimy ci pieluszkę i przebierzemy w śliczne ubranko w sam raz na przyjęcie - przemówiła czule do dziecka.

Sarah Beth wyciągnęła do niej rączki, na mokrej od łez buzi pojawił się uśmiech.

Jeanette przewinęła ją, przebrała w naszykowaną przez Helen marszczoną sukieneczkę w różową kratkę, włożyła jej wykończone koronką skarpetki i błyszczące różowe buciki. Miękką szczotką przeczesła delikatne loczki.

To zajęcie wyciszyło ją i uspokoiło tak bardzo, że przestała myśleć o spotkaniu z panią McDonald.

- Chodź, maleńka, pójdziemy na przyjęcie.

- Uśmiechnęła się do dziecka i wzięła je na ręce.

Owionął ją słodki niemowlęcy zapach. Zawsze, gdy brała na ręce Sarah Beth, Jessicę Lynn czy Cole'a, czuła te same emocje. Żarliwe pragnienie, by to stało się jej udziałem. Bała się - i bardzo tego chciała. Ale nie aż tak, by zdecydować się na ryzyko.

Dopiero po kolacji udało mu się zostać w kuchni sam na sam z Jeanette. Unikała go przez cały wieczór, co teraz jej wypomniał.

- Wcale cię nie unikałam - broniła się. - Pomagałam Helen i Erikowi.

- Już wszystko posprzątane, naczynia w zmywarce i każdy dostał coś do picia, więc chyba dadzą ci kilka minut luzu?

- No dobrze. O czym chcesz rozmawiać?

Popatrzył na nią zdumiony.

- A jak myślisz? O pogodzie?

- Nie mam ochoty rozmawiać o twojej matce.

- Ja mam ją o to zapytać?

- Dziwię się, że jeszcze nie słyszałeś jej wersji.

- Nie poznała ciebie.

- Jasne! - zadrwiła. - Dla niej byłam zerem, kobietą z nizin, która miała czelność zrujnować jej życie. Na dwa dni, póki wysypka nie znikła. - Gdy Tom leciutko wygiął kąciki ust, dodała z jeszcze większą złością: - To wcale nie było zabawne!

- Nie - przyznał.

- No właśnie, bo wcale nie było mi do śmiechu. Moja kariera zawisła na włosku. Bella mogła wyrzucić mnie z pracy niezależnie od tego, czy zarzuty były słuszne, czy nie. Miałabym popsutą opinię, żaden szanujący się salon by mnie nie zatrudnił. Plotki roznoszą się szybko. W całym stanie nie miałabym czego szukać.

- Ale tak się nie stało.

- To nie ma znaczenia - zareplikowała.

Popatrzył na jej zaciętą twarz.

- Ustalmy coś. Czy to będzie problem dla nas?

- Dla nas? - Spochmurniała. - Nie ma żadnych „nas”. I nie będzie.

- Na pewno? - zapytał, tłumiąc uśmiech.

- Na pewno.

- Mogę udowodnić, że nie masz racji.

- Naprawdę?

Zablokował ją przy lodówce, oparł dłonie po obu stronach głowy Jeanette.

- Naprawdę - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Najpierw ci to opowiedzieć czy od razu zademonstrować?

Z trudem przełknęła, w jej oczach błysnęła panika.

- Nie rób tego - wyszeptała.

- Czego? Tego? - Pochylił ku niej głowę. Nerwowo wciągnęła powietrze, a wtedy nakrył ustami jej usta. Ręce wciąż miał oparte na lodówce, dotykały się tylko ich usta. Całował ją, aż zarzuciła mu ręce na ramiona, przywarła do niego biodrami.

Nagle, gdy wcale się tego nie spodziewał, odepchnęła go.

- Nie! - wykrzyknęła gniewnie. - Dość tego!

Podniósł ręce, cofnął się.

- Jeanette, to nie był jednostronny pocałunek.

- Dżentelmen nie wypomina takich rzeczy.

- Skarbie, nigdy nie mówiłem, że jestem dżentelmenem.

Patrzyła na niego kompletnie zdezorientowana.

- Dlaczego to robisz? Przecież prawie się nie znamy.

- Próbuję to zmienić.

- Dlaczego?

- Bo mnie intrygujesz, Jeanette. Jesteś silna, uparta, mądra i piękna.

Muszę bardzo się starać, by...

- Aha, jestem dla ciebie wyzwaniem! - przerwała mu ostro. - Kolejny sprawdzian, tak? Tym bardziej ekscytujący, że wciąż mówię „nie”.

- Chodzi o coś więcej. Chcę cię poznać, dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Nie potrafię lepiej tego wyrazić.

- Więc idziesz błędną drogą. Łóżko to tylko seks. Ludzie poznają się stopniowo, spotykając się, spędzając razem czas.

Tom ledwie ukrył rozbawienie.

- Przecież to ty stwierdziłaś, że nie chcesz żadnych randek, więc jaki zostawiłaś mi wybór? Musiałem znaleźć inny sposób.

- Spróbować mnie uwieść?

- To był pocałunek, nie uwiedzenie.



- Według mnie to było coś więcej niż pocałunek.  
- Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, na czym polega prawdziwe uwiedzenie, i wtedy sobie porównasz - zaproponował pogodnie.  
- Nie ma mowy! Uśmiechnął się.  
- Staram się dopasować do twoich wymagań.  
- No wiesz, ja bym to inaczej nazwała. - Wreszcie się roześmiała. - No i co ja mam z tobą zrobić?

- Mam wiele pomysłów.  
- Domyślam się, ale większość z nich z pewnością odpada.  
- Większość? Czy to znaczy, że niektóre mogę wypróbować?  
- Tom! - popatrzyła na niego zdumiona. - Dlaczego tak forsujesz ten temat? Tylko nie kręć. Naprawdę chcę to wiedzieć.

Spoważniał. Nie był pewien, czy potrafi dobrze wytłumaczyć, ale widział, że nie ma wyjścia.

- Bo od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, oczarowałaś mnie. Każde spotkanie z tobą prowokowało kolejne pytania, na które nie znałem odpowiedzi.

- Odgarnął jej za ucho kosmyk ciemnych włosów.  
- Będę z tobą szczery. Kiedy tu przyjechałem, nie zamierzałem rozglądać się za kobietą. Planowałem spędzić tu kilka lat, popracować najlepiej, jak umiem, a potem poszukać nowego zajęcia.

Jeanette spochmurniała.

- Rozumiem - powiedziała sztywno. - Czyli miałam służyć za miłą rozrywkę, a potem, gdy już uznasz, że pora wyjechać, po prostu byś pomachał mi na pożegnanie? Nic z tego.

- Nie to miałem na myśli.  
- Wyraziłeś się dostatecznie jasno.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Owszem, skończyłeś.

Odprowadził ją zdumionym spojrzeniem, próbując zrozumieć, co takiego się stało. Kiedy wszedł do salonu, Jeanette już tam nie było, a sześć par oczu wpatrywało się w niego złowrogo.

- Co się tam wydarzyło? - zaatakowała go Helen. - Strasznie ją zdenerwowałeś.

- Wcale tego nie chciałem - bronił się. - Mówiłem jej, że mi się podoba, że nie spodziewałem się spotkać tu kogoś takiego, a ona nagle zabrała się i wyszła.

- Tylko to powiedziałaś? - cisnęła Helen. - Nie wierzę. Jeanette jest wyważoną osobą.

- Nie tym razem - powiedział zrezygnowany. Wiedział, że ich nie przekona, w każdym razie nie teraz. - Pójdę już.

Zobaczy się z nią na jutrzejszym spotkaniu komitetu. Może do tej pory oświeci go, czym ją tak uraził i jak to naprawić.

W poniedziałkowy ranek Jeanette liczyła słojczki z kremem, kiedy do jej pokoju weszła szefowa.

- Nie masz dziś zebrania?

- Nie poszłam - odparła krótko, unikając wzroku Maddie.

- Nie ukryjesz się przed nim. Nie wiem, co wczoraj między wami zaszło, ale Serenity to niewielkie miasto i wciąż będziecie na siebie wpadali. Lepiej się z tym pogódź.

- Pójdę w przyszłym tygodniu. Ale dzisiaj nie.

- Co on takiego zrobił lub powiedział, że nawet nie możesz przebywać z nim w jednym pokoju?

- Nie będę o tym dyskutować. Jesteś moją szefową.

- Jestem także twoją przyjaciółką - powiedziała z miną, jakby właśnie dostała policzek.

Jeanette z westchnieniem ujęła ją za rękę.

- Przepraszam. Wiem, że tak jest, ale nie możesz mi pomóc. Sama nie wiem, czemu tak fatalnie się czuję. Zdenerwował mnie. Przejdzie mi.

- Mogłabym ci pomóc, gdybym wiedziała, co się stało.

- Dzięki, ale naprawdę nie ma o czym mówić. Mam nadzieję, że teraz dacie nam spokój i przestaniecie nas swatać. Bo nic z tego nie będzie.

- Dobrze - przystała ku zaskoczeniu Jeanette.

- Dobrze? Tak po prostu?

- Postawiłaś sprawę nadzwyczaj jasno. Pomóc ci z tym liczeniem?

- Nie. To mi zajmie myśli.

- O wczorajszym wieczorze? Czy może zastanawiasz się, co pomyślał Tom, gdy dzisiaj nie pojawiłaś się w ratuszu?

- Jedno i drugie.

- Dobrze, zostawiam cię, ale gdybyś zmieniła zdanie, moje drzwi są otwarte.

- Dzięki... Maddie, jesteś naprawdę dobrą przyjaciółką.

- Nie aż tak, skoro jest ci źle, a ja nie mogę nic na to poradzić.

- Bo to nie w twojej mocy, ale i tak jestem ci wdzięczna.

Gdy Maddie odeszła, Jeanette usiadła za biurkiem. Co ona wyprawia? Tom nie jest pierwszym mężczyzną, który się jej spodobał. Ani pierwszym, o którym od początku wiedziała, że nic z tego nie będzie, bo to układ bez przyszłości. Jednak gdy wczoraj powiedział wprost, że zamierza zostawić Serenity - czyli i ją - odebrała to mocniej, niż była gotowa przyznać nawet sama przed sobą.

W jednej chwili odżyły przykre wspomnienia. Nieraz się zdarzyło, że wbrew sobie znalazła się w takiej roli. Teraz przynajmniej wiedziała o tym z góry. Jeśli ulegnie, jeśli odda serce mężczyźnie, który niedługo stąd odfrunie, ciężko to przeżyje.

Nie ma mowy, by jeszcze raz na to poszła.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mary Vaughn przez cały weekend szykowała się na zebranie komitetu. Wprawdzie spotka się tam z byłym teściem, lecz perspektywa spędzenia czasu w towarzystwie nowego dyrektora warta była tej ceny.

Starannie wybrała strój: turkusowy kostium z cieniutkiej welenki, srebrne kolczyki z turkusami i bransoleta przywieziona z wycieczki do Meksyku. Sandaalki na wysokich obcasach wysmukliły zgrabne nogi, a artystycznie splecione włosy sprawiały wrażenie, jakby dopiero co wyszła z łóżka po miłosnej nocy. Efekt był piorunujący - wyglądała seksownie, a jednocześnie profesjonalnie. Już dawno doszła do perfekcji w uzyskiwaniu takiego wizerunku. Na niewielu mężczyzn to nie działało.

Kołysząc biodrami, weszła na salę. Ronnie cichutko gwizdnął na jej widok.

- Chcesz go ustrzelić, skarbie? - zapytał z beczelnym uśmiechem.

- Spadaj, Ronnie. - Celowo zajęła miejsce na drugim końcu stołu, choć przez to znajdzie się dalej od Toma.

Ledwie usiadła, zadzwonił jej BlackBerry. Przez tych kilka tygodni nauczyła się go obsługiwać, więc czuła się całkiem pewnie, odbierając telefon.

- Halo, tu Mary Vaughn - odezwała się przeciągle, nadając głosowi zmysłowe brzmienie, bo przecież nigdy nie wiadomo, czy nie dzwoni mężczyzna.

- Mamo, to ja, nie musisz się tak starać - ze śmiechem oznajmiła Rory Sue.

- Och, witam cię, kotku. Nie wiedziałam, że to ty, bo nie spojrzałam na wyświetlacz. Co się stało? Zaraz zaczynam zebranie. - Badawczym

wzrokiem patrzyła na wejście, w którym lada moment powinien pojawić się Tom. Poprawiła zakiet, rozpięła jeszcze jeden guzik, by lepiej wyeksponować czarną koronkę bielizny. Pochwyciła znaczący uśmiezek Ronniego i pośpiesznie zapięła guzik.

Rory Sue coś przez ten czas mówiła, lecz to do niej nie dotarło.

- Przepraszam, skarbie, mogłabyś powtórzyć?

- Nie słyszałaś, co powiedziałam?

- Wybacz, ale nie.

- Dlaczego? Czy na tej sali jest jakiś interesujący facet?

Mary Vaughn oblała się rumieńcem.

- Mam tylko minutę - powiedziała, ignorując pytanie córki.

- Chciałam wrócić do tego wyjazdu na narty. Miałaś czas zastanowić się nad tym.

- Nie musiałam się zastanawiać. Już ci mówiłam, jakie jest moje zdanie, i nie zamierzam tego zmieniać.

- Naprawdę chcesz, żebym miała zmarnowane ferie? W Serenity zanudzę się na śmierć.

- Na ferie zjadą tu twoi znajomi, więc nie będziesz się nudzić. Poza tym wiesz, jak twój tata i dziadek cię wypatrują. Nie mogą się doczekać, kiedy przyjedziesz.

- Rozmawiałam z tatą. On się zgadza, jeśli ty się zgodzisz.

No nie! Zdenerwowała się nie na żarty. Co ten Sonny sobie wyobraża? Czy zawsze musi mieć inne zdanie niż ona? Pewnie był zaaferowany klientem kupującym samochód i nie dotarło do niego, o co córka go prosi. Niemożliwe, by tak łatwo zrezygnował ze wspólnych świąt. Chyba że chciał zrobić na złość byłej żonie, co jest mało prawdopodobne, zwłaszcza że już od dawna nie są razem.

- Ale ja się nie zgadzam, o czym dobrze wiedziałaś, dzwoniąc do niego. Święta spędzimy razem i na tym koniec dyskusji. Coś ci powiem. Może urządzisz imprezę dla swoich znajomych? W domu czy w klubie, jak chcesz. Poumawiacie się na różne rzeczy i nawet nie pomyślisz o nartach.

- To beznadziejne. W klubie jest sztywno, w domu będziesz się do wszystkiego wtrącać.

- Nawet się nie pokażę - kusiła. - Może w tym czasie sama coś urządź dla znajomych. Zrobisz fajną imprezę.

- Zgodzisz się, żeby było piwo?

- Żartujesz? Jesteś niepełnoletnia, podobnie jak większość twoich znajomych. Żadnego picia.

- No to jak mamy się dobrze bawić?

- Bez alkoholu to też jest możliwe. Zobacysz, że będziesz zadowolona, obiecuję. Czy kiedyś nie dotrzymałam obietnicy?

- Owszem, tej najważniejszej - z miejsca odparowała Rory Sue. - Mówiłaś, że zawsze będę miała rodzinę, na którą mogę liczyć. I co z tego wyszło?

Trafiła celnie. Mary Vaughn zarumieniła się, potem zerknęła na byłego teścia.

- Zawsze możesz liczyć na mnie, na tatę i na dziadka - zapewniła żarliwie. - Ja i tata nie jesteśmy razem, ale to nie znaczy, że cię nie kochamy nad życie.

- Gdybyś mnie kochała, zgodziłabyś się na ten wyjazd.

- Rory Sue, muszę kończyć. I nie waź się dzwonić do taty i błagać, by na mnie wpłynął. Sama się z nim dzisiaj rozmówię. - Już wcześniej powinna to zrobić, zaraz po pierwszej rozmowie z córką, lecz wzdragała się przed

konfrontacją. Teraz już nie miała oporów. - Sprawa jest raz na zawsze postanowiona.

- No to cześć. - Córka rozłączyła się.

Po chwili zadzwoniła komórka Howarda. Odebrał i natychmiast się rozpromienił.

- Witaj, kochanie, jak się miewasz?

Mary Vaughn podeszła i wyjęła mu telefon z ręki.

- Nie mieszaj w to dziadka! - rzuciła ostro do słuchawki i oddała komórkę Howardowi.

- Problemy? - zapytał Ronnie, gdy usiadła.

- Dam sobie radę.

- Ja też przez to przechodziłem. Annie próbowała tych samych sposobów, by osiągnąć swój cel. Napuszczała nas na siebie, wychodziła ze skóry, byle tylko ugrać swoje.

- Jak się z tym uporaliście? - zapytała, choć wolałaby nie prosić o radę kogoś, kto już dwa razy ją odtrącił.

- Dogadaliśmy się z Daną Sue i stworzyliśmy wspólny front.

To dało jej wiele do myślenia. Od miesiący nie zamieniła słowa z byłym mężem. Mieli za sobą dziesięć lat małżeństwa, mieli też córkę, a zachowywali się, jakby nic nigdy ich nie łączyło. Ronnie miał rację. Rory Sue stara się wykorzystać sytuację.

Czyli nie ma rady, musi porozmawiać z Sonnym i ustalić plan działania. Może też postarać się, by tegoroczne święta były dla Rory Sue naprawdę radosnym przeżyciem. By nie żałowała przyjazdu do rodzinnego miasta.

- Dzięki za radę - mruknęła.

Howard rozłączył się i popatrzył na nią chmurnie.



- Co wy knujecie?

- Nie powiedziała ci?

- Po tym, jak się wtrąciłaś, zaczęła opowiadać o szkole. Więc teraz mów.

- Rory Sue chce na ferie pojechać z koleżanką na narty. Nie chce spędzać świąt w Serenity.

Howard oniemiał.

- Nie przyjedzie na święta? To wykluczone. Musi tu być z nami.

- Choć raz się zgadzamy.

- A co na to Sonny?

- Powiedział, że jeśli ja się zgodzę, to on też.

Howard pokręcił głową.

- Porozmawiam z nim.

- Sama to załatwię. Sonny i ja musimy wreszcie zacząć działać razem, stanąć po jednej stronie barykady.

- Powiedz mu, że bez naszej Rory Sue nie będzie prawdziwych świąt. Gdybyś potrzebowała wsparcia, daj znać.

Zwykle w każdej sprawie skakali sobie do oczu, ale wnuczka była oczkiem w głowie Howarda.

- Dzięki. Byłoby mi bardzo smutno, gdybym musiała spędzać święta bez niej.

- Mnie też. - Poklepał ją po ręce. - Będzie po naszej myśli, zobaczysz. Nie przejmuj się.

Jego słowa podbudowały ją. Jeszcze lepiej podziałał widok wchodzącego do sali Toma. Wprawdzie nie miał uszczęśliwionej miny, lecz w garniturze prezentował się fantastycznie.

Podejrzewała, że bez niego wyglądał jeszcze lepiej.

Nawet nie udawał, że nie jest zawiedziony nieobecnością Jeanette. Opóźniał rozpoczęcie zebrania, licząc, że ona jeszcze się zjawi. Kwadrans po dziewiątej stracił nadzieję, zresztą zebrani wyraźnie zaczęli się niecierpliwić.

- Witam - zagaił, zajmując miejsce. - Przepraszam za opóźnienie.

- Punktualność świadczy o szacunku - zaznaczył Howard. Dokładnie to samo powiedzieliby rodzice, pomyślał Tom. - Nikt nie ma czasu siedzieć tu bezproduktywnie.

- Oczywiście, to już się nie powtórzy. Przejdźmy od razu do konkretów. Mary Vaughn, jak poszło z chórami?

- Mamy wstępne porozumienie z baptystami i metodystami. Wcześniej nie zapraszaliśmy chóru baptystów, lecz uważam, że pora to zmienić. Mamy nowe czasy i na obchodach powinna być reprezentowana cała społeczność.

Tom z aprobatą pokiwał głową.

- Całkowicie się zgadzam. Howardzie, jaka jest twoja opinia?

Burmistrz, który w pierwszym momencie wydawał się zaskoczony, pokiwał głową.

- Kiedyś ich zapraszaliśmy, ale odmówili.

- Dobrze wiesz, że wcale nie tak było - zaproponowała Mary Vaughn. - Wokół tego tematu wszyscy chodzili na paluszkach, by nie prowokować problemów. Uważam, że czas skończyć z tą dyskryminacją.

- Zgadzam się - rzekł Ronnie. - Ich chór jest doskonały i powinni być zaproszeni. Względy rasowe nie mają tu żadnego odniesienia.

- Czyli postanowione - stwierdził Tom. - Mary Vaughn skontaktuje się z nimi i za tydzień zda nam relację.

Uśmiechnęła się do niego.

- Mogę wpaść do ciebie, jak tylko coś z nimi ustalę.

- Dobrze. Ronnie, jak sprawa z dekoracjami?

Przez następną godzinę przeglądali oferty. Tom miał już tego dość, lecz Howard i Mary Vaughn przywiązywali do wyboru ozdób ogromne znaczenie.

- Słuchajcie - mitygował ich Tom. - Mamy bardzo ograniczone fundusze, więc nie popadajcie w przesadę.

- Jeśli zdecydujemy się na świecące śnieżynki, spróbuję wynegocjować upust - zaproponował Ronnie. - Biorę towary od tego dostawcy, więc powinno się udać.

- W takim razie przyklepujemy. - Howard popatrzył z uśmiechem po zebranych. - W centrum rozwiesimy śnieżynki, na drzewach migające światełka, a na placu ustawimy choinkę. Ronnie, przypilnujesz miejskiej ekipy, by wszystko zrobili jak należy?

- Nie ma sprawy.

Tom w kilku słowach przekazał informację na temat straganiarzy, po czym zakończył zebranie. Gdy wszyscy się rozchodzili, skinął na Ronniego, by poszedł z nim do gabinetu.

- Gdzie jest Jeanette? - zapytał.

Ronnie popatrzył na niego ze współczuciem.

- Nie mam pojęcia. Może w spa? Musiałeś jej nieźle zaleźć za skórę, skoro się nie pojawiła. Co takiego zrobiłeś?

- Żebym to ja wiedział. Jak mam naprawić nasze stosunki, skoro nie wiem, o co jej chodzi? - rzekł sfrustrowany. Przez lata unikał takich problemów, nie wchodził w żadne układy. Miał takie zasady i ich się trzymał. Jednak teraz to nie zadziało. Jeanette intrygowała go. Podobała mu się jako kobieta, lecz ta fascynacja sięgała głębiej. Żadna z jego dotychczasowych znajomych nie budziła w nim takich emocji.

- Mogę ją podpytać, co ją tak zdenerwowało  
- podsunął Ronnie. - Albo spróbuj się przed nią ukorzyć i zobaczysz, co z tego wyniknie.

- W życiu się przed nikim nie płaszczyłem! -Skrzywił się na samą myśl.

- Czy zdarzyło się, by jakaś kobieta była na ciebie aż tak wkurzona?

- Żeby to raz, tyle że nigdy mi aż tak nie zależało.

- Bo nigdy żadna na niego aż tak nie działała.

- Coś ci powiem. Nigdy nie jest za późno na naukę. Mężczyzna całe życie się uczy, jak przebłagać kobietę. Wiem to po sobie. Przy Danie Sue zdobyłem spore doświadczenie. - Klepnął Toma po plecach. - Popatrz na nas. Nie mogliśmy być bardziej szczęśliwi.

Tom skinął głową.

- Kwiaty czy czekoladki?

- Jeanette wygląda mi na odporną. Chyba musisz bardziej wysilić wyobraźnię.

- Spróbuję.

Zajął się pracą nad budżetem, lecz wciąż wracał myślą do Jeanette. Nie mógł się skoncentrować, co nie umknęło czujnej uwagi sekretarki.

- W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię - powiedziała surowo, zasiadając po drugiej stronie biurka. - Wprawdzie to nic nowego, ale może mi wyniszczysz, co cię tak pochłania, że nie możesz skupić się na pracy.

- To moje prywatne sprawy - zbył ją.

- Przypuszczam, że mają związek z wczorajszą kłótnią z Jeanette u Helen i Erika.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Na litość boską, skąd ty masz takie informacje? Z pewnością nikt z jej przyjaciół nie rozgłaszał od rana na ten temat plotek.

Popatrzyła na niego życzliwie.

- Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o naszym mieście. Kuzynka Grace Wharton mieszka obok Helen. Widziała, jak Jeanette wybiegła z domu, a ty za nią. Opowiedziała o tym Grace, a ona powtórzyła to gościom, którzy zajrzeli na śniadanie.

- I któraś z tych osób ci to doniosła?

- Nie, usłyszałam od Grace. Co rano wpadam do niej na owsiankę i przy okazji poznaję najnowsze ploteczki. Grace i mnie nic nie uniknie.

- Czy tu w ogóle potrzebne są jakieś gazety?

- Niespecjalnie, choć od jakiegoś czasu dziennikarze już nie szukają sensacji, tylko przekazują rzeczowe relacje. Zmieniło się to po aferze z powodu insynuacji, jakoby Maddie i Cal spotykali się w spa, nim klub został otwarty. Od tamtej pory zrobiło się nudno.

- Dzięki Bogu - mruknął.

- No to jak będzie? Jeśli nie chcesz tracić całego dnia, idź do klubu i pogódź się z Jeanette. Szkoda czasu na taką szarpaninę.

Tom podniósł się.

- Wiesz co, Tereso? Wyjątkowo się z tobą zgadzam. Za godzinę jestem z powrotem.

- Nie zawadzi, żebyś po drodze wstąpił do „Sullivan's” po pudding jabłkowy, za którym Jeanette przepada, albo po kilka rozków - zasugerowała, gdy już był przy drzwiach. - Zadzwoń do Dany Sue i powiem, że zaraz się zjawisz. Lokal jest jeszcze zamknięty, ale wystarczy, że zajrzysz do kuchni.

Chciał zaproponować, lecz szybko uznał, że to świetny plan.

- Dziękuję.
- Nie musisz się śpieszyć. Wszystkiego dopilnuję.
- Nie wątpię.

Dochodził do restauracji, gdy niespodziewanie zagadnęła go Mary Vaughn.

- Widzimy się drugi raz tego samego dnia! - Wzięła go pod rękę. - Ale ze mnie farciara! Idziesz do „Sullivan's”, to może zjemy razem lunch? Otwierają dopiero za kilka minut, ale na pewno nas wpuszczą.

Tym razem nawet nie udawała, że chodzi o sprzedaż domu. Musi zniechęcić ją w taktowny sposób. Może kolejne odmowy dadzą jej do myślenia? Tylko jak to zrobić, by nie poczuła się urażona i poniżona?

- Przykro mi, ale nie dam rady - powiedział, wyplątując się z jej uścisku. - Teresa zamówiła coś na wynos. Odbieram zamówienie i pędzę, bo mam spotkanie.

- Jesteś bardziej zapracowany niż twoi poprzednicy - burknęła, nie kryjąc rozczarowania.

- Tak się składa, że jestem teraz bardzo zajęty.

- Miał nadzieję, że takie stwierdzenie ostudzi jej zakusy. - W nowej pracy człowiek musi się uczyć wielu rzeczy. - Ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę już lecieć. Zgodnie ze wskazówkami Teresy wszedł do kuchni. Paczka już czekała. Zapłacił, popatrzył na kuchenne wyjście.

- Czy mógłbym się tędy ewakuować? - zapytał Danę Sue.

- Chowasz się przed kimś?

- Przed Mary Vaughn.

- Rozumiem. - Wskazała mu drogę. - Ta uliczka jest równoległa do Main Street. Idąc nią, dojdiesz do Palmetto.

Popatrzył na nią czujnie.

- Tak?

- To dla Jeanette, prawda? Ronnie powiedział, że chcesz się z nią pogodzić. Kiedy zadzwoniła Teresa, dodałam do siebie dwa i dwa.

- Wszyscy tutaj są tacy dobrzy w matematyce? Dana Sue popatrzyła na niego pogodnie.

- Raczej tak. Życzę szczęścia. Jeanette to świetna dziewczyna, lecz jest bardzo skryta. Znamy się od trzech lat, ale nigdy nie widzieliśmy jej rodziny. Jeanette niewiele też o niej mówi. W spa spędza dużo czasu, więc samotność chyba jej odpowiada.

- Uważasz, że nie bez powodu?

- A czy zwykle tak nie jest? Wydaje mi się, że boi się uczucia, dlatego otoczyła się murem. Nie burz go, jeśli to dla ciebie tylko zabawa.

Zrozumiał ostrzeżenie.

- Nie mam stuprocentowej pewności, ale to raczej nie jest zabawa.

- Powinieneś mieć pewność.

- Niby jak, skoro nawet nie mogę się przekonać, czy rzeczywiście do siebie pasujemy.

- Co racja, to racja - przystała, choć nie miała zadowolonej miny.

Uliczka doprowadziła go do Palmetto. Mijając kwaciarnię, kupił piękny bukiet letnich kwiatów i doszedł do klubu. Parking był pełen.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że o czymś zapomniał. Mężczyźni nie mają tu wstępu. Możliwe, że zostanie wyproszony za próg. Trudno, zaryzykuje. Musi się z nią zobaczyć.

Wszedł do środka, ale nim zrobił dziesięć kroków, wyrosła przed nim Maddie. Minę miała surową, lecz w jej oczach jaśniały wesołe ogniki.

- Wiesz, że to teren zakazany dla panów - zbeształa go.

Włożył jej bukiet w ramiona.

- Możesz na dziesięć minut zapomnieć o tych waszych zakazach?

- Myślisz, że dziesięć minut wystarczy, by ją udobruchać?

- Przejdę sam siebie. Jest z klientką? Maddie pokręciła głową.

- Ma przerwę, jest na patio. Nikomu nie będzie przeszkadzało, jak tam pójdziesz. - Uśmiechnęła się.

- Z wyjątkiem Jeanette, oczywiście. Chociaż wolę się za nią nie wypowiadać. Jest cięta na ciebie.

- Myślisz, że nie wiem? - Cmoknął ją w policzek.

- Dzięki.

- Bardzo proszę. - Wcisnęła mu w rękę kwiaty.

- Coś mi się widzi, że bardzo ci się przydadzą. Trzymam kciuki.

Jeanette siedziała na dworze i czytała romans. Ten widok natchnął go nadzieją. Skoro czyta o miłości...

- Zdobył serce panny? - zapytał, siadając obok niej. Podniosła głowę, zamrugła.

- Co ty tu robisz?

- Przeszedłem cię zobaczyć.

- Tutaj? W czasie pracy? Maddie się zdenerwuje.

- Mam jej błogosławieństwo. - Podał jej kwiaty, lecz nie wzięła ich.

Położył bukiet na stoliku. - Przyniosłem też pudding i rożki.

Zwężała oczy.

- Z „Sullivan's”?

- No jasne.



- Czyj to był pomysł?

- Zbiorowy. Wiele osób się przyłożyło.

- To znaczy?

- Ronnie poradził, bym się przed tobą ukorzył. Teresa powiedziała o puddingu i rożkach. Dana Sue dodała swoje trzy grosze, gdy odbierałem zamówienie. Po drodze zobaczyłem kwiaciarnię. Chciałem przekupić bukietem Maddie, ale uznała, że kwiaty muszą mieć dla ciebie. - Popatrzył na nią wzrokiem pełnym nadziei. - Czy coś z tego pomogło?

Udało się jej zachować kamienną twarz, lecz nagle spostrzegła paczuszkę z restauracji.

- Pomyślałeś o lodach do puddingu?

- Pewnie już się rozpuściły, ale powinny być.

- Dobrze. - Łapczywie sięgnęła po paczuszkę, otworzyła ją i zaciągnęła się zapachem. - Jest coś lepszego niż zapach cynamonu lub świeżo upieczonych rożków?

- Perfumy, których używasz - powiedział szczerze. Zaskoczył ją tym komplementem.

- Lawenda?

- Mhm. Ostatnio bardzo mi się podoba.

- Tom, przestań mówić takie rzeczy.

- Dlaczego, skoro to prawda?

- Szczerść i prawda są dla ciebie ważne, co?

- Staram się.

- Dlatego wczoraj ostrzegłeś mnie, że jesteś tu czasowo.

- Dlatego natychmiast się zmyłaś? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. Po raz pierwszy w życiu nie chcę zaczynać czegoś, o czym z góry wiem, że się źle skończy.

- Może się wcale nie skończyć. Nie będziemy tego wiedzieli, póki trochę z sobą nie pobędziemy.

- Sam powiedziałaś, że wyjedziesz. Może nie zaraz jutro, ale przyjdzie taki dzień.

- Jeśli nawet, to co cię powstrzyma, żeby wyjechać ze mną? - Był zaskoczony jej podejściem.

- Tak się nigdy nie dzieje. Dobrze wiesz, że...

- Spokojnie, skarbie. - Uciszył ją gestem. - Za daleko wybiegamy do przodu. Może najpierw umówimy się na randkę, zamiast rozważać zerwanie?

- Wiem, jak to się skończy, i nie chcę tego -powtórzyła z uporem. - Na przyjaźń mogę się zgodzić, ale na nic więcej.

- Te pocałunki świadczyły, że między nami jest coś więcej niż przyjaźń.

- Tom, daj spokój. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Między nami iskrzy, oboje to wiemy. Możemy ulec pokusie i będzie pięknie, ale po kilku tygodniach urok zblednie, a któreś z nas zostanie ze złamanym sercem. I jak znam życie, będę to ja.

- Jesteś największą pesymistką, z jaką kiedykolwiek chciałem się umówić.

- Mam powody.

- Aha, rozumiem. Mam cierpieć za kogoś, kto kiedyś cię zranił.

- Nie, to nie tak. Po prostu dostałam nauczkę i przejrzałam na oczy.

- Nie dasz się przekonać?

- Nie - odparła z godnością. - Choć raz się nie złamię.

Biedna, naiwna Jeanette nie miała pojęcia, jak to oświadczenie na niego działało.

- To brzmi jak wyzwanie. - Puścił do niej oko. - Już raz cię ostrzegałem, ale i tak powtórzę. Zawsze podejmuję wyzwania. Będziemy w kontakcie, skarbie.

Podniósł się i odszedł, ale zdążył jeszcze ujrzeć błysk paniki w jej oczach. Bardzo dobrze, pomyślał. Postara się zmienić jej nastawienie, to będzie jego misja. Miał przeczucie, że da mu to większą frajdę niż wszystko, co robił przez ostatnie lata.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeanette w milczeniu przysłuchiwała się biadoleniom Mary Vaughn, która opowiadała o nieskutecznych próbach poderwania Toma, i w głębi duszy cieszyła się, że okazał się taki odporny na wdzięki doświadczonej kokietki.

Może więc rzeczywiście jest mną zainteresowany? Muszę to sobie przemyśleć, stwierdziła w duchu, kończąc zabieg i kładąc klientce na twarz wygrzany ręcznik.

- A może on jest gejem? - zastanowiła się Mary Vaughn. - To wiele by wyjaśniało.

Jeanette z trudem powstrzymała śmiech. Tom może nie jest dla niej, ale z całą pewnością nie należy do mniejszości seksualnej. Namiętne pocałunki były wystarczającym dowodem. Oczywiście nie powie tego, bo zaraz całe Serenity o niczym innym by nie rozprawiało.

Jej milczenie Mary Vaughn uznała za potwierdzenie.

- Też tak uważasz?

- Ależ skąd, tylko zastanawiam się, jak mogłaś wpaść na ten pomysł. Nie wolno ci rozpuszczać takich plotek, bo Tom może mieć poważne kłopoty. Nasze miasteczko jest bardzo tradycyjne.

- Też coś! - oburzyła się Mary Vaughn. - Bycie gejem to nic złego.

- Niektórzy mogą mieć inne zdanie, łącznie z Tomem. Wydaje mi się, że nie masz podstaw, by go tak oceniać. Prawie go nie znasz.

- Mam nosa do facetów - nie zrażała się Mary Vaughn. - Mówiłam ci, że już kilka razy zapraszałam go na lunch, na kawę czy drinka, a on zawsze odmawiał. Zawsze miał jakąś wymówkę. - Odsunęła z twarzy ręcznik i popatrzyła na Jeanette. - Nie rób takiej miny. Wiem, że to mężczyzna

powinien wykonać pierwszy ruch, ale wolę wykazać inicjatywę, zamiast czekać. W końcu nie prosiłam, żeby się ze mną żenił.

- A może jest z kimś związany?

- Sprawdziłam to. Mam znajomą w ratuszu, widziała jego papiery. Nie jest żonaty, a z tego, co się o nim dowiedziałam, nigdy nie był.

- Może ma kogoś w Charlestonie albo tam, gdzie poprzednio pracował - podsunęła Jeanette. Lepiej żeby Mary Vaughn nie zaczęła się zastanawiać, czy może tutaj ktoś wpadł mu w oko. - Wyjeżdża na każdy weekend, może do narzeczonej:

- To możliwe. - Mary Vaughn zamyśliła się, po chwili machnęła ręką.

- Nie, raczej nie. Zobacz, jest dobrze po trzydziestce i nigdy nie był żonaty. Nie wydaje ci się to dziwne?

- Ja też nigdy nie byłam mężatką. Czy to coś dziwnego?

- Ależ skąd, po prostu jesteś wybredna. Nie chcesz pierwszego lepszego, bo i po co? Z twoją urodą możesz mieć każdego, którego zechcesz.

- Gdyby to była prawda - mruknęła.

Żaden z jej zapowiadających się poważnie związków nie doprowadził do małżeństwa. Zawsze coś ją przebiło: inna kobieta, sport, kariera, raz matka ukochanego. Wreszcie poprzysięgła sobie, że już nigdy nie zgodzi się na układ, w którym będzie odgrywać drugoplanową rolę. Tom jasno powiedział, że nie zamierza zostać w Serenity na zawsze, więc sprawa jest oczywista.

Ponownie zakryła rącznikiem twarz Mary Vaughn.

- Zrelaksuj się, przez ten czas aktywne składniki zaczną działać. Zaraz wracam.

Mary Vaughn zamruczała coś, lecz ręcznik stłumił jej słowa. I dobrze, pomyślała Jeanette. Mary Vaughn jest w porządku, ale jeśli zaczniesz robić nieprzyjemne uwagi na temat bliskich jej osób, to zaknebluje ją tym ręcznikiem!

Tom podniósł głowę znad papierów i na progu gabinetu ujrzał matkę z naręczem tkanin.

- Mamo, co ty tu robisz? - Poderwał się, by wziąć od niej bagaż.

- Obiecałam ci nowe zasłony do biura. Przywiozłam trochę próbek, żebyś wybrała, co ci się podoba.

Zupełnie zapomniał o jej pomysle i swej obietnicy, że skonsultuje to z miejskimi oficjelami.

- Chyba przyjechałaś na darmo, bo jeszcze nie miałem okazji pogadać na ten temat z burmistrzem.

- A gdzie on jest? Zaraz go zapytamy. Przecież nikt nie będzie miał obiekcji, że matka kupuje ci zasłony.

Raczej nie, co jednak nie zmieniało faktu, że Tomowi było dokładnie obojętne, co wisi w gabinecie. Matce chyba też tak bardzo na zmianie wystroju nie zależało, choć jak to ona, naprawdę się zaangażowała. Tyle że zaangażowała się w setki spraw, byle tylko robić szum wokół swojej osoby. Chyba że... no tak, czyżby coś knuła?

- Usiądź i porozmawiajmy - zaproponował. - Powiedz, o co właściwie chodzi? Zwykle jesteś tak załatana, że tygodniami się nie odzywasz, aż tu nagle zainteresowałaś się zasłonami. Nudzisz się, mamo?

- Ależ skąd. Mam tyle rzeczy na głowie, że czasami aż sama się gubię.

- Nie patrzyła mu w oczy.

- W takim razie czemu tracisz czas na szukanie zasłon?

Poruszyła się niespokojnie.

- Bo rzadko cię widzę i tęsknię za tobą - wyznała. - Wiem, że unikasz ojca, bo masz dość jego krytykanctwa, ale przez to i ze mną rzadko się widzisz. Jesteś moim najmłodszym dzieckiem i jedynym synem.

Uśmiechnął się do niej.

- I twoim pupilkiem - zażartował.

- Tylko nie zaczynaj. Matki nie faworyzują dzieci.

- To czemu nie wystarczają ci córki? Mieszkają obok, masz je na wyciągnięcie ręki.

- Bo są od ciebie starsze i mają swoje rodziny. Tylko ty jesteś sam. Martwię się o ciebie. Nie jestem wieczna, synku. Musisz mieć kogoś, znaleźć sobie majątną kobietę, która będzie dla ciebie inspiracją i która o ciebie zadba.

Tom stłumił westchnienie.

- Mamo, zostawmy ten temat. Ożenię się, gdy spotkam właściwą kobietę. - Nagle coś go tknęło. Czy ta rzucona od niechcienia uwaga, że nie jest wieczna, ma jakiś podtekst? - Chyba nie jesteś chora?

- Oczywiście, że nie - odparła z miejsca. - Tylko ostatnio wspomniałeś, że kogoś tu poznałeś. To mnie zastanowiło. Szkoda, że gdy przyjechaliśmy z ojcem, twoja znajoma uciekała, aż się kurzyło. Bardzo liczyliśmy na to, że ją poznamy.

- Przecież powiedziałem ci...

- Wiem, że to pani z komitetu - nie dała mu skończyć. - Ale czy to ona?

- Nie naciskaj na mnie. Obiecuję, że jeśli ktoś taki się pojawi, pierwsza się o tym dowiesz. - Pocałował ją w czoło. - I bardzo cię proszę, żebyś przestała mówić, że nie jesteś wieczna. Nie masz nawet sześćdziesiątki. Dasz mam popalić jeszcze przez długie lata.

Matka uśmiechnęła się blado.

- Mam taką nadzieję.

Tom pozbierał próbki tkanin.

- Zaniosę je do samochodu i pojedziemy do „Sullivan's" na lunch.

Oczy jej błysnęły.

- Znajdziesz czas? Jedzenie mieli tam przepyszne. Już zareklamowałam to miejsce kilku koleżankom.

- Dana Sue będzie ci wdzięczna-powiedział, choć zdążył się zorientować, że wieczorami restauracja prawie zawsze jest wypełniona do ostatniego miejsca.

Srebrnym cadillakiem matki podjechali na restauracyjny parking. Z trudem udało się znaleźć wolne miejsce. Dana Sue powitała ich przy wejściu.

- Mamy najście pań ze Stowarzyszenia Czerwonych Kapeluszy, ale wy raczej nie jesteście z nimi. Witam, pani McDonald, miło panią widzieć. Jest prawie komplet, ale zaraz przygotujemy stół w części barowej, dobrze?

- Oczywiście - potwierdził Tom. - Dzięki.

Matka z zaciekawieniem przyglądała się paniom w czerwonych nakryciach głowy.

- Świetnie się bawią, co? Słyszałam o tej organizacji i nieraz widziałam takie grupy w różnych knajpkach w Charlestonie. Większość tych pań jest w moim wieku lub starszych. Ciekawa jestem, co one robią.

- Może Dana Sue coś o tym wie - powiedział, widząc śpieszącą do nich właścicielkę. - Czym zajmuje się ta organizacja? - zapytał, gdy ruszyli za nią do stołu.

- Nie mam pojęcia. Przychodzą tu raz w miesiącu i dobrze się bawią. Każdy powinien zrobić sobie taką chwilę luzu, oderwać się od problemów i



spotkać z przyjaciółmi. Helen, Maddie i ja robimy to co jakiś czas, ale ostatnio coraz rzadziej.

Kelnerka z zaaferowaną miną podeszła do stolika, by wyciągnąć Danę Sue do kuchni.

- Przepraszam, ale muszę odejść. Zaraz ktoś podejdzie, by przyjąć zamówienie.

- Spokojnie, nie śpieszymy się - zapewnił Tom.

Podniósł wzrok i ujrzał wchodzącą do sali Jeanette. Uśmiechnęła się na jego widok, lecz gdy tylko spostrzegła jego matkę, twarz jej się zmieniła.

- Mamo, zaraz wracam. - Pobiegł za Jeanette, która zniknęła za kuchennymi drzwiami.

W kuchni panował nerwowy rozgardiasz, jak to w porze szczytu. Dana Sue od razu zauważyła nieproszonych gości.

- Jeśli chcecie pogadać w spokoju, to idźcie do mojego biura - poradziła, nakładając na talerze porcje sałatki.

- Przyszłam odebrać zamówienie Maddie - powiedziała Jeanette, nie zwracając uwagi na Toma.

- Będzie za pięć minut. I wynocha z kuchni. Oboje.

Tom wyszedł pierwszy.

- Skoro i tak musisz czekać, to wykorzystaj okazję i przywitaj się z moją matką. Może ten niefortunny incydent da się raz na zawsze wymazać z pamięci.

- Niefortunny incydent? - wycedziła, zniżając głos. - Nie próbuj go umniejszać. Twoja matka chciała mnie zniszczyć. Gdybym miała inną szefową, na pewno dopięłaby swego.

Chciał załagodzić jej gniew, lecz w tej samej chwili matka podeszła do nich.

- Wszystko w porządku? - zapytała Toma, lecz wzrok miała utkwiony w Jeanette.

Nagle źrenice się jej rozszerzyły i Tom już wiedział, że rozpoznała Jeanette. Skrzywiła się kwaśno.

- To pani! Wcale się nie dziwię, że wylądowała pani w tej prowincjonalnej dziurze. Bella przegoniła panią z Charlestonu.

Na twarzy Jeanette wystąpiły czerwone plamy. Spojrzała na Toma, jakby chciała go przeprosić za to, co za chwilę się stanie, po czym przesunęła spojrzenie na jego matkę.

Czuł, że ta konfrontacja nie będzie miała szczęśliwego zakończenia. Wiedział to, nim jeszcze Jeanette otworzyła usta. Stał nieruchomo, czekając na to, co było nieuchronne.

- Bella poparła mnie w stu procentach, żeby było jasne. Przeniosłam się do Serenity, bo zaproponowano mi poprowadzenie salonu piękności w powstającym spa. Pracuję tu od trzech lat. Nasz ośrodek zyskał olbrzymią renomę, klienci i media prześcigają się w pochwałach. - Nie odrywała oczu od pani McDonald. - Pewnie panią zainteresuje, że przez te trzy lata ani jedna klientka nie zgłosiła najmniejszej skargi na wykonywane u nas zabiegi. Powiem pani, jak ja to widzę. Otóż jestem doskonałym fachowcem i jeśli ktokolwiek miał problem, to dlatego, że nie uprzedził o uczuleniu na konkretny specyfik.

Matka Toma zmierzyła ją wyniosłym, pełnym pogardy spojrzeniem.

- Jest pani nadzwyczaj bezczelną osobką, a do tego zupełnie niekompetentną. Tak naprawdę to powinnam zadzwonić do pani zwierzchnika i poinformować go o tamtym zdarzeniu.

- Mamo - zaproponował Tom. - Od lat wiesz, że masz alergię.

- To nie jest istotne! - zgromiła go.

- Ależ jak najbardziej istotne - zareplikowała Jeanette. - Doskonale pani wiedziała, że wina leży po pani stronie, mimo to chciała pani mnie zniszczyć. Jakie ma pani prawo do igrania z czyimś życiem? Uważa pani, że skoro jest pani bogata, to wszystko pani wolno? Niedobrze mi się robi na widok takich ludzi.

Tom skrzywił się. Widział, że Jeanette zaraz straci panowanie nad sobą i językiem. Zupełnie nie liczyła się z konsekwencjami, po prostu była wściekła i nie zamierzała ustąpić. Najchętniej zakryłby jej usta, ale w tej furii pewnie by go ugryzła.

- Niech pani raz na zawsze wybije sobie z głowy utrudnianie mi życia - ciągnęła Jeanette. - Moja obecna szefowa słyszała o pani i zapewniam, że to nie były pochlebne opinie. Uprzedzam, że jeśli nadal będzie pani rozpowszechniała kłamstwa na mój temat, oskarżę panią o zniesławienie. Moja prawniczka już radziła mi, bym to zrobiła.

Pani McDonald była w szoku.

- Nie odważy się pani!

W oczach Jeanette płonęło święte oburzenie.

- Więc się przekonajmy. O ile wiem, prawo w tym kraju nie dzieli ludzi na lepszych i gorszych, choć pani pewnie tak się zdaje, tylko na winnych i niewinnych. Z radością ujrzę, jak przy pełnej sali i dziennikarzach będzie pani tłumaczyła się przed sędzią ze swoich oszczerstw.

Matka zamrugnęła, odwróciła się na pięcie.

- Tom, jakoś straciłam apetyt. Wyjdźmy stąd.

- Zaraz przyjdę. - Popatrzył na rozognioną Jeanette. - Naprawdę musiałas to zrobić? - zapytał spokojnie.

- To znaczy co? Bronić się? Owszem, musiałam. Powinnam była zrobić to cztery lata temu, gdy miał miejsce ten „niefortunny incydent”.

Musnął jej usta.

- Byłaś wspaniała. Później do ciebie zadzwonię. Wyszedł udobruchać matkę. Powinien stanąć w jej

obronie, lecz był tak zaskoczony i tak pod wrażeniem przemowy Jeanette, że zaniemówił. Ta kobieta jest niesamowita... i trochę przerażająca.

Matka czekała na niego w samochodzie. Aż gotowała się z wściekłości.

- Dobrze znasz tę ladacznicę?

- Mamo, licz się ze słowami - ostrzegł, siadając za kierownicą. - Jeanette to moja dobra znajoma.

Popatrzyła na niego ze zgrozą.

- Zabraniam ci! Tom roześmiał się.

- Jestem za stary, byś wybierała mi znajomych.

- Ostrzegam cię przed tą kobietą. Zadzwonię do jej szefowej i zdam dokładną relację.

- Nie zrobisz tego - oznajmił z powagą.

- Oczywiście, że zrobię. Zadzwonię też do władz wydających licencje na tego rodzaju działalność.

- Jeśli to zrobisz, to z nami koniec - rzekł spokojnie.

Przez chwilę milczała zaskoczona. Zwężiła oczy.

- Co się tak denerwujesz? Powinieneś być wdzięczny, że załatwię tę sprawę, nim coś się stanie i firma straci renomę. Chyba że ta kobieta znaczy dla ciebie więcej, niż przyznałeś.

- Moja znajomość z Jeanette nie ma tu nic do rzeczy. Uważasz, że wyrzucenie jej z pracy zrobi firmie reklamę? To tylko jej zaszkodzi. Chcesz publicznie upokorzyć Jeanette, choć to ty jesteś winna. Matka dotknęła ręką twarzy.

- Gdybyś widział, co ona mi zrobiła - pożałowała się. - Całą twarz miałam w czerwonych plamach. Musiałam zrobić sobie tapetę, bo wieczorem była ważna impreza.

- Mogłaś nie iść, tylko zostać w domu. Miałaś już takie uczulenie po toniku do twarzy. Wiedziałaś, że masz alergię. Powinnaś była o tym uprzedzić. Jeśli będziesz jątrzyć tę sprawę, naprawdę zmusisz Jeanette do prawnych kroków...

- Och, mamy najlepszych adwokatów na usługi.

- Zdziwisz się, ale Jeanette również. Przyjaźni się z jedną z najlepszych prawniczek w Karolinie Południowej. I przegrasz tę sprawę, bo to ty zawiniłaś.

Popatrzyła na niego z niechęcią.

- Dlaczego bierzesz jej stronę? - Nagle głośno wypuściła powietrze. - To ona, prawda? To ona wpadła ci w oko.

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Mógł się wykręcić, ale po co? Lepiej grać w otwarte karty.

- Owszem. Dlatego bardzo cię proszę, żebyś dała sobie spokój z tym tematem. Powtórzę jeszcze raz, to była twoja wina, o czym dobrze wiesz.

- Thomasie! Nie waż się myśleć o związku z tą kobietą! Pomijając już moje osobiste przejścia, ona się dla ciebie nie nadaje. Na litość boską, to zwykła kosmetyczka! Tobie jest potrzebna kobieta z naszej sfery, nie jakaś ladacznica, którą pewnie wyrzucili z liceum.

Tom popatrzył na nią z żalem.

- Mamo, ostrzegałem cię - powiedział cicho. Otworzył drzwi i wysiadł.  
- Wystarczy.

- Thomasie, natychmiast wracaj do samochodu! Zamknął drzwi i odszedł. Wiedział, że na tym się

nie skończy. Jeszcze dziś ojciec usłyszy o niewłaściwym wyborze dokonanym przez syna. I wtedy dopiero się zacznie! W takich chwilach żałował, że rodzice nie spisali go na straty i nie zerwali z nim kontaktu.

Jeanette wróciła do kuchni. Czowała ucisk w żołądku. Nigdy w życiu nie przemówiła do nikogo tak ostro i agresywnie, jak do pani McDonald. Z jednej strony cieszyła się, że stawiała czoło tej wrednej babie, z drugiej dobijała ją myśl, że była to matka mężczyzny, który się jej podoba.

Przysiadła na taborecie i z westchnieniem sięgnęła po ciasteczko w kształcie czerwonego kapelusza.

- Niech tylko Erik cię nie przyłapie - szepnęła Dana Sue, stawiając przed nią pudełka z potrawami zamówionymi do klubu. - Dobrze się czujesz? Masz rumieńce.

- Przygadałam do słuchu matce Toma.

- O, do diabła! - Popatrzyła na nią współczująco.

-I co?

- Powiem tylko, że raczej się nie zakumplujemy.

- A Tom? Po czyjej stanął stronie?

- Był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć, ale nie był na mnie zły. - Uśmiechnęła się. - Wydaje mi się nawet, że był za mną. Powiedział, że później zadzwoni.

- To dobrze. Niektórzy faceci mają wielki problem, gdy stają przed takim wyborem.

- Zapunktował u mnie - przyznała Jeanette. - Wykazał się otwartym umysłem.

- To wystarczy, żebyś się z nim umówiła?

- Czy ja wiem? Może...

Dana Sue wysunęła sobie taboret.

- Dobrze, mam ze dwie minutki. Pogadajmy o tym. Tom ci się podoba, prawda? - Gdy Jeanette w milczeniu skinęła głową, spytała: - Więc co cię powstrzymuje?

- Bo z góry wiem, jak to się skończy.

- Naprawdę? Przepowiadasz ludziom przyszłość? Zaśmiała się, słysząc jej ton.

- Dobrze już, przestań. Wiesz, o czym mówię. Sama widzisz, z jakiej on pochodzi rodziny. Poza tym jasno powiedział, że ta posada to tylko kolejny krok w karierze.

- Masz problem z tym, że Tom jest bogaty i ambitny? - Specjalnie tak to ujęła, by zabrzmiało śmiesznie i niepoważnie.

- Oczywiście, że nie! Sama jednak przyznasz, że nie pasuję ani do jego rodziny, ani do ambicji. Afera z jego matką była tego dowodem.

- Pasujesz, jeśli on tak uważa. Dlaczego tak słabo sama siebie oceniasz? Zaslugujesz na porządnego faceta, z otwartym umysłem, odważnego, uczciwego, zdolnego do prawdziwych uczuć. A reszta to tylko dodatek, nieważne, czy mężczyzna jest milionerem z arystokratycznej rodziny, czy ubogim sprzedawcą kwiatów.

Zadumała się głęboko. Wiedziała, że ostatnio zaczęła się zmieniać, inaczej patrzyła na siebie, czego innego chciała od życia. I właśnie dlatego nigdy nie zwiąże się z kimś, dla kogo nie będzie najważniejsza.

- Dziś Tom wybrał mnie, ale nie mogę liczyć, że tak będzie zawsze.

- Na to liczyć nie możesz - z powagą stwierdziła Dana Sue. - Jeanette, nikt ci nie zagwarantuje, czy taki układ nie skończy się źle, ale też nigdy się tego nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz. Skoro trafia ci się porządny facet, dobrze się zastanów, zanim coś zrobisz. Wiele wskazuje, że Tom do takich należy. Mało go jeszcze znamy, ale zdobywa coraz większy szacunek i

zaufanie w Serenity. A to coś znaczy, nie uważasz? Nie zostawiaj Toma komuś takiemu jak Mary Vaughn.

- Ona uważa, że Tom jest gejem - zdradziła Jeanette.

Dana Sue popatrzyła na nią ze zdumieniem, a po chwili obie tarzały się ze śmiechu.

- Jest gejem, bo nie chce się z nią umówić, czy tak? - wykrztusiła Dana Sue, gdy już mogła wydobyć z siebie głos.

- No właśnie, tak to sobie wykoncypowała.

- W takim razie jesteś moralnie zobowiązana, by udowodnić, że to nieprawda - ze śmiertelną powagą oświadczyła Dana Sue, choć w oczach miała diabluki.

- To prawdziwa misja, kochanie. Zaczynij pokazywać się z Tomem na mieście, obściskować na każdym rogu. Jesteś mu to winna za to, że stanął za tobą przeciwko matce.

- Cóż, jak misja, to misja. Nie mogę się migać od tych pocałunków na każdym rogu - stwierdziła z miną męczennicy. - To by mu bardzo poprawiło opinię

- Tobie też nie zaszkodzi. - Dana Sue puściła oko.

- A może być bardzo przyjemne. Przypomniała sobie te wcześniejsze pocałunki.

Rzeczywiście to może być bardzo przyjemne.

I może też stać się początkiem nowych problemów. Cóż, misja...



## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Obiecał Jeanette, że się do niej odezwie, lecz wciąż wynajdywał przeszkody, by tego nie zrobić. Nie dlatego, by przejął się kategorycznym zakazem matki. Wciąż przeżywał tamtą scenę i nie mógł się pozbierać, bo tak zaskoczyła go jego własna reakcja. Gdy matka zaatakowała Jeanette, obudziła się w nim furia i przejmujące pragnienie, by stanąć w jej obronie, osłonić kobietę, którą tak naprawdę ledwie znał. Nigdy wcześniej żadna dziewczyna nie wyzwoliła w nim takich uczuć.

W dodatku wcale nie potrzebowała obrońcy. Wyglądała jak bezbronne dziecko, lecz potrafiła stawić czoło kobiecie, która onieśmiela wielu potężnych i bogatych. Nie był do końca pewien, czy Jeanette zdaje sobie sprawę z ewentualnych reperkusji. Matka ma mnóstwo znajomych, do tego, niestety, jest mściwa. Wprawdzie sama przed laty sprowokowała to nieszczęsne zdarzenie, lecz teraz jej próżność została urażona. Jak ją znał, nie ustanie w nękaniu Jeanette, wysuwając nawet najbardziej bzdurne oskarżenia.

Chwilowo związał jej ręce, ale nie łudził się, że to podziała na dłuższą metę, zwłaszcza gdy matka wciągnie ojca w tę rozgrywkę. Oboje doskonale wiedzą, jak ludziom dopiec, sam tego wielokrotnie doświadczył. Z drugiej strony jeśli zdesperowana Jeanette naprawdę wytoczy matce sprawę o zniesławienie, a mając wsparcie Helen Decatur...

To jakiś horror!

Dlatego ociągał się z tym telefonem. Po prostu się bał. I to wielu rzeczy. A najbardziej jednej.

Gdy Jeanette patrzyła na niego tymi wielkimi brązowymi oczami, coś się w nim załamywało, zaczynał tracić poczucie rzeczywistości i nie był w

stanie się skupić. Miał trzydzieści pięć lat i nigdy nie dręczyły go takie problemy. Nic dziwnego, że teraz był przerażony.

Trzymał się z daleka od szukających męża panienek. Spotykał się z kobietami w typie Mary Vaughn, przebojowymi i pewnymi siebie. Odpowiadał mu taki układ bez zobowiązań. Mary Vaughn, choć nieco starsza od niego, wyraźnie parla w tym kierunku. Wykręcał się od jej zaproszeń, ale już brakowało mu wymówek. Dziwnie się z tym czuł. Nigdy wcześniej nie miał takich rozterek, bo też nigdy wcześniej żadna kobieta go tak nie pociągała. W dodatku Jeanette nie ukrywała, że jest nim zainteresowana. Do tej pory skakał z kwiatka na kwiatek i było mu z tym dobrze. Mógł skupić się wyłącznie na karierze.

Nie zamierzał osiąść w Serenity na stałe. Miasteczko było za małe i zbyt prowincjonalne na jego ambicje, zaś obecną posadę traktował jako kolejny etap w karierze. Był specjalistą od zarządzania miastami, planowania ich rozwoju i wdrażania tych planów. Nikt nie ważył się kwestionować jego kompetencji, bo świadczyły o nich liczne sukcesy. Przebudził już kilka sennych miasteczek, uczynił z nich prężne lokalne centra, rozruszał biznes, promował liderów, likwidował bezrobocie. Dlatego ściągnięto go do Serenity.

Posiedzi tu dwa, góra trzy lata, zrealizuje swoje pomysły i przygotuje się do następnego kroku. Postara się o odpowiedzialne stanowisko w większym mieście, może nawet w Charlestonie, co zresztą dobiłoby rodziców. Jeszcze nie pogodzili się z faktem, że wybrał karierę urzędniczą. Zwłaszcza ojciec nie mógł mu tego darować.

- Żaden McDonald nie pracował za takie nędzne grosze, wysługując się jakiejś skretyniałej radzie miejskiej - wyrzucał mu z pogardą.

- Więc jestem pierwszym - nieugięcie odpowiadał Tom. - To moje życie. Ja o nim decyduję.

- Tylko żebyś potem, gdy stukną ci lata, nie przyszedł do mnie z płaczem, że nie masz grosza przy duszy.

- Na pewno tego nie zrobię. - Miał satysfakcję, że idzie swoją drogą, choć o wiele prościej byłoby przystać na życzenia ojca.

Bywały momenty, gdy zastanawiał się, czy nie wybrał takiej kariery na złość rodzicom. Jednak ta praca dawała mu ogromną satysfakcję. Miał swoją wizję, cieszył się, widząc, że jego pomysły sprawdzają się w zderzeniu z rzeczywistością. Powstawały firmy, miasteczka piękniały, ludzie bogacili się. A patrząc z drugiej strony, znikło bezrobocie, znikwały rudery, znikali bezdomni.

Takie wyzwania podejmował i wygrywał.

To było inne, łatwiejsze, choć zarazem bardziej ambitne.

Bo Serenity nigdy nie upadło naprawdę i zawsze miało przed sobą przyszłość. Zachowało urok małego miasteczka, lecz nie trwało w letargu ani nie popadło w ruinę, jak wiele miejscowości, w których lokalny biznes został zniszczony przez ekspansję wielkich sieci handlowych, z czym Tom borykał się zajadle, ratując ludzi przed ostateczną degrengoladą. Nie, Serenity było inne. Dzięki ludziom z pasją, mimo tak wielu ekonomicznych i społecznych zagrożeń, wciąż się rozwijało.

Czy to nie ironia, że bożonarodzeniowy festiwal, jedno z tych lokalnych wydarzeń, które dodawały kolorytu niewielkim miastom i tak go ujmowały, stał się powodem jego zgryzoty? I kobieta, która ma podobne co on podejście do świąt, może zaburzyć jego dokładnie ustalone plany...

- Do diabła - mruknął, ze złością ciskając długopisem w kąt. Jak zwykle za bardzo wszystko analizował. Jeśli chciał spotkać się z Jeanette, to

po co zaszywa się w tym gabinecie? Stracił tyle czasu. Jeanette z pewnością uznała, że przemyślał swe zachowanie i stanął po stronie matki.

Zadzwoił do spa, lecz Jeanette już wyszła. W książce telefonicznej nie było jej numeru, pewnie go zastrzegła. Mógł zadzwonić do którejś z jej przyjaciółek, lecz nie miał ochoty wysłuchiwać dobrych rad, a bez tego by się nie obeszło. Te Słodkie Magnolie, jak je tutaj zwano, miały kota na punkcie swatania.

W komputerze miał dostęp do spisu właścicieli nieruchomości. Skorzystał teraz z tego, lecz nazwiska Jeanette nie znalazł. Czyli wynajmuje mieszkanie lub dom, a takich danych nie było. Z irytacją wyłączył komputer. Co teraz?

W Serenity było niewiele miejsc, gdzie można było pójść w piątkowy wieczór. Knajpka Dany Sue, „Rosalina's"... Zajrzy do jednej i do drugiej.

Kiedy wyszedł z ratusza, usłyszał daleki gwar i ujrzał łunę nad stadionem. Pewnie grają mecz! Cał na pewno tam będzie, a razem z nim cała reszta.

Zaparkował i pobiegł na stadion. Po drodze kupił hot doga i napój. Przebiegł wzrokiem po trybunach, szukając znajomych twarzy.

- Hej, Tom! Tutaj jesteśmy.

Zobaczył machającego do niego Cala. Obok siedziała Maddie z dziećmi, Jeanette trzymała na kolanach Jessicę Lynn. Nawet nie spojrzała w jego stronę. Uśmiechnął się pod nosem. Czyli przeczucia go nie myliły - zdenerwowało ją jego milczenie. Co znaczy, że nie jest jej obojętny. Tego będzie się trzymał.

Pobiegł do nich, usiadł obok Jeanette.

- Pomyślałem sobie, że tu cię znajdę - powiedział po prostu.

Jessica Lynn sięgnęła rączkami po hot doga i po chwili była cała umazana musztardą. Jeanette odebrała jej parówkę, a potem wytarła dziewczynce buzię i rączki.

Tom zawiązał hot doga w papier i odłożył go na ziemię

- Potem kupię drugiego. Wygrywamy?

- Tam jest tablica wyników - odpowiedziała, wskazując głową.

- Jesteś na mnie zła?

- Niby dlaczego? - odparła, nadal unikając jego wzroku.

- Bo miałem zadzwonić, a nie zadzwoniłem.

- Chyba nie myślisz, że siedzę non stop przy telefonie.

- Oczywiście, że nie, ale i tak przepraszam. Miałem sporo do przemyślenia.

- Czy nie dać sobie spokoju z kobietą, która uraziła twoją matkę?

- Nie. - Uśmiechnął się. Dopiero teraz popatrzyła na niego.

- W takim razie co?

- Próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zaczynasz tak wiele dla mnie znaczyć. - Zrobiło mu się gorąco. Właśnie w tym problem. Wystarczy, że na nią spojrział, a działo się z nim coś dziwnego. I nie mógł się powstrzymać, by do niej nie wracać. - Pójdziemy gdzieś pogadać?

- Jestem z przyjaciółmi na meczu.

- I nawet nie wiesz, jaki jest wynik. - Stłumił śmiech. Co chwila na niego naskakiwała. Działał na nią, to jasne. W końcu będzie musiała się z tym pogodzić.

- Wiem, ale nie chciałam ci powiedzieć - zaproponowała. - Nie byłam pewna, czy w ogóle chcę z tobą rozmawiać.

- A teraz?

- Już prawie wykupiłeś się tym wyznaniem, że może za dużo dla ciebie znaczą.

- Prawie? Co jeszcze chcesz usłyszeć?

- Że twoją matkę zesłano na Syberię. Tom szczerze się roześmiał.

- Do tego jeszcze nie doszło, ale zapowiedziałem jej, że nie chcę słyszeć ani słowa przeciwko tobie.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Naprawdę? Powiedziałeś to?

- Gdy chciała coś dodać, zostawiłem ją w samochodzie i odszedłem.

Jeanette rozpromieniła się.

- Dziękuję.

- Do usług. To co, możemy gdzieś pójść pogadać? W jej oczach przemknął jakiś błysk.

- Tak, ale najpierw coś muszę zrobić.

Oniemiał, gdy objęła go za szyję i pocałowała w usta. Krew zaszumiała mu w żyłach. Kiedy Jeanette się cofnęła, popatrzył na nią błędnym wzrokiem.

- Za co był ten buziak?

Patrzyła na niego z zadowoloną miną.

- Kiedyś ci powiem. - Uśmiechnęła się psotnie. - Albo i nie.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Cal, Maddie i cała zgromadzona na stadionie publiczność przyglądają się im z nieskrywaną ciekawością. Jutro rano w Serenity nie będzie się mówiło o niczym innym. Był zdumiony, że Jeanette zdecydowała się na coś takiego.

- Rany boskie, cała publika patrzy na nas, zamiast na zawodników - powiedział, śledząc jej reakcję.

- Żebyś wiedział - odparła z satysfakcją, co jeszcze bardziej go zadziwiło. - Teraz możemy iść.

Nie miał pojęcia, jak to rozumieć, lecz może nie powinien się tak przejmować? Bo i po co? Wstał i podążył za Jeanette.

- Dobranoc - powiedziała, oddając Jessicę Lynn Calowi. - Dzięki, że mnie wyciągnęliście.

- Dobrze, że przyszedłeś - z szerokim uśmiechem odparł Cal.

Tom nie miał pojęcia, co się stało, lecz najbliższa przyszłość zapowiadała się nadzwyczaj obiecująco. Jeszcze niedawno to drobne zwycięstwo by mu wystarczyło, odbudowało jego ego, a teraz nie mógł się doczekać, co będzie dalej.

Być może nie powinna była posuwać się tak daleko, jednak w sumie była zadowolona. Ten pocałunek zniechęci Mary Vaughn i uciszy ewentualne pogłoski, że Tom jest gejem. No i zrewanżowała mu się za to, że stanął po jej, a nie matki stronie. Co prawda ten gest nie przyszedł jej łatwo, tak naprawdę jeszcze się nie pozbierała po tym pocałunku.

- Dokąd chcesz pójść? - zapytał, idąc do samochodu.

- Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

- „Sullivan's”?

- Dana Sue i Erik - powiedziała znacząco.

- Racja... Zaraz zaczną mieszać.

- Właśnie.

- „Rosalina's”?

- Jasne. Mecz jeszcze się nie skończył, więc będzie pusto.

- Zależy ci na tym, bo zamierzasz znowu mnie pocałować?

- Dlatego, że chciałeś pogadać.

- Wolę buziaki.



- Chyba nabrałeś błędnego przekonania.

- Co w tym złego? Ten pocałunek miał tyle żaru, że mógł zamienić w popiół miasto na Alasce.

Z trudem ukrywała zadowolenie.

- Nie licz, że to się będzie powtarzać.

Tom westchnął niczym szekspirowski tragicznik na scenie.

- Coś mi się widzi, że mówisz poważnie, dlatego od razu budzą się pytania, co cię do tego popchnęło. Bo przecież zdajesz sobie sprawę z konsekwencji. Ja zacznę sobie coś wyobrażać, ludzie zaczną gadać i tak dalej, i tak dalej.

- Zostawmy to, co będzie, to będzie. - Nie wiedziała, jak Tom zareaguje na podejrzenia Mary Vaughn. Być może je wyśmiej, a może nie. Z Mary Vaughn, prezeską izby handlowej, będzie się stale stykać, więc lepiej nie psuć ich relacji.

Weszli do włoskiej restauracji. Zgodnie z przewidywaniami, w środku było niewielu gości. Owionął ich apetyczny zapach czosnku, pomidorów i pizzy, uwielbiany przez Jeanette. Działał na nią uspokajająco, podobnie jak niektóre z ziołowych kompozycji do aromaterapii.

- Duża pizza z grzybami, oliwkami i zieloną papryką? - zapytał Tom, gdy już usiedli.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Zapamiętałeś, co brałam, gdy byliśmy z Maddie i Calem?

- Zwracam uwagę na istotne rzeczy - rzekł z powagą.

- Aha... - Naprawdę była pod wrażeniem. - Co jeszcze ci się wydaje, że o mnie wiesz?

- Powiem ci, jak już coś zamówimy. - Skinął na kelnerkę i poprosił o pizzę i napoje, a potem spojrzał na Jeanette. - Bez sałaty, tak?



- Bez. Wystarczą warzywa na pizzy.

- Zaraz przyniosę drinki - powiedziała Kristi Marcella, córka właściciela. Już studiowała, ale w weekendy pomagała w restauracji. - Pizza będzie za piętnaście minut.

Kiedy odeszła, Jeanette wbiła wzrok w Toma.

- No to strzelaj.

Popatrzył na nią z zastanowieniem.

- No więc... Pachniesz lawendą. Przepadasz za pomarańczowo-żurawinowymi rożkami i puddingiem jabłkowym z „Sullivan's”. Jesteś dyskretna i miła, ale wybuchasz, gdy ktoś cię źle potraktuje. Coś powstrzymuje cię od pogłębienia znajomości ze mną i nawet bliscy ci ludzie nie wiedzą, dlaczego tak się dzieje. - Chciała sprostować, ale położył jej palec na ustach. - Wiem, co chcesz powiedzieć, ale tu nie chodzi o to, że nie zamierzam zostać w Serenity na stałe. Problem leży głębiej.

- Głębiej, powiadasz... - Była poruszona jego przenikliwością.

- Dobrze się domyślam?

- Dobrze, zwłaszcza że prawie mnie nie znasz.

- Intryguje mnie, że nawet swoim przyjaciołom mówisz o sobie niewiele. Ukrywasz coś, co miało miejsce w przeszłości i wywarło wpływ na twoje życie, po prostu ukształtowało ciebie.

Czytał w niej jak w otwartej księdze. Nie wiedziała, jak do tego podejść.

- Nie w takim sensie, jak myślisz - zaproponowała. - Nie chcę wracać do niektórych rzeczy, nie chcę ich pamiętać.

- Jeśli tak trudno ci o nich mówić i wolisz wymazać je z pamięci, to znaczy, że są ważne. Niedobrze dusić je w sobie. Byłoby ci lżej, gdybyś podzieliła się nimi z bliskimi osobami.

- Gdzie jest kozetka, doktorze McDonald? - spytała cierpko. - Nie wiedziałam, że zostanę poddana psychoanalizie.

- Nie ma kozetki - odparł żartobliwie, dając tym samym sygnał, że się wycofuje z psychologicznych dywagacji. Spozrzegł, że Jeanette przyjęła to z ulgą. - Zresztą dziwnie by tu wyglądała, prawda?

- Tak, co najmniej dziwnie. - Gdy kelnerka przyniosła gorącą pizzę, Jeanette wykorzystwała moment, by zebrać myśli. Teraz ruch należał do niej. Wybrała najbardziej neutralny temat i spytała: - Nadal mieszkasz w „Serenity Inn”?

- Tak.

- Nie jest tam zbyt wygodnie. Mieszkałam w tym pensjonacie przez jakiś czas, gdy zaczęłam pracę u Maddie. - Nałożyła sobie porcję pizzy, wciągnęła zapach i podmuchała, by ją ostudzić. On zaś nie odrywał oczu od jej ust. - Tom - powiedziała cicho. - Tom!

- Tak? - Potrząsnął głową. - Przepraszam, rozproszyłem się.

- Widziałam - rzekła z rozbawieniem.

- O czym mówiliśmy?

- Powiedziałeś, że mieszkasz w pensjonacie, a ja, że też tam się zatrzymałam, kiedy przyjechałam do Serenity. Zamierzasz tam mieszkać? Skoro nie będziesz tu zbyt długo, to po co zawracać sobie głowę kupowaniem domu.

- Rozglądam się za domem.

- Mary Vaughn na pewno chętnie ci w tym pomoże.

- Już miałem od niej propozycję. - W jego głosie nie usłyszała specjalnego entuzjazmu. - Spróbuję sam coś znaleźć. - Urwał, po chwili dodał: - Chyba że ty miałabyś ochotę mi pomóc.

- Jutro po południu mogę poświęcić kilka godzin, jeśli chcesz, by ci doradzić. - Sama była zaskoczona, że to powiedziała.

Tom też nie krył zdziwienia.

- Na pewno?

- Tak. Czemu nie? - W końcu co jej szkodzi przejechać się z nim po miasteczku. Nie będzie okazji do długich pogaduszek. Sama od jakiegoś czasu zastanawiała się nad kupnem domu. Będzie okazja przyjrzeć się, co aktualnie jest na rynku.

- Przyjechać po ciebie do spa?

- Tak. Będziemy mieć więcej czasu.

- O której?

- Ostatnia klientka wyjdzie za piętnaście czwarta, więc może o czwartej. Czasu nie będzie dużo, ale parę domów zdążymy obejrzeć.

- Przejrzę ogłoszenia i wyszukam najbardziej odpowiednie. To nam oszczędzi zachodu.

- Jasne. Grunt to dobra organizacja.

- No to jesteśmy umówieni.

Czuła, że celowo użył tego słowa, lecz nie zamierzała się czepiać.

- Tak, jesteśmy.

- A skoro już mówimy o domach, to dziś zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie mieszkasz i jak się z tobą skontaktować, gdy nie jesteś w spa. W książce telefonicznej cię nie ma. Uznałem, że możesz być na meczu.

Było oczywiste, że chce dowiedzieć się jej adresu i telefonu, ale Jeanette zignorowała to, natomiast spytała:

- Szukałeś mnie? Myślałam, że to Cal cię zaprosił, bo Maddie mu to zasugerowała. To jej metoda.

- To była moja inicjatywa. - Popatrzył na nią. - Podasz mi swoje zamiary czy nadal będziesz trzymać je w tajemnicy?

Przez chwilę zastanawiała się, wreszcie wygięła usta w uśmiechu.

- Widzisz, jaka jest potęga tajemnicy? Szukałeś mnie po całym mieście, ganiałeś tu i tam z wywieszonym jęzorem...

- Znacznie szybciej i łatwiej byłoby złapać cię telefonicznie.

- Dla ciebie może tak, ale wiesz, jaka to dla mnie frajda, gdy musisz się trochę postarać?

- Twoje perwersyjne podejście jest dla mnie wyzwaniem.

- Bez wyzwania szybko byś się znudził. Przypuszczam, że większość kobiet natychmiast traci dla ciebie głowę. Jesteś przystojny, zabawny, bogaty. Świetna partia.

- Ty nie jesteś zainteresowana. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Zainteresowana, i owszem... ale czy połknęłam haczyk? Nie. Musisz się bardziej przyłożyć, żeby mnie wyłowić.

- Uważaj, Jeanette! Już ci mówiłem, że nigdy nie odpuszczam. Podejmuję wyzwania. Jesteś na to gotowa?

Coś w jego tonie sprawiło, że poczuła przyjemny dreszczyk emocji. Popatrzyła mu w oczy.

- Przekonaj się.

Ledwie to powiedziała, w jego oczach ujrziała niebezpieczne iskierki. I już wiedziała, że przekroczyła granicę między ryzykiem a dotychczasowym bezpiecznym życiem. I wcale nie czuła żalu.

Brakowało jej tego napięcia, leciutkiego zawrotu głowy, przyjemnego ściskania w żołądku. Dana Sue miała rację. Wiodła spokojne ustabilizowane życie, ale tak naprawdę żyła na pół gwizdka. Już dawno nie odczuwała takich emocji, już dawno mężczyzna nie patrzył tak na nią, jak teraz Tom.

Jeśli ta znajomość nie potrwa długo, to co z tego? Tyle razy miała złamane serce; przeżyje i teraz.

Ujął jej dłoń i delikatnie pocałował kciuki. Jak na czarno-białych filmach, które tak lubiła. Westchnęła. Zakocha się trochę, odrobinę. Odepchnęła od siebie znaki ostrzegające przed katastrofą - łącznie z obrazem tej jego wrednej matki - i modliła się w duchu, by tym razem się udało i by jej serce wyszło z tego bez szwanku.

RS

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Mary Vaughn wzdragała się na myśl o proszeniu byłego męża o cokolwiek, ale nie miała wyjścia. Bez Sonny'ego nie miała co marzyć o urządzeniu tradycyjnych świąt. Rory Sue wciąż miała do niej żal, że nie zgodziła się na wyjazd na narty, więc tym bardziej musi się postarać, by córka cieszyła się z powrotu do domu. Obiecała jej prawdziwe, pełne magii święta, takie jak dawniej, gdy Rory Sue jeszcze była dzieckiem. Poza tym musi rozmówić się z Sonnym, wyjaśnić mu, że w sprawach dotyczących córki muszą mówić jednym głosem. Howard obiecał nie wtrącać się, lecz wiedziała, że długo nie wytrzyma.

Zadzzwoni do niego teraz, nie ma co odkładać tej rozmowy. Zwłaszcza że musi siedzieć w domu wystawionym na sprzedaż i czekać na ewentualnych klientów, a jak na razie wielkiego zainteresowania nie widać. Przez cały dzień przewinęło się ledwie kilka osób. Młode małżeństwo, które wczoraj oglądało dom, nie pojawiło się dotąd, choć obiecali dzisiaj się zdecydować.

Wybrała numer Sonny'ego. Zdziwiła się, bo na dźwięk jego głosu poczuła miły dreszczyk. Zastanawiające, bo gdy byli małżeństwem, nigdy między nimi nie było takiej chemii. Czyżby to się zmieniło?

Sonny z charakteru był bardzo podobny do ojca, tak samo jowialny i pogodny. Rozwód przeszedł bez zgrzytów, rozstali się wręcz po przyjacielsku, choć fakt, że to on postanowił zakończyć ich związek, był dla niej trudny do przełknięcia. Czuła się upokorzona.

- O co chodzi, kochanie? Czy nasza dziewczynka ma jakieś problemy?

- Z Rory Sue wszystko w porządku - uspokoiła go. - Ale dzwonię w związku z nią.

- Tak? Co się stało? - zapytał i wyszeptał do kogoś: - Przepraszam, kochanie. Jedną minutkę, dobrze?

Mary Vaughn nerwowo stuknęła stopą w podłogę. Kiedyś Sonny jej poświęcał całą uwagę. Dlatego się nim zainteresowała, gdy jeszcze w liceum Ronnie Sullivan dał jej kosza, a Sonny był obok, wpatrzony w nią jak w obrazek. Tym bardziej bolało, że teraz to się zmieniło. Wprawdzie od ich rozvodu minęło dziewięć lat, lecz sądziła, że zawsze może mieć Sonny'ego na kiwnięcie palca. Okazuje się, że nawet podczas rozmowy telefonicznej nie jest pochłonięty wyłącznie nią. To odkrycie jeszcze bardziej ją rozstroiło.

- Przepraszam - odezwał się po chwili. - Mamy dziś straszny młyn. Wszyscy rzucili się na pikapy, w dodatku chcą je mieć już zaraz. Od dwudziestu pięciu lat prowadzę ten biznes i nie pamiętam czegoś takiego. Mów szybko, o co chodzi?

- Musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy.

- Osobiście-powiedziała coraz bardziej rozdrażniona.

- Chodzi o ten wyjazd na narty? Powiedziałem Rory Sue, że to zależy od ciebie.

- A ja już wcześniej oznajmiłam jej, że nie ma mowy. Dzięki za wsparcie - dokończyła z sarkazmem.

- Kochanie, nie musisz od razu urywać mi głowy - odciął się. - Rory Sue nic mi nie powiedziała, że wcześniej z tobą rozmawiała.

- Domyślam się. Nie przejrzałaś jej sztuczek? Już jako dwulatka biegła do ciebie, gdy jej czegoś zakazywałam. Teraz próbowała nawet odwołać się do twego ojca, ale przecięłam to. Choć raz Howard stanął po

mojej stronie. Też uważa, że bez niej nie będzie prawdziwych świąt. Dziwię się, że masz inne zdanie.

- Powiem szczerze, że gdy dzwoniła, byłem zajęty i słuchałem jej jednym uchem. A skoro już raz się zgodziłem, nie wypadało mi tego odwołać.

Czyli jej przypuszczenia się potwierdziły. Poczła niewielką satysfakcję.

- Założę się, że zadzwoniła do ciebie w trakcie cotygodniowego omawiania wyników sprzedaży, czyż nie? Zrobiła to celowo.

- Tak właśnie było. Jest sprytniejsza, niż myślałem. Muszę być czujniejszy.

- Nim to się stanie, może spotkamy się we wtorek wieczorem na kolacji w „Sullivan's” i ustalimy, co będzie ze świątami? Ja stawiam. - Niezależność finansowa dawała jej powód do dumy. Nic nie wzięła od byłego męża. Sonny łożył jedynie na córkę, a chesne za studia opłacali po połowie.

- Chcesz się ze mną spotkać? - W jego tonie zabrzmiało zdumienie.

- Na litość boską, Sonny.

- No dobrze. To o której?

- Może być siódma? O szóstej jestem umówiona z klientem.

- Czyli przyjdiesz o wpół do ósmej - stwierdził. - Nie ma sprawy, będę dokładnie o siódmej.

Zdegustowana odłożyła słuchawkę. Jak mogła myśleć, że zdołają w spokoju dogadać się w sprawie córki?

Jej irytacja spotęgowała się na widok Toma i Jeanette, którzy zblizali się do domu.



O ich rzekomym pocałunku na stadionie słyszała od trzech osób, ale nie dawała temu wiary. I oto okazuje się, że w sobotnie popołudnie razem chodzą oglądać domy na sprzedaż. Nic dziwnego, że Jeanette była taka wyciszona, gdy zasugerowała jej, że Tom chyba jest gejem. Dobrze wiedziała, że prawda jest inna. Pewnie już wcześniej się z nim potajemnie spotykała. Co tylko świadczy, że nawet taka bystra kobieta jak ona nie zawsze jest w stanie wygniuchać, co piszczy w trawie.

Jeanette od razu poznała samochód Mary Vaughn zaparkowany przed niewielkim bungalowem. Drzwi domu były szeroko otwarte, kolorowe balony i donice z jesiennymi kwiatami ustawione przy schodach zapraszały do wejścia, zielona trawa była starannie przystrzyżona, a świeżo odmalowane białe okiennice ładnie kontrastowały z szarym sidingiem. Jednym słowem zrobiono wszystko, by dom prezentował się zachęcająco.

Naprawdę tu ładnie, pomyślała Jeanette.

Jednak im byli bliżej, tym mocniej ścisnęła ją w żołądku.

- To Mary Vaughn go sprzedaje - powiedziała do Toma.

- Co z tego? Czy to jakiś problem?

- Dla mnie nie, ale oboje wiemy, że ma na ciebie chrapkę. Nie będzie zachwycona, gdy zobaczy nas razem. - Zwłaszcza jeśli już doszły do niej plotki o tym wczorajszym pocałunku, dodała w duchu.

- Przejmujesz się? - zapytał z uśmiechem.

- Nie, ale ty powinieneś. Nie daruje ci.

Mary Vaughn z uśmiechem przyklejonym do twarzy wyszła im na powitanie.

- Kogo my tu widzimy! - zaszczębiotała. - Nie spodziewałam się zobaczyć was razem, a już na pewno nie tutaj.

- Tak wyszło - rzekł Tom. - Namówiłem Jeanette, żeby wybrała się ze mną obejrzeć kilka domów.

Mary Vaughn w mgnieniu oka przeobraziła się w profesjonalną agentkę. Podała Tomowi wydrukowaną ofertę.

- Ten dom na pewno ci się spodoba. Wymarzony dla samotnego mężczyzny - znacząco spojrzała na Jeanette - albo dla młodej pary rozpoczynającej wspólne życie. Pokoje są miłe i przytulne.

Oprowadziła ich po parterze. Były tam dwie sypialnie, łazienka, duża kuchnia i salon. Wystrój raczej nie przypadł Tomowi do gustu, lecz Jeanette od razu spostrzegła ogromny potencjał drzemiący w tych wnętrzach. Naprawdę może tu być miło i przyjemnie.

- Na górze jest jeszcze jedna sypialnia i łazienka. Trzeba włożyć tam trochę pracy, ale naprawdę warto. - Poprowadziła ich do wąskich schodów.

Jeanette trzymała się z tyłu. Czuła, że Mary Vaughn pogodziła się z porażką w zabiegach o względy Toma, ale zamierzała zrekompensować sobie rozczarowanie, sprzedając mu dom.

- Nie jest źle - rzekł Tom, obrzucając pokój przelotnym spojrzeniem. - Cena jest jak dla mnie zbyt wygórowana. Podlega negocjacji?

Mary Vaughn popatrzyła na niego konspiracyjnie.

- Wprawdzie pracuję dla osoby, która sprzedaje dom, ale powiem ci w zaufaniu, że to prawdziwa okazja.

- Może i tak - wtrąciła Jeanette - ale dobrze znam Nancy Yates i wiem, że bardzo jej zależy, by jak najszybciej sprzedać dom i przenieść się na Florydę, by być bliżej dzieci. Na pewno zgodzi się na rozsądną ofertę. - Gdy Mary Vaughn popatrzyła na nią wrogo, wzruszyła ramionami. - Przepraszam. Po prostu o tym wiedziałam.

Mary Vaughn zorientowała się, że musi zatrzeć złe wrażenie, i szybko powiedziała:

- To oczywiste, że Tom chce wynegocjować dobrą cenę, ale muszę też pilnować interesów Nancy.

Zeszli na dół i znaleźli się w ogródku za domem. Tonął w kwiatach, w rogu była niewielka kaskada. To wystarczyło, by Jeanette z miejsca straciła głowę dla tej posiadłości. Urzekły ją cisza i spokój panujące w ogrodzie. Nigdy nawet nie przypuszczała, że jakiś dom tak bardzo ją ujmie. Jeśli Tom zechce go kupić, zaczną się licytować.

- Nancy to zapalona ogrodniczka - mówiła Mary Vaughn. - Gdy przeszła na emeryturę, większość czasu spędzała w ogrodzie. W całym Serenity nie znajdziecie piękniejszego niż ten. - Promiennie popatrzyła na Toma. - Założę się, że lubisz urządzać grilla, prawda?

- Czasami. Ale podoba mi się ta atmosfera. Jest tak spokojnie. - Popatrzył na Jeanette. - Co o tym myślisz?

Zawahała się. Nie chciała go zachęcać do kupna, ale też nie posunęła się do kłamstw.

- Bardzo mi się podoba. Kojarzy mi się z patio w naszym klubie.

- Nie wiem, czy mam wystarczające zacięcie do prac ogrodowych.

- A od czego są ogrodnicy? - zapytała Mary Vaughn. - Znam kilku, których z całą odpowiedzialnością mogę polecić. Zrobią wszystko za ciebie, a ty będziesz siadywał tu sobie wieczorami i relaksował się z drinkiem w dłoni.

Tom odwrócił się do Jeanette.

- I z bliską osobą - uzupełnił.

Widziała, jak oczy Mary Vaughn zwięzły się na te słowa. Robiła dobrą minę, lecz nie była zadowolona. Nadejście jakiejś pary dało jej pretekst, by odejść.

- To co, mogę was na razie zostawić? - upewniła się jeszcze.

- Oczywiście.

Poszła przywitać się z młodym małżeństwem.

- Co myślisz o domu? - zapytał Tom. - Powiedz szczerze.

- Jest bardzo przytulny - zaczęła ostrożnie.

- Coś nie tak? Widziałaś gdzieś ślady pleśni czy zacieki na suficie?

- Nie. Jest naprawdę świetny.

- To czemu masz taką minę? Jest jakiś problem?

Uznała, że najlepsza jest szczerłość. Popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

- Chciałabym sama kupić ten dom. Zakochałam się w nim, jak tylko weszliśmy do ogrodu. On jest dla mnie w sam raz. Z jednej z sypialni na dole zrobiłabym gabinet. Zamieszkałabym na razie na dole. Górę przerobiłabym na główną sypialnię, tak jak radziła Mary Vaughn. Jest miejsce na wielką wannę i na prysznic. Można zainstalować okno dachowe.

- Zapalała się coraz bardziej. - Widzę tam wielkie łoże z mnóstwem poduszek i kanapę, na której mogłabym sobie czytać... Byłoby super.

Tom przyglądał się jej badawczo.

- A miejsce dla mnie? Szczególnie mam na myśli to wielkie łoże.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Rozmawiamy hipotetycznie? Uśmiechnął się leciutko.

- Jeśli tak musimy.

- Hipotetycznie miejsce dla ciebie by się znalazło.

- Czemu nie powiedziałaś, że rozglądasz się za domem dla siebie?

- Bo nie miałam dziś takich planów. Od jakiegoś czasu noszę się z myślą, by poszukać czegoś na stałe. Liczyłam, że może coś mnie natchnie, gdy pooglądam z tobą trochę miejsc, ale nie spodziewałam się, że znajdę coś dla siebie. A potem weszliśmy tu i od razu wiedziałam, że to dom dla mnie.

- Popatrzyła na niego ze skruchą. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Dotknął jej policzka. - Widzę, jak wiele to dla ciebie znaczy. I powiem szczerze, że pasujesz do tego miejsca. - Uśmiechnął się. - Ja do ciebie też.

- To co teraz zrobimy? Będziemy się licytować? Roześmiał się.

- Nie wątpię, że Mary Vaughn byłaby z tego niezmiernie zadowolona, ale nic z tego. Jeśli sądzisz, że właścicielka jest skłonna obniżyć cenę, to wiesz, ile mogłabyś dać?

Palce jej zwilgotniały na myśl o kredycie na trzydzieści lat, lecz gdy wyobraziła sobie wieczorne spotkanie ze Słodkimi Magnoliami przy dzbanie margarity, od razu zrobiła się spokojniejsza.

- Ale to tobie potrzebny jest dom. Nie możesz w nieskończoność mieszkać w pensjonacie.

- Jeśli naprawdę tak się o mnie martwisz, to możesz przyjąć mnie pod swój dach.

Jeanette roześmiała się.

- Zawsze chcesz dopiąć swego? Strasznie jesteś przebiegły.

- Wcale nie żartowałem. W każdym razie nie do końca. Mógłbym pomóc w remoncie, płaciłbym czynsz, a to ważne przy spłacie kredytu. Zamieszkałbym w pokoju, który chciałaś przeznaczyć na gabinet. Oboje tylko byśmy na tym zyskali.

Nie była pewna, czy Tom mówi poważnie, czy tylko ją sonduje, ale pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się.
- Nie rezygnuj pochopnie. Wiem, jak posługiwać się młotkiem.
- Zdajesz sobie sprawę, jakie powstałyby plotki? Twoja posada zawisłaby na włosku.
- Gdybym legalnie wynajął u ciebie pokój? Mając umowę na piśmie? Jeanette przewróciła oczami.
- Jak długo trwałby taki stan rzeczy? Tom z niewinną miną wzruszył ramionami.
- To zależałoby od ciebie.
- Mogłabym rozważyć taki układ, gdybym miała pewność, że na tym poprzestaniesz, ale oboje wiemy, że byłoby inaczej. Non stop starałbyś się mnie uwieść.
- To się rozumie samo przez się - wyznał beczelnie - ale wiem też, że z tobą nie taka prosta sprawa, czyż nie?
- Zwykle nie, lecz przy tobie nie ręczę za siebie. Masz na mnie taki wpływ, że sama nie wiem. Mógłbyś wbrew mojej woli namówić mnie do różnych rzeczy.
- Dawno nie słyszałem czegoś, co tak by mnie podbudowało - stwierdził z satysfakcją. - Idź złożyć ofertę na dom. Potem wrócimy do naszych ustaleń mieszkaniowych.
- Przecież nie mamy żadnych ustaleń! - zaprotestowała.
- Idź. - Popchnął ją lekko. - Śpiesz się, zanim ci dwoje złoży ofertę i cię przebiją.

Zawahała się. Czy jest na to gotowa? Pod wpływem chwili złożyć ofertę na dom, który dopiero co ujrzała? Nie szastała pieniędzmi. Miała odłożoną sumę na udział własny. Raty i podatki jakoś spłaci. W spa nieźle zarabiała, a wydawała tylko na mieszkanie i jedzenie.

- Może ci coś policzyć? - zaproponował Tom, domyślając się powodów jej wahania. - Mam kalkulator.

- Nie. To nerwy. Taka decyzja to ogromne zobowiązanie.

- No dobrze, popatrzmy na to z innej strony. Zamierzasz w niedalekiej przyszłości zrezygnować z pracy i przenieść się gdzieś indziej?

Jeanette pokręciła głową.

- Nie. Tu mi się bardzo podoba.

- Masz na wkład własny, żeby raty cię nie dobiły?

- Tak.

- W takim razie pod względem finansowym to bardzo rozsądne działanie, natomiast sądząc po twoich błyszczących oczach, również pod względem emocjonalnym.

Jeanette uśmiechnęła się szeroko.

- To ma sens, prawda?

- Według mojej oceny jak najbardziej. Impulsywnie ścisnęła go za rękę.

- Dziękuję. - Weszła do kuchni. - Mary Vaughn!

- Jestem w salonie - odkrzyknęła.

Agentka siedziała przy stole z młodymi ludźmi, którzy przed chwilą przyszli obejrzyć dom. Rozłożone papiery mogły świadczyć, że zamierzają wypisać ofertę.

- Mogę cię prosić na słowo? Na osobności. - Uśmiechnęła się do nieznanym. - Przepraszam za zamieszanie.

Mary Vaughn poczuła, że być może ma drugiego klienta. Pośpiesznie wyszła z Jeanette do kuchni.

- Co się stało? Tom chce złożyć ofertę? Bo ci ludzie już się decydują.

Jeanette wyjęła z torebki kartkę papieru, wypisała sumę i podała ją Mary Vaughn.

- To moja oferta. Jeśli muszę wypełnić oficjalny druk, mogę zaraz to zrobić.

Mary Vaughn nawet nie zerknęła na kartkę, tylko wlepiała wzrok w Jeanette.

- To twoja oferta?

- Moja - potwierdziła.

- A Tom?

- Dogadaliśmy się. On nadal będzie szukać. - Albo naciskać ją, by pozwoliła mu się do siebie wprowadzić. Oczywiście tego nie zdradzi Mary Vaughn. Zależało jej na tym domu i nie chciała ryzykować, że agentka wybierze inną ofertę, nawet jeśli będzie tylko odrobinę wyższa, by uniemożliwić im wspólne zamieszkanie.

Mary Vaughn popatrzyła na wypisaną sumę.

- Przyniosę formularz, by wszystko było jak trzeba.

- Czy przebijam cenę proponowaną przez nich?

- Wszystkie oferty przekażę Nancy - wymijająco powiedziała Mary Vaughn. - Ona zdecyduje.

- Ale czy poruszamy się w tym samym przedziale? - nalegała Jeanette.

- Zależy mi na tym domu.

Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Teraz Mary Vaughn ma pewność, że w razie czego Jeanette podniesie oferowaną cenę.

- Zadzwoń do Nancy, jak tylko dostanę oferty.

Odeszła, po chwili wróciła z drukami. Poczekała, aż Jeanette je wypełni.



- Zaraz spróbuję złapać Nancy - powiedziała. - Obiecała, że będzie pod telefonem, w razie gdyby znalazł się ktoś chętny. Możecie poczekać, choć nie wiem, czy nie będzie chciała najpierw przemyśleć całej sprawy.

- Poczekać. Będziemy w ogródku.

Tom siedział na schodkach wiodących z jadalni na patio. Podniósł się, gdy podeszła.

- I jak?

- Złożyłam ofertę. Ta para również. Oni już wcześniej tu byli.

- Mary Vaughn przekazuje oferty właścicielce? Jeanette z ponurą miną kiwnęła głową.

- Czuję, że jeśli to tylko będzie prawnie możliwe, Mary Vaughn postara się, żeby Nancy wybrała ich ofertę.

- Dlaczego?

- Bo jest wściekła na mnie, że jestem tu z tobą.

- Nie mów tak. To profesjonalistka, działa w interesie klienta. Nie dopuści, by prywatne animozje wzięły górę.

- Naprawdę jesteś tak bardzo naiwny? Czy raczej jej nie znasz?

- Nie znam jej za dobrze, to prawda, ale nie odniosłaby sukcesu, gdyby postępowała nieetycznie i niezgodnie z zawodowymi standardami.

Dobrze pamiętała, jak Mary Vaughn uganiała się za mężem Dany Sue, ale to dotyczyło prywatnej sfery.

- Mam nadzieję, że nie zapomina o tych standardach.

- Trudno to uznać za pochwałę - zauważył Tom. - Coś was kiedyś poróżniło?

- Nie chodziło o mnie, lecz o Danę Sue i Ronniego. Ronnie próbował ją odzyskać, a Mary Vaughn wychodziła ze skóry, by go zdobyć. Nic dziwnego, że obie schodzą sobie z drogi.

- To ci się udzieliło?

- Dziwne, ale nie. Zawsze miałyśmy dobry kontakt. Jest moją klientką... To ona nakłoniła mnie, bym zgodziła się na udział w komitecie. Tylko że wtedy jeszcze ciebie nie znała. Teraz mam przeczucie, że widzi we mnie rywalkę.

Popatrzył na nią z uśmiechem, pogładził po policzku.

- Nie ma rywalizacji, jeśli nie ma zawodów. Ty jesteś tą, której chcę, Jeanette. Jedyną.

Zadrzała, słysząc jego poważny ton. Zmusiła się, by odwrócić wzrok.

- Przestań mówić takie rzeczy.

- Nawet jeśli to prawda?

- To nie może być prawda. Tak ci się tylko wydaje, bo jestem poza twoim zasięgiem. Niektórzy mężczyźni tacy są. Ciągnie ich tylko to, czego nie mogą mieć.

- Ale ja mogę cię mieć - powiedział z takim przekonaniem, że omal go nie spoliczkowała.

- Nie wydaje mi się. - Cofnęła się. To nie była prawda. Wystarczyło, by jej dotknął. Oboje o tym wiedzieli. Ale nie zamierzała się przyznawać.

Otworzyły się kuchenne drzwi.

- Jeanette, mogłabyś przyjść? - poprosiła Mary Vaughn.

Była spięta. Gdy weszła do kuchni, zauważyła, że młodzi ludzie zniknęli. Czy to znaczy, że jej nadzieje się spełnią? Czy może Mary Vaughn chce tylko poinformować, że jej oferta została odrzucona?

Agentka uśmiechnęła się z przymusem i podała jej telefon.

- Nancy chce z tobą mówić.

Z bijącym sercem wzięła aparat.

- Cześć, Nancy, jak się miewasz? Jak tam Floryda?

- Wspaniale! - Od dawna Nancy nie miała tak radosnego głosu. -  
Cudownie jest być tak blisko dzieci i mieć plażę za oknem.

- Bardzo się cieszę - powiedziała szczerze. - Wiem, że po odejściu  
Garretta czułaś się tu samotna.

- To prawda, ale jeszcze kilka minut temu nie bardzo wiedziałam, czy  
sprzedać dom i stracić wspomnienia, żeby zamieszkać tutaj. Mary Vaughn  
zadzwoiła przed chwilą, że ma dwóch chętnych. Gdy usłyszałam, że jedna  
z ofert jest twoja, przestałam się wahać. - Roześmiała się. - Na szczęście  
twoja cena była najwyższa. I wyższa od tej, na jaką liczyłam.

- Zakochałam się w tym domu, gdy weszłam do ogrodu - powiedziała  
Jeanette, nie kryjąc radości.

- Pamiętasz, często rozmawialiśmy o uprawianiu ogrodu. Wiem, że  
będziesz się nim troskliwie zajmować. Umowa stoi, Jeanette. Mary Vaughn  
dopilnuje formalności. Dom jest twój. Ale obiecaj mi jedno.

- Co tylko chcesz - odparła bez namysłu.

- Pozwolisz mi wpaść, gdy będę w okolicy?

- W każdej chwili. - Ledwie się powstrzymywała, by nie krzyknąć z  
radości. - Strasznie ci dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.  
Jestem taka przejęta, że aż się trzęsę.

- Mam nadzieję, że będziesz w tym domu taka szczęśliwa, jak byłam  
ja.

- Na pewno tak będzie. Do widzenia, Nancy. I jeszcze raz dziękuję.

Kiedy się rozłączyła, ujrzała Toma, który patrzył na nią z uśmiechem.

- Dom jest twój?

- Mój, to znaczy będzie, gdy tylko dostanę kredyt i podpiszę umowę. -  
Tom porwał ją na ręce i okręcił wokoło. Kiedy ją postawił, w oczach Mary

Vaughn ujrzała błysk... chyba smutku. Trwało to mgnienie. Agentka uśmiechnęła się służbowo.

- Moje gratulacje. Co powiecie na kolację i szampana, by uczcić to wydarzenie? Zabieram was do „Sullivan's”.

Tom pytająco popatrzył na Jeanette.

- Co ty na to? Dasz radę?

Mary Vaughn naprawdę potrafi się zachować, uznała Jeanette. Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności. Może też zależało jej, by pokazać ludziom, że nie jest taka przegrana jak wtedy, gdy Dana Sue ponownie wyszła za Ronniego. Jeanette skinęła głową. Trzeba dać jej szansę, by zachowała twarz.

- W przyjemnością - powiedziała. - I dzięki za przekonanie Nancy, by przyjęła moją ofertę.

- Miła moja, nie musiałam jej do niczego przekonywać. Zdecydowała cena. A również to, że okazałaś jej serce, gdy było jej ciężko po śmierci Garretta. To tylko potwierdza, że nasze uczynki do nas wracają. - Westchnęła głośno, a po chwili wymamrotała do siebie: - Chyba powinnam wziąć to sobie do serca.

Jeanette usłyszała ostatnie słowa.

- Mary Vaughn, wszystko w porządku? Agentka uśmiechnęła się promiennie. Czyżby to

tylko moja imaginacja? - zastanowiła się Jeanette. Może tylko mi się wydawało, że w jej głosie było tak wiele rezygnacji?

- Jak najbardziej, kochanie, ale z przyjemnością wypiję kieliszek szampana. Spotkajmy się w restauracji za piętnaście minut. Zamknę dom i wywieszę tablicę, że jest w trakcie sprzedaży.

- Oczywiście. To do zobaczenia - powiedziała Jeanette.

Czuła przez skórę, że Mary Vaughn potrzebuje odrobiny czasu dla siebie. Musi zebrać siły, by odegrać swą rolę, pokazać wszystkim, że nadal jest górami, a relacja Toma i Jeanette wcale jej nie wzrusza. Jeanette była dla niej pełna podziwu. Gdyby to ona znalazła się na jej miejscu, popędziłaby do domu, by koić nerwy pudłem truskawkowych lodów.

RS

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jeszcze nigdy nie czekał go tak bardzo stresujący wieczór. Czuł przez skórę, że ledwie wejdą do restauracji, a wszyscy zaczną się na nich gapić. Ludzie tylko będą czekać, kiedy Jeanette i Mary Vaughn skoczą sobie do oczu.

Mary Vaughn była nim zainteresowana i nie kryła się z tym, a Jeanette wczoraj pocałowała go publicznie. Wprawdzie zarzekała się, że ten pocałunek nie miał takiego znaczenia, jakie mu przypisywał, lecz zbagatelizował to. Przypuszczał, że może jeszcze nie pogodziła się z tym, co do niego czuje, choć oczywiście nie miał żadnych dowodów. Jeszcze nie.

Czasami się łudził, że mieszkańcy Serenity dadzą im święty spokój, lecz tak naprawdę zupełnie na to nie liczył. Słodkie Magnolie, ich mężowie, jego sekretarka... a reszta pewnie nie jest lepsza.

- Jakoś nie wykazujesz entuzjazmu - zagadnęła Jeanette w drodze do restauracji.

- Skąd taki wniosek?

- Bo odkąd pożegnaliśmy się z Mary Vaughn, nie odezwałeś się słowem.

- Nie wydaje ci się, że ta kolacja zapowiada się nieszczerze?

- Owszem, ale jesteśmy jej to winni.

Popatrzył na Jeanette ze zdumieniem. Kompletnie nie nadażał za nią.

- Powiesz jaśniej?

- Mary Vaughn chce wyjść z twarzą, pokazać światu, że jest ponad, mimo że ją odrzuciłeś i wybrałeś mnie. Choć oczywiście nie zrobiłeś tego.

- Zrobiłem - sprostował stanowczo. -I niezależnie od intencji, ten wczorajszy pocałunek pokazał światu, że i ty mnie wybrałaś.

Jeanette zarumieniła się leciutko.

- Miałam swoje powody, by to zrobić. Nie dopatruj się w tym czegoś szczególnego.

Popatrzył na nią sceptycznie, znów wbił wzrok w szosę.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Raczej nie.

- W takim razie będę się trzymał mojej wersji.

- Jasne, to dobrze robi na twoje ego.

- Skoro nie ma dowodów, że tak nie było, to czemu miałbym nie wyciągać takiego wniosku?

- Bo powiedziałam ci, że było inaczej.

- To tylko słowa - prowokował ją. Jeanette najeżyła się.

- Nie musisz iść na tę kolację. Podrzucić mnie tylko na miejsce. Opijemy okazję we dwie.

- Ale wtedy nie udowodni światu, że jest ponad.

- Nie tak łopatologicznie. Co innego kolacja we trójkę. Całe Serenity będzie miało czarno na białym, że między nami nie ma żadnych animozji.

- Czyli nie mogę się wyłamać. Nikt nie powie, że matka nie wychowała mnie na dżentelmena. Zrobię wszystko, by chronić honor damy.

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko.

- Muszę - oświadczył, choć miał przeczucie, że będzie gorzko tego żałował.

Ledwie zaprowadzono ich do stolika, Jeanette poderwała się i poszła do kuchni. Patrzył na nią stropiony. Pewnie chce podzielić się nowiną, że kupuje dom, choć może chodzi o coś jeszcze.

Miał przeczucie, że choćby był z nią i pięćdziesiąt lat, nigdy jej do końca nie pojmie. Chciałby poznać jej tajemnice, to go naprawdę kusilo.

Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety aż tak intrygującej, że chciałby z nią iść przez życie.

Mary Vaughn zatrzymała się na restauracyjnym parkingu. Poprawiając nieskazitelny makijaż, zbierała się w sobie, by stawić czoło nowemu wyzwaniu. Tego spontanicznego zaproszenia Jeanette i Toma pożałowała od razu. Umiała radzić sobie w trudnych sytuacjach i robić dobrą minę do złej gry, lecz dzisiaj miała już dość. Wypadki potoczyły się tak nieoczekiwanie, że jeszcze nie pogodziła się z faktami.

- Trudno, nie ma wyjścia - mruknęła do siebie i wysiadła. Niech nikt sobie nie pomyśli, że jej duma została urażona, bo ponownie ktoś sprzątnął jej sprzed nosa faceta, na którym jej zależało. Wścibscy mieszkańcy dobrze wiedzą, że miała ochotę na Toma. Tak jak wiedzieli, co dzieje się w ich rodzinie, ale nikt nawet nie pisnął na ten temat słowa. Tym bardziej nikt nie kiwnął palcem, by pośpieszyć z pomocą jej czy jej matce.

Nie miała rodzeństwa, to od matki nauczyła się trzymać język za zębami. Ojciec przez lata znęcał się nad żoną fizycznie i psychicznie, a ona w milczeniu to znosiła. Kiedy Mary Vaughn podrosła na tyle, że zaczęła zadawać pytania, matka zapewniała, że nie ma żadnego problemu. Awantury nazywała „dyskusjami”, była posiniaczona, bo się uderzyła czy potknęła. Wypierała się przed córką w żywe oczy, w ten sposób wymuszając na niej milczenie.

Mary Vaughn wmawiała sobie, że gdyby ojciec ją zaatakował, matka stanęłaby w jej obronie i może wtedy sytuacja by się zmieniła, jednak takiej pewności nie miała, zawsze tliły się w niej wątpliwości. Na szczęście nigdy nie musiała konfrontować swoich wyobrażeń z rzeczywistością, bo ojcu wystarczyło wyzywanie się na matce.



Chodziła do szkoły z dumnie uniesioną głową, udając, że nie słyszy szeptów dzieciaków z sąsiedztwa, które widziały jej ojca wracającego z baru i słyszały krzyki dochodzące z ich domu. Szkolni pedagodzy próbowali z nią rozmawiać, lecz zawsze zapewniała, że w domu nie ma żadnej przemocy. Kłamała po mistrzowsku, jak matka.

Ronnie Sullivan przyjechał do Serenity z innego miasta, więc nic nie wiedział o jej rodzinie. Zakochała się w nim, bo nie patrzył na nią z żalem, jak inni uczniowie. Wyszła za Sonny'ego, bo pokochał ją, choć doskonale orientował się w jej sytuacji i podziwiał, z jaką ambicją i determinacją dążyła do tego, by wyrwać się ze środowiska i znaleźć swoje miejsce w życiu.

Rodzice już nie żyli. Ojciec zmarł na marskość wątroby, matkę zabił zawał. Nie opłakiwała ich, opłakiwała rodzinę, której nigdy nie miała.

Sonny, syn burmistrza, zastąpił jej rodzinę. Potem pojawiła się Rory Sue. Od początku wiedziała, że choć w ich małżeństwie nie będzie fajerwerków, Sonny zapewni jej poczucie bezpieczeństwa, będzie szanowana przez niego i całe miasteczko. Powtarzała sobie, że to wystarczy i niczego więcej jej nie potrzeba do szczęścia. Z czasem okazało się, że dla Sonny'ego było jednak za mało.

Kiedy od niej odszedł, znów musiała robić dobrą minę do złej gry, być głucha na kursujące po miasteczku plotki, ukrywać uczucia. Potrafi się maskować, śmiać się, choć serce pęka z bólu. Dziś przyda się jej ta umiejętność. Odegra rolę agentki zadowolonej z dokonanej transakcji.

Nie zdradzi jej ton głosu czy niezbyt przekonujący uśmiech. Przyszła świętować z Jeanette, która znalazła swój wymarzony dom... a może również i mężczyznę.

Kiedy przyniesiono szampana, Mary Vaughn podniosła kieliszek.

- Za wspaniałą przyszłość w twoim nowym domu! - Stuknęła się z Jeanette i Tomem. - Niech się szczęśliwie mieszka.

- To dom dla mnie - uściśliła Jeanette. - Tom nadal szuka czegoś dla siebie. Może podsuniesz mu coś odpowiedniego.

- Z przyjemnością. - Ucieszyła się, bo ze słów Jeanette wynikało, że ci dwoje jeszcze nie doszli do takiego etapu, by zamieszkać razem. Uśmiechnęła się promiennie do Toma. - Masz jakieś preferencje? Szukasz czegoś w podobnym stylu czy wolisz coś bardziej nowoczesnego? Myślisz o reprezentacyjnej posiadłości, odpowiedniej do twego statusu? Na pewno jesteś przyzwyczajony do dużego domu.

- Przywykłem do skromnych warunków, niewiele lepszych od pokoju w „Serenity Inn”. Większość czasu spędzam w pracy, wystarczy mi pokój do odpoczynku, lodówka i sypialnia.

- Znajdziemy ci coś lepszego. Nie wspomniałam o tym wcześniej, ale dzwoniła do mnie twoja matka.

- Tak? - Tom spochmurniał.

- Kiedy tu była, wzięła mój folder w ofertami

I upatrzyła dla ciebie kilka domów. Ma dzwonić w przyszłym tygodniu, chce umówić się na oglądanie.

- Nie ze mną - odparł. - Jeśli zadzwoni, poinformuj ją, że pracujesz dla mnie, nie dla niej.

Mary Vaughn ledwie mrugnęła okiem. Zdążyła się zorientować, że Clarisse McDonald to twarda sztuka i nie da się łatwo odstawić na boczny tor.

- Myślę, że chce ci pomóc - rzekła uspokajająco. - Jesteś zapracowany, w nowym miejscu. I jeszcze ten bożonarodzeniowy festiwal, który dodatkowo zabiera ci czas.

Tom pochylił się ku niej.

- Mary Vaughn, bardzo cię proszę, byś zniechęciła moją matkę do tego pomysłu, chyba że chce szukać domu dla siebie. Sam zdecyduję, co mi się podoba. Jeśli to dla ciebie problem, znajdę innego agenta, a ty możesz do woli obwozić moją matkę.

Najwyraźniej wdepnęła w rodzinne przepychanki, w których trudno się rozeznać.

- To żaden problem - powiedziała pośpiesznie. Dobrze byłoby zdobyć taką klientkę jak Clarisse McDonald, ale ważniejsze były poprawne stosunki z Tomem. - Nie denerwuj się. Jeśli zadzwoni, jakoś się wykręcę.

- Dzięki.

Mary Vaughn popatrzyła na Jeanette.

- Masz fachowca, któremu mogłabyś zlecić prace remontowe, gdy oficjalnie staniesz się właścicielką?

- Jeszcze do mnie nie dotarło, że kupuję dom. Pewnie skonsultuję się z Ronnie'em. On zna takich ludzi.

- Ja też ci obiecałem pomoc - wtrącił Tom, spoglądając na Jeanette znacząco.

- A ja podziękowałam - odparła, obserwując go z rozbawieniem. - To zbyt zobowiązujące.

- Zawsze możemy negocjować - zareplikował. - To może być ciekawe.

Mary Vaughn zdusiła westchnienie. Nie będą mieszkać razem, lecz między nimi coś jest. Czowała to na sto procent.

Co z nią nie tak? Przecież o wiele bardziej pasuje do Toma niż Jeanette. Ma klasę, ogładę, jest ustawiona finansowo. Ciężko pracowała, by zdobyć wykształcenie i dobry zawód, zrobić karierę i nie powielić losu matki. Wyszła za mąż z rozsądku, ale Sonny był porządnym człowiekiem, z

dobrej rodziny. Uwielbiał ją, a jednak od niej odszedł. W pewnym sensie trudniej było się z tym pogodzić niż z odrzuceniem przez Ronniego.

Ma w sobie jakiś feler, czegoś jej brakuje, ale nie potrafi określić, czego dokładnie. Może jest zbyt agresywna, zbyt pewna siebie, zbyt niezależna? A może za bardzo jej zależy?

Zawsze była tak skoncentrowana na mężczyznach, że nie starczało czasu na podtrzymywanie koleżeńskich więzi z kobietami. Nie miała oddanych przyjaciółek, które w razie potrzeby coś by doradziły lub chociaż wysłuchały. Mogłaby pogadać z Jeanette, ale już było na to za późno.

Musiała znaleźć odpowiedzi na te pytania, i to jak najszybciej, bo miała już dość tej szarpaniny, dość samotnych wieczorów w pustym domu. Sukces i pieniądze to nie wszystko, nie zastąpią bliskości z drugą osobą". Poza córką, która wciąż miała jakieś żale, nie było w jej życiu nikogo bliskiego.

Upiła jeszcze jeden łyk szampana, odstawiła kieliszek. Alkohol nic nie pomoże, tylko pogłębi depresję. Jest jej smutno i ciężko na sercu, ale nie będzie użalać się nad sobą. Nie jest beksą, ma duszę wojownika! I nigdy o tym nie zapomni.

Jeanette, Tom i Mary Vaughn kończyli czekoladowe ciasto, gdy w restauracji pojawiły się Helen i Maddie z rodzinami. Dana Sue wyszła z kuchni, niosąc drugą butelkę szampana i musujący cydr dla dzieci. Tuż za nią szli Erik i Karen, a po kilku minutach przybył Elliott z dziećmi Karen.

- Co jest? - zdumiała się Jeanette. - Co wy tu robicie?

- Kupujesz dom! - wykrzyknęła Maddie. - Przyszliśmy to uczcić! Cieszymy się podwójnie, bo twoja decyzja oznacza, że nie wyjedziesz.

- Skąd wiecie o domu?

- Naprawdę myślałaś, że Dana Sue nie da nam cynku? - z niedowierzaniem zapytała Helen. - Bałyśmy się, że któregoś dnia spakujesz rzeczy i powiesz nam adieu. Mieszkałaś przecież w Charlestonie, ba, nawet w Paryżu. Bałyśmy się, że Serenity ci się znudzi.

- Jeszcze nie mam tego domu - zaproponowała Jeanette. - Dopiero w poniedziałek wystąpię o kredyt.

- Dostaniesz go, nie łam tym sobie głowy - zapewniła Helen. - W razie czego powołaj się na nas.

- To wspaniałe wydarzenie - orzekła Dana Sue. - Trzeba je uczcić w gronie przyjaciół. - Popatrzyła wrogo na Mary Vaughn.

Uwadze Jeanette nie uszedł ból, który przemknął w oczach Mary Vaughn. Trwało to sekunde. Agentka poderwała się z miejsca, uśmiechając się promiennie.

- Nie będę przeszkadzała w świętowaniu.

- Zostań. - Jeanette posłała Dana Sue ostrzegawcze spojrzenie. - Chociaż na kieliszek szampana.

- Czy ja wiem... - Mary Vaughn nieufnie popatrzyła na eksrywalkę.

- Zostań - potwierdziła Dana Sue, choć bez entuzjazmu.

Mary Vaughn przysiadła na brzegu krzesła.

Większość gości już się rozeszła do domów. Ronnie i Dana Sue zestawili kilka stołów, starsze dzieci pilnowały młodsze, niemowlęta spały.

- No to teraz opowiadaj, jak to się stało - zagaiła Maddie. - Nie miałam pojęcia, że szukasz domu.

- Ja też nie miałam - przyznała Jeanette. - Tom chciał się rozejrzeć. Pojechałam z nim prosto po pracy i sprzątnęłam mu dom sprzed nosa.

- Łamiąc mi serce - jęknął Tom. - Zakochałem się w tym domu.

Jeanette zgromiła go wzrokiem.

- Nie opowiadaj. Widziałam twoją minę, gdy zobaczyłeś salon.

- Może za dużo było kwiecistych wzorów - rzekł z uśmiechem. - Ale meble ujdą, co?

- Co ci za różnica? - spytała Jeanette. - To nie ty będziesz tam mieszkał.

- No wiesz! Przecież się umówiliśmy.

- Na co się umówiliście? - Helen przyszpiliła Jeanette wzrokiem. - Nie chciałaś, bym sprawdziła umowę? Zaskoczyłaś mnie, decydując się na dom, nie pokazawszy mi papierów przed podpisaniem.

- Musiałam działać szybko, bo byli inni chętni - tłumaczyła się Jeanette. - Ale dalszy ciąg przekażę tobie. Ja się na tym nie znam.

- A co to za umowa z Tomem? - cisnęła Helen. Jeanette posłała mu kwaśne spojrzenie.

- Tomowi się wydaje, że jest zabawny. Chce wynająć ode mnie pokój w zamian za pomoc przy remoncie.

- To świetny układ - stwierdził nad wyraz pewnym głosem.

Ronnie popatrzył na niego z rozbawieniem, a także podziwem dla jego geniuszu.

- Piękny pomysł, ale o coś cię zapytam. Miałeś w ręku młotek?

- Mam wiele umiejętności, które się przydadzą - odparł Tom.

- Związanych z remontem? - zapytał Cal i jęknął, bo Maddie szturchnęła go łokciem w bok. - Za co? Co ja takiego zrobiłem?

- Wprawiasz ich w zakłopotanie.

- To było normalne pytanie? No nie? - Popatrzył po kumplach, szukając wsparcia.

- Normalne, ale niezręczne - rzekł Ronnie. Tom obrócił się do Ronniego.

- Jeśli chcesz, możesz mnie przetestować. Sprawdzić, jak sobie radzę z narzędziami.

Jeanette przewróciła oczami.

- Nie ma znaczenia, czy oni uznają cię za fachowca, i tak się do mnie nie wprowadzisz. Zatrudnię wykwalifikowanego wykonawcę. Ronnie, polecisz mi kogoś?

- Nie ma sprawy. Znajdę odpowiedniego człowieka. Powiesz mi tylko, co i kiedy ma być zrobione

- zapewnił.

- Zdrajca - wymamrotał Tom. Ronnie uśmiechnął się szeroko.

- Wracam do domu z jedną z tych pań. Wolę się nie narażać.

- Mężczyźni powinni trzymać się razem - narzekał Tom.

- Ożeń się ze Słodką Magnolią, od razu o tym zapomnisz - rzucił Cal, masując sobie bok.

Podczas tych przekomarzań Jeanette zerknęła na Mary Vaughn i zaskoczyła ją tęsknota malująca się w jej oczach. Musiała doskwierać jej samotność, to oczywiste. Co z tego, że była kobietą sukcesu, skoro nie miała przyjaciół? Chciałaby tego, lecz nie bardzo umiała nawiązywać takie kontakty. Dobrze, że nakłoniłam ją, by tu została, pomyślała.

Popatrzyła po zebranych.

- Bardzo wam dziękuję. Jesteście cudownymi przyjaciółmi. Dzięki wam czuję się tu jak w rodzinie.

- W rodzinie nie zawsze jest słodko - z goryczą odezwała się Mary Vaughn i zaraz się stropiła, jakby zaskoczona stwierdzeniem, które się jej wyrwało.

- Święta racja - potwierdził Tom. - Jak to mówią? Przyjaciół sobie wybierasz, a rodzinę masz.



- Dlatego właśnie uważam się za szczęściarę - powiedziała Jeanette - bo was mam. Wznieśmy kolejny toast. Za przyjaźń.

- Za przyjaźń - powtórzyła Maddie.

- Za przyjaźń - zgodnym chórem dopowiedziała reszta.

Karen zalśniły łzy w oczach.

- Ja tylko mogę potwierdzić, jak ważną rolę odegraliście w moim życiu. Odmieniliście je. - Popatrzyła Elliottowi w oczy. - Wy i Elliott, oczywiście.

- Oczywiście - podjęła Maddie. - Ustaliliście już datę ślubu?

- Namawiam ją na ucieczkę i potajemną ceremonię - rzekł Elliott - ale Karen i mojej rodzinie marzy się huczny ślub i wesele. Musimy więc czekać, aż małżeństwo Karen zostanie unieważnione. Ksiądz liczy, że potrwa to kilka miesięcy. Staram się być cierpliwy.

- Co nie jest jego mocną stroną - skomentowała ze śmiechem Karen, splatając palce z Elliottem. - Ale bardzo mi zależy, by wszystko odbyło się zgodnie z tradycją. To ma być małżeństwo na zawsze.

Jeanette ledwie powściągnęła westchnienie. Była świadkiem narodzin tego uczucia. Elliott od pierwszej chwili był pod urokiem Karen, to ona się opierała. W sumie trudno było jej się dziwić. Miała za sobą nieudane małżeństwo, mąż zostawił ją z dwójką malutkich dzieci, a rodzina Elliotta krzywo patrzyła na jego związek z rozwódką. On jednak nie poddał się presji i w końcu dopiął swego. Razem odnaleźli swe szczęście.

Jakby wyczuwając jej nastrój, Tom ucisnął pod stołem dłoń Jeanette. Popatrzyła mu w oczy. Czytał w jej myślach, czuła to. Poczowała dreszczyk na plecach, cofnęła rękę. Już drugi raz topniała przy nim, a tego nie chciała. Podobają się sobie, nie da się temu zaprzeczyć, jednak musi być czujna.



Co z tego, że Tom świetnie się odnajduje wśród jej przyjaciół, że jest miły i wrażliwy? Co z tego, skoro ważniejsza dla niego jest kariera? Zabierze się stąd, zostawiając ją bez żalu. Sam to powiedział.

Chyba wyczuł, że rezerwa Jeanette ma głębsze przyczyny, bo popatrzył jej w oczy.

- Wszystko w porządku? Uśmiechnęła się z przymusem.

- Prawie. Ale już dobrze.

- To znaczy?

Pokręciła głową, podniosła się.

- Bardzo wam wszystkim dziękuję za przyście - powiedziała, unikając wzroku Toma. - Przyznam się, że ja już mam na dziś dość wrażeń. Padam ze zmęczenia. Mary Vaughn, podrzucisz mnie do domu?

Tom spochmurniał.

- Ja mogę cię odwieźć.

Mary Vaughn wybawiła ją z opresji, bo natychmiast poderwała się z miejsca.

- Oczywiście. Przy okazji omówimy po drodze kilka szczegółów, dobrze?

- Jasne. Dobranoc wszystkim.

Niemal wybiegła z restauracji i szybko wskoczyła do samochodu Mary Vaughn.

- Powiesz, o co chodzi? - zapytała agentka. Jeanette przecząco pokręciła głową.

- Każdy z nich chętnie by cię odwiózł, a wolałaś mnie. Dlaczego?

- Może liczyłam, że nie obrzucisz mnie milionem pytań - odparła smętnie. - Myliłam się?

Mary Vaughn zaśmiała się tylko.

- Oczywiście, że mam mnóstwo pytań - powiedziała. - Jednak zachowam je dla siebie.

- Dzięki. - Oparła się wygodniej, westchnęła. -A jak ty się czujesz? Dla ciebie to nie była komfortowa sytuacja, prawda? Nie mam na myśli kolacji, ale cały wieczór.

- Nie było tak źle, jak się obawiałam. Wiesz, jak ci dobrze, że masz tylu oddanych przyjaciół?

- Wiem. I codziennie dziękuję za to Bogu. Podjechały pod dom Jeanette. Mary Vaughn popatrzyła na nią.

- Jak myślisz... może kiedyś pójdziemy razem na lunch? Albo do kina? Pewnie wydaje ci się to dziwne, bo uderzałam do Toma, ale to już przeszłość. Byłabym wdzięczna, gdybyś nie chowała do mnie urazy. Zależy mi, byśmy się zaprzyjaźniły, oczywiście jeśli to nie postawi cię w niezręcznej sytuacji wobec Dany Sue.

Pamiętała tęsknotę, którą dostrzegła w jej oczach. Aż za dobrze wiedziała, co to samotność.

- Na pewno nikt nie będzie miał do mnie pretensji, jeśli wybierzemy się razem na lunch. Nie mam przy sobie kalendarzyka. Może umówimy się przy twojej kolejnej bytności w spa?

- Doskonale. Dzięki za dzisiejszy zakup. Daj znać w razie jakichkolwiek pytań związanych z kredytem. Tak czy inaczej w przyszłym tygodniu widzimy się w spa. Postaram się zrobić wszystko, by jak najszybciej załatwić papiery na dom.

Jeanette uścisnęła ją impulsywnie.

- Dobranoc. Do zobaczenia wkrótce.

Ślady łez na policzkach Mary Vaughn zaskoczyły ją i jeszcze mocniej upewniły, że dobrze zrobiła, włączając ją w dzisiejszy wieczór. Pod maską

agresywnej, pewnej siebie bizneswoman kryła się wrażliwa i nieśmiała dusza, czego aż do dzisiaj nawet nie podejrzewała.

RS

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Telefon dzwonił przez całą niedzielę. Kusilo ją, by odebrać, lecz zaparła się. Bała się, że w końcu odbierze, więc poszła na długi spacer. Widziała na wyświetlaczu numer Toma. Maddie, Helen i Dana Sue też się do niej dobijały. Pewnie zachodziły w głowę, co się stało, że tak niespodziewanie wyszła z restauracji.

Telefon umilkł późnym wieczorem i dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że jedyne, co zyskała, to niewielką zwłokę, bo rano i tak będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Tomem. Nie może drugi raz nie pojawić się na zebraniu komitetu, to już by było przegięcie.

Przed pójściem do łóżka przygotowała strój na jutrzejszy dzień: czerwony sweter, w którym było jej bardzo do twarzy, szare spodnie i czerwone pantofle, na które namówiła ją Helen. Nie były aż tak potwornie drogie jak te, w których gustowała pani adwokat, ale dla Jeanette cena była zabójcza. W dodatku musiała dobrać do nich torebkę, co całkiem ją dobiło. Wmawiała sobie, że w tym stroju będzie wyglądała odpowiednio do sytuacji, lecz prawda była taka, że czuła się w nim pewnie i seksownie.

Rzeczywiście tak się czuła, wchodząc do sali konferencyjnej, ale gdy w oczach Toma dostrzegła pełne podziwu uznanie, pożałowała wyboru. Na pewno pomyślał, że dla niego tak się ubrała. Z trudem przełknęła ślinę, uśmiechnęła się z przymusem i usiadła obok Ronniego.

- Skarbie, nie ukryjesz się przed nim - szepnął Ronnie. - Trafiło go.

- Wcale nie. Jestem dla niego wyzwaniem, nic ponadto.

Ronnie zaśmiał się cicho.

- Pobożne życzenia. Masz coś przeciwko pięknym i bogatym?

- No skądże.

- W takim razie czemu go unikasz?

- Wcale go nie unikam.

- To czemu wczoraj wydzwaniał do nas przez cały dzień, martwiąc się o ciebie?

- Dzwonił do was? - zdumiała się. - Przepraszam.

- Denerwował się, bo nie mógł cię w żaden sposób złapać. Dana Sue również. Musiałem się bardzo starać, by wybić im z głowy jazdę do ciebie. Gdybyś teraz się tu nie zjawiała, ekipa poszukiwawcza już byłaby w drodze.

- Przepraszam. Naprawdę nie chciałam, żeby tak wyszło.

- Spokojnie. Przekonałem ich, że musisz mieć trochę czasu, by ochłonąć. Kupno pierwszego domu zawsze jest wielkim przeżyciem. To twój pierwszy dom, prawda?

- Tak, no i wszystko stało się tak szybko. Teraz okropnie się boję, czy nie popełniłam błędu. Rano zadzwoniłam do banku, by umówić się na rozmowę w sprawie kredytu, ale jak tylko się połączyłam, odłożyłam słuchawkę.

- To zrozumiałe, że się denerwujesz - uspokajał Ronnie. - Szybko ci przejdzie. Pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć.

- Dzięki.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Przeraza cię perspektywa ubiegania się o kredyt hipoteczny na trzydzieści lat, ale poza tym wszystko dobrze?

Jeanette uśmiechnęła się promiennie.

- Bardzo dobrze.

- W porządku, mnie to wystarczy. - Uśmiechnął się. - Tylko nie wiem, czy wystarczy Tomowi i mojej żonie.

Jeanette zerknęła na Toma. Obserwował ich.

- Mhm, widzę.

Chwilę później Tom otworzył zebranie i poprowadził je w błyskawicznym tempie. Widać było, że chce jak najszybciej mieć to za sobą, co zupełnie nie odpowiadało Howardowi.

- Gdzie się tak śpieszysz, synu? - zagadnął, gdy Tom zaczął dziękować za spotkanie. - Myślałem, że zastanowimy się, skąd weźmiemy choinkę.

Tom stłumił westchnienie.

- Zwykle skąd ją braliście?

- Kupowaliśmy na plantacji pod Serenity. Jest ich tu trochę. A właściwie było, bo deweloperzy zawłaszczają kolejne tereny. - Ostro popatrzył na Ronniego, jakby to jemu przypisywał winę. - W tym roku poszukajmy gdzieś dalej. Mam na oku plantację w pobliżu Columbii. Powinniśmy wybrać się tam i rozejrzeć. Prawdopodobnie zapłacimy trochę więcej niż poprzednio, ale wybór będzie nieporównywalny.

- Zgoda, wybierz się tam - rzekł Tom, zamykając temat.

Jednak Howard nie poddał się tak łatwo.

- To powinna być kolegialna decyzja. - Uśmiechnął się promiennie. - Pojedźmy tam w weekend, wszyscy razem. Zimy się jeszcze nie czuje, ale puścimy kolędy, weźmiemy na drogę gorącą czekoladę i wprawimy się w świąteczny nastrój. - Potoczył po zebranych wzrokiem. - Urządzimy sobie wspaniałą wycieczkę!

- Dla mnie sobota odpada - powiedziała Jeanette. - Wtedy mam najwięcej klientek.

- Mnie też sobota nie pasuje - odezwała się Mary Vaughn. - Albo jestem w domu na sprzedaż i pokazuję go chętnym, albo obwożę klientów po terenie. W niedzielę podobnie.

Howard ponuro spojrział na Ronniego.

- Ty pewnie zaraz powiesz, że w soboty masz największe obroty, więc nie możesz zamknąć sklepu.

Ronnie wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, tak. Howard pokręcił głową.

- W takim razie pojedziemy w przyszły wtorek. Mam nadzieję, że wszystkim pasuje? To dopiero za tydzień, więc wygospodarujecie sobie czas. Jeanette, co ty na to?

Doskonale wiedziała, że dzień wcześniej czy później nie zrobi różnicy, bo w ogóle nie miała ochoty na ten wyjazd.

- Poprzekładam umówione klientki. Wtorki zwykle są mniej obłożone.

- Świetnie - ucieszył się Howard i spojrzał na Toma. - W ratuszu wtorek też zapowiada się spokojnie, prawda? Nie mamy ważnych zebrań.

- Nie - z ociąganiem potaknął Tom.

- W takim razie postanowione - z zadowoleniem podsumował Howard.

- Wyruszymy o siódmej rano. - Odwrócił się do Toma. - No to możesz zamykać spotkanie.

- Dziękuję. Widzimy się we wtorek. Jeanette, mogłabyś zostać kilka minut? Chciałbym omówić sprawę kupców.

- Muszę wracać do pracy - odparła pośpiesznie, obawiając się zostać z nim sam na sam.

- Dziesięć minut.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie i podążyła za nim do jego pokoju.

Tom zamknął drzwi, wskazał gestem krzesło, lecz Jeanette nawet nie drgnęła. Wzruszył ramionami.

- Jak tam u ciebie? - zagadnął.

- Dobrze.

- Nie jesteś na mnie zła?

- Skądże.

Popatrzył na nią zafrasowany.

- W takim razie mogłabyś wyjaśnić, co takiego stało się w sobotę wieczorem i dlaczego nie odbierałaś moich telefonów?

- Wysłałam z restauracji, bo poczułam się strasznie zmęczona. Nie odbierałam telefonu, bo nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Musiałam przemyśleć sobie parę rzeczy.

- W związku z kupnem domu?

- Przede wszystkim.

- A pozostałe? Miały coś wspólnego ze mną?

- Z góry zakładasz, że o tobie myślę?

- Mhm... - Popatrzył na nią znacząco.

- No dobrze, zgadłeś - przyznała z ociąganiem. - Oczekujesz więcej, niż mogę ci dać. Prawie się nie znamy, a już chcesz ze mną zamieszkać. Może tylko żartowałeś...

- To nie był żart - powiedział spokojnie.

Nie miała do niego siły. Kiedy tak mówił, jej opór natychmiast słabł. Obronnym gestem uniosła rękę.

- Właśnie o to chodzi. To dla mnie za szybkie tempo.

- Jeanette, usiądź na chwilę, pogadajmy. Jak stoisz, mam wrażenie, że już jesteś jedną nogą za drzwiami.

- Powiedziałam ci, że śpieszę się do pracy. Westchnął z rezygnacją.

- No to umówmy się na lunch, wtedy porozmawiamy. Nie chcę cię stresować. Rzecz w tym, że zawsze działałam szybko, nie lubię tracić czasu. Kiedy mam cel, dążę do niego.

- I teraz za cel wyznaczyłeś sobie mnie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Ty chyba zwariowałeś.



- Chwilami sam jestem tym oszołomiony, ale nic mnie nie powstrzyma.

- A moje uczucia są bez znaczenia? Może łaskawie weźmiesz je pod uwagę? Mówię ci, że dla mnie to za szybkie tempo, ale to do ciebie nie trafia. Przemyśl to sobie.

Podeszła do drzwi, otworzyła je. Już prawie wchodziła do sekretariatu, gdy Tom pochwycił ją w ramiona i pocałował tak, że kolana się pod nią ugięły.

- O dwunastej podjadę po ciebie do spa - powiedział, nie zwracając uwagi na zdumioną minę Teresy. - Pogadamy podczas lunchu.

Jeanette popatrzyła na niego z irytacją.

- Czy moje słowa do ciebie nie dotarły?

- Dotarły, ale ten pocałunek powiedział mi co innego. Resztę omówimy później. Tylko nie próbuj się wymknąć, bo i tak cię znajdę.

Nim zdążyła się pozbierać, odwrócił się, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

- No nie! - wykrzyknęła Teresa. - Słyszałam, że między wami iskrzy, ale nie miałam pojęcia... - Pokręciła głową.

- Błagam, nie mów o tym nikomu, zwłaszcza Grace Wharton - prosiła Jeanette. - To tylko podgrzeje plotki. Wiem, że sama to zaczęłam, dając mu buziaka na stadionie, ale to było działanie pod wpływem chwili. Zwykle się tak nie zachowuję.

- Przecież nikt nie ma do ciebie pretensji - uspokajała ją sekretarka.

- Nie chodzi o to. Miałam powody, by go pocałować, ale nie powinnam była tego robić. Popełniłam błąd, wielki błąd! Nie chcę być obiektem plotek. Tom też na tym dobrze nie wyjdzie, choć na razie niczym się nie przejmuję.

- Mam trzymać buzię na kłódkę? - z żalem spytała Teresa.

- Proszę. Masz u mnie gratisowy zabieg.

- Widzę, że rzeczywiście ci na tym zależy - skomentowała ze śmiechem.

- Zabieg i masaż - kusiała coraz bardziej zdesperowana Jeanette.

Szeroki uśmiech Teresy dobitnie świadczył, że tylko się pograżyła, robiąc z tego pocałunku takie wielkie halo.

- Dzięki za propozycję, ale nie mogę jej przyjąć. Jednak sam fakt, że ją wysunęłaś... - Sekretarka uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Zapowiada się bardzo ciekawie. Nie pisnę słowa, ale nie licz, że uda wam się długo ukrywać. Wszyscy szybko się w tym połapią.

Właśnie tego najbardziej się obawiała.

Tom podniósł głowę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Skończyłeś rozmowę z Jeanette? - zapytał Ronnie, wchodząc do środka.

- Tak, skończyłem.

- To może chcesz skorzystać z dobrej rady człowieka, który ma za sobą przejścia z kobietami.

- Chętnie usłyszę, jak ty to widzisz.

- Rozmawiałem z Jeanette przed zebraniem. - Ronnie usiadł. - Wprawdzie mówiła niewiele, ale wniosek jest oczywisty. Otóż ona jest śmiertelnie przerażona tym, co do ciebie czuje.

- Jeśli zostawię ją w spokoju, zadręczy się swymi lękami.

- Daj jej trochę luzu, bo inaczej ją stracisz. Przerabiałem to z Daną Sue. Czując presję, jeszcze mocniej się broniła, a kiedy zacząłem rozkręcać sklep i od rana do nocy byłem zajęty, zateęskniła za mną. Poczuli się pewniej, uznała, że panuje nad sytuacją.

Niektóre kobiety bardzo tego potrzebują, szczególnie jeśli kiedyś zostały zranione.

Nie mógł odmówić słuszności temu stwierdzeniu, choć nie bardzo miał ochotę tracić cenny czas. Ale cóż, siła wyższa, pomyślał.

- Na jak długo miałbym się wycofać? Ronnie zachichotał, słysząc jego niecierpliwego ton.

- Na ile będzie trzeba.

- Mam zacząć już teraz? Umówiłem się, że podjadę po nią i zjemy razem lunch.

- Decyzja należy do ciebie, ale gdybyś odwołał spotkanie, to byłby właściwy ruch.

- Tak ciężko było z Daną Sue?

- Ciężej. Musiałem naprawdę się nieźle przyłożyć, a ona wcale nie ułatwiała mi sprawy, delikatnie mówiąc. Wtedy dobitnie przekonałem się, jak ważne są takie cechy jak upór i cierpliwość.

- Upór i cierpliwość? - Upór to jeszcze, ale cierpliwością nigdy nie grzeszył. - Zastanowię się.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że się wtrącam - rzekł Ronnie. - Jak już będziesz miał dość, dzwoń do mnie lub do Cala i pójdziemy pokopać piłę. Trochę ruchu i kilka piw to najlepsze lekarstwo na stresy.

- Jasne - zgodził się szczerze Tom. Choć jeszcze lepszy byłby gorący seks z kobietą, o której nie mógł przestać myśleć.

Mary Vaughn czuła się dziwnie podenerwowana zbliżającą się kolacją z byłym mężem. Pewnie dlatego, że od tego spotkania wiele zależało. Jeśli nie dojdą do porozumienia i nie wypracują dobrego planu, będzie jej bardzo trudno nie ulec prośbom córki i zabronić wyjazdu do Aspen.

Pamiętała zgryźliwe uwagi Sonny'ego, więc odwołała klientkę i w restauracji była kwadrans przed czasem. Zaskoczenie, które odmalowało się na twarzy byłego męża, kiedy wszedł do sali i ujrzał ją przy stoliku, sprawiło jej wielką satysfakcję.

Sonny pochylił się, cmoknął ją w policzek i powiedział:

- Co za miła niespodzianka. Klientka ci nawaliła? Spięła się na mgnienie, lecz zaraz wzruszyła ramionami.

- Sama przełożyłam spotkanie. Chciałam ci coś udowodnić.

- Skarbie, niczego nie musisz mi udowadniać. Jesteś, jaka jesteś. Już dawno się z tym pogodziłem.

Szukała w jego głosie zjadliwej nuty, lecz nic takiego nie usłyszała. Jeśli już, to rozbawienie czy rezygnację.

- Zaczynam nowy etap - oświadczyła. - Postanowiłam bardziej liczyć się z innymi, ot, choćby szanować ich czas.

Po jego minie sądząc, raczej jej nie uwierzył. Cóż, znał Mary Vaughn od wielu lat i trudno mu było brać za dobrą monetę takie zapewnienia o cudownej przemianie.

Poszukał wzrokiem kelnerki.

- Napijesz się czegoś? Może wina?

- Poproszę kieliszek. Mają dobrego czerwonego zinfandela.

Zamówił dla niej wino, dla siebie piwo. Tyle lat przekonywała go do wina, a on zawsze wybierał piwo. W jakimś stopniu podziwiała go za uparte trzymanie się tego, co mu odpowiadało. Nie starał się zrobić wrażenia na ludziach, zamawiając wyszukane trunki, tak jak ona. Kiedyś, dawno temu, też popijała piwo, ale szybko jej przeszło. Miała awersję do tego napoju nadużywanego przez ojca.

Przyglądała się Sonny'emu pograżonemu w rozmowie z kelnerką. Twarz ozłocona opalenizną, delikatne zmarszczki w kącikach niebieskich oczu, srebrzyste nitki w jasnobłond włosach. Granatowe spodnie, bladoniebieska jedwabna koszula z podwiniętymi rękawami, rozluźniony krawat... To krawat, który wybierała z Rory Sue na zeszłoroczną Gwiazdkę. Włożył go celowo czy może już nie pamiętał, od kogo go dostał? Sonny naprawdę świetnie się prezentował, o wiele lepiej niż pod koniec ich małżeństwa. Chodził wtedy jak struty, tylko że ona tego nie widziała. Za późno się spostrzegła, że czuł się nieszczęśliwy.

- Jeszcze chwilę - powiedział do kelnerki. - Zaraz coś wybierzemy. - Odwrócił się do Mary Vaughn. - Czy może się śpieszysz?

- Nie, nigdzie się nie śpieszę. - Odetchnęła lżej. Obawiała się, że Sonny będzie chciał zaraz wrócić do pracy. Uśmiechnęła się do niego. - Świetnie wyglądasz. Jesteś odprężony. Często grywasz w golfa?

- Kilka razy w tygodniu. - Przesunął po niej taksującym spojrzeniem. - A ty? Nadal się zaharowujesz?

- Raczej tak. Zwłaszcza po wyjeździe Rory Sue.

- Pojawił się ktoś w twoim życiu?

- Nie. - Pokręciła przecząco głową.

- Doszły mnie plotki o tobie i nowym dyrektorze zarządu miasta.

- Wyssane z palca - ucięła. - A ty? Masz kogoś? Sonny roześmiał się.

- Nieźle się dobraliśmy, co? Kto by pomyślał, że kiedyś będziemy wypytywać się o takie sprawy?

Przytrzymała jego spojrzenie.

- Byliśmy przyjaciółmi, od tego się zaczęło - przypomniała mu i dodała tęsknie: - Czasami właśnie tego najbardziej mi brakuje. Tych długich rozmów o wszystkim i o niczym.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem.

- To dziwne, co?

Sonny położył rękę na jej dłoni.

- Wcale nie takie dziwne. Mnie też tego brakuje, choć zarazem trudno spoglądać w przeszłość i nie pamiętać wszystkiego, co się zdarzyło.

- To prawda... - Postanowiła zmienić temat, bo słowa Sonny'ego zahaczały o niebezpieczne wspomnienia. - No to co robimy ze świętami?

- Chcesz je obchodzić? - zdumiał się.

- No tak, mogłam się tego spodziewać - zirytowała się.

- Spokojnie. Przecież to ty zawsze organizowałaś święta, a ja się dołączałam. W jaki sposób możemy uszczęśliwić naszą córeczkę? Już mogę kupić jej kabriolet, o którym tak marzy.

- Wykluczone - zaproponowała stanowczo. - Nie chodzi o to, żeby ją przekupić. Zdecydowaliśmy, że dostanie kabriolet, gdy skończy studia. Na razie wystarczy jej samochód, który ma.

Sonny nie wdał się w dyskusję, tylko powiedział, wzruszając ramionami:

- No to już nic nie wiem.

- Domyślam się, czego najbardziej by chciała - po chwili milczenia odezwała się Mary Vaughn.

- Żebyśmy znów byli razem, tak jak kiedyś.

Sonny spochmurniał.

- Do czego zmierzasz? Do powtórnego ślubu, bo to ją uszczęśliwi, choć dla nas będzie katorgą?

Zrobiło się jej przykro. Poczwała, że oblewa się rumieńcem.

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu moglibyśmy odłożyć na bok urazy i przez święta pobyć razem, zrobić coś wspólnie.

Sonny rozluźnił się.

- Na przykład?

- Na przykład pojechać razem na plantację i wybrać choinkę. Rory Sue zawsze to lubiła, pamiętasz? Mówiła, że to najfajniejsza rzecz z całych świąt.

- Myślisz, że to wystarczy? - zapytał z powątpiewaniem.

- No skąd! - zniecierpliwiła się. - Ale od tego moglibyśmy zacząć. Możemy wybrać się na zakupy do Charlestonu. W sklepach będą świąteczne dekoracje, w całym mieście świąteczna atmosfera.

- I tłumy ludzi.

- Przestań zrzedzić. Na tym polegają święta. Wracając do domu, moglibyśmy zatrzymać się w kawiarni na czekoladę i ciasteczka, tak jak wtedy, gdy Rory Sue była mała. - Popatrzyła na niego z rozrzewnieniem. - Chciałbyś, żeby znów była małą dziewczynką, która marzy o zobaczeniu Świętego Mikołaja? Czasami oglądam zdjęcia z tamtych czasów. Rory Sue była najpiękniejszą dziewczynką na świecie, prawda?

- Prawda - potwierdził Sonny. - Była i nadal jest. Uśmiechnęła się, słysząc nostalgię w jego głosie.

Zaczynał robić się coraz bardziej zgodny.

- Jeśli pojedziesz z nami do sklepów, na ciebie spadnie dźwiganie zakupów, a ja za nie zapłacę. Czy to będzie fair?

Sonny pokręcił głową.

- Masz ciekawe podejście do tego, czy coś jest fair, czy nie - powiedział z rozbawieniem. - Jeszcze jakiś pomysł?

Mary Vaughn przeniosła się myślami w przeszłość, przypominając sobie wspólnie spędzane święta.



- Pójdziemy razem na mszę, w Boże Narodzenie zjemy świąteczny obiad, a potem będziemy śpiewać kolędy pod domem seniora, tak jak kiedyś. Czy to koliduje z twoimi planami?

- Nie - odparł, choć nie wydawał się zachwycony. - Czy uwzględniłaś też udział mojego ojca?

- Oczywiście. Bez niego dla Rory Sue nie byłoby prawdziwych świąt. Jego też ucieszy takie rodzinne Boże Narodzenie, szczególnie teraz, gdy jest sam, a twoi bracia rozjechali się po kraju. Nie wydaje ci się?

- Chyba tak. - Popatrzył na nią sceptycznie.

- Naprawdę sądzisz, że takie święta uszczęśliwią Rory Sue? Wystarczy kilka dni udawania?

- Niczego nie musimy udawać. Sonny, przecież naprawdę świetnie się bawiliśmy. Tak często pokładaliśmy się ze śmiechu. Chyba możemy się postarać, żeby tych kilka dni minęło przyjemnie?

- Nie wiem - odparł stropiony. - A jeśli Rory Sue zacznie wyobrażać sobie, że jesteśmy na dobrej drodze do ponownego związku? Znasz ją, wiesz, jaka ona jest. Za każdym razem, kiedy się widzimy, uparcie wraca do tego tematu, pyta, kiedy dam ci szansę. Jeśli wmówi sobie, że właśnie tak się dzieje, zacznie mieć nadzieję.

- Uprzedzę ją, że robimy to dla niej, bo zależy nam, by miała udane święta. Może też otworzymy dom dla sąsiadów i znajomych, tak jak kiedyś?

- rozmarzyła się. - Uwielbiałam to, cały dom pachniał choinką i ciastem, migwały światełka, ludzie wpadali pogadać. Tęsknię za tym.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Więc czemu teraz tego nie robisz?

- Bez was to już nie byłoby to samo. - Nie powie mu, co najbardziej ją powstrzymywało: lęk, że nikt do niej nie przyjdzie. Po rozwodzie większość



znajomych trzymała stronę Sonny'ego. Powszechnie sądzono, że to ona go zostawiła, zaś Sonny tego nie prostował, bo pewnie chciał, by zachowała twarz. Paradoksalnie obróciło się to przeciwko niej, bo ludzie żalowali Sonny'ego. Ciekawe, jak by się zachowali, gdyby wiedzieli, że to on miał dość tego małżeństwa.

Ujrzała wbite w nią spojrzenie Sonny'ego.

- Mary Vaughn, nie jesteś szczęśliwa, prawda?

- Oczywiście, że jestem. - Nie chciała roztkliwiać się nad swoim przygnębiająco samotnym życiem. Uśmiechnęła się promiennie. - Umieram z głodu. Zamówmy już coś. Wezmę kotlet schabowy. A ty?

- To samo - odparł z dziwnym roztargnieniem. Przywołał kelnerkę i złożył zamówienie. - Dla mnie jeszcze jedno piwo. - Spojrzał na w połowie opróżniony kieliszek wina Mary Vaughn. - Jeszcze jedną lampkę?

- Też poproszę piwo - oznajmiła.

Sonny wlepił w nią niedowierzające spojrzenie.

- Zamówiłaś piwo?

Kiwnęła głową, pochyliła się ku niemu.

- Wyznać ci tajemnicę?

- Jasne - odparł zaintrygowany.

- Nigdy nie lubiłam wina.

Popatrzył na nią zdumiony.

- To czemu zawsze przykładałaś taką wagę do picia wina?

- Myślałam, że powinnam. Sądziłam, że będę wydawała się bardziej światowa i wyrafinowana.

- Złotko, nie znam bardziej wyrafinowanej kobiety niż ty. I picie wina nie ma tu nic do rzeczy.

- Zadumał się na moment. - To z powodu twojego ojca, prawda? Pił piwo, a ty zawsze chciałaś być inna niż on.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Och, Sonny - wyszeptała przez zaciśnięte gardło. - Jak ty mnie znasz.

Podniosła się i pośpiesznie poszła do łazienki, by nikt nie zdążył zobaczyć jej łez.

Minęło dobrych kilka minut, nim się pozbierała. Sonny czekał na nią pod drzwiami.

- Za minutę miałem wejść do środka. Jak się czujesz? Nie chciałem cię zdenerwować.

- To nie twoje słowa tak na mnie podziałały - wyznała szczerze - ale uświadomienie sobie, jak dobrze mnie znasz. - Popatrzyła mu w oczy. - Brakuje mi tego, Sonny. Naprawdę.

Na mgnienie znieruchomiał.

- Nie powinnaś mówić mi takich rzeczy - powiedział ostrzegawczo. - Mieszasz mi w głowie.

- To coś złego? - zapytała, za późno gryząc się w język.

Uścisnął jej rękę.

- Sama znasz odpowiedź - rzucił lekko, lecz kiedy zajrzała mu w oczy, dostrzegła w nich żal.

Przepełnił ją smutek. Nie doceniła Sonny'ego, igrała z jego uczuciami. Chciałaby to teraz naprawić, wiele by za to dała. Zapewne ich małżeństwo jest sprawą na zawsze zamkniętą, ale może choć uda się ocalić przyjaźń?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mijały kolejne dni, a Jeanette wciąż chodziła podminowana. Irytowały ją i przyjaciółki, i klientki. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jestem taka spięta i zdenerwowana - wyznała, gdy Helen, Maddie i Dana Sue przycisnęły ją do muru.

- Kiedy ostatni raz widziałas się z Tomem? - z niewinną miną zapytała Dana Sue.

- Tydzień temu, na zebraniu komitetu. Mieliśmy iść razem na lunch, ale odwołał to przez swoją sekretarkę.

- Od tamtej pory nie widziałas go ani z nim nie rozmawiałaś? - dociekała Dana Sue.

- Zgadza się...

- Czyli wszystko jasne - podsumowała Maddie.

- To przez niego jesteś w takim stanie.

- Wcale nie! - zaprzeczyła gwałtownie.

Jednak przyjaciółki wiedziały swoje i zapewniały, że Tom doskonale się dla niej nadaje. Zbywały wszystkie jej obiekcje.

- Zadzwoń do niego - namawiała Helen. - Umów się z nim.

- Nie ma mowy - zarzekała się Jeanette.

- No dobrze, jeśli nie chodzi o Toma, to co cię tak dręczy? - dopytywała się Dana Sue.

- Ten nowy dom - wyznała po chwili wahania.

- Te wszystkie papiery, kredyty... Mam poczucie, że wpakowałam się w coś, co mnie przerasta. Nie wiem, jak to się potoczy.

- To tak jak z małżeństwem - podsumowała Maddie. - W życiu nic nie jest oczywiste i pewne, na nic nie masz gwarancji. Tak samo dotyczy to

związków, jak i domów. Jedyne, co możesz zrobić, to zbierać informacje i na ich podstawie podejmować odpowiedzialne decyzje.

- No właśnie - z emfazą powiedziała Jeanette.

- A ja postąpiłam dokładnie odwrotnie. Kupiłam dom, bo spodobał mi się ogród. Zdecydowałam się pod wpływem impulsu, choć nigdy tak nie postępuję.

- Jeanette, nie popełniłaś żadnego błędu. Wszystkie doskonale znamy ten dom, i to od wielu lat. Skoro nie wierzysz swojej intuicji, zaufaj naszej. Ten dom jest wymarzony dla ciebie.

- Boicie się, żebym nie wyjechała i nie zostawiła klubu, dlatego tak mówicie - zareplikowała. - Nie wiem, czy powinnam wam wierzyć - dodała, ale szybko się zreflektowała. - Przepraszam. Same widzicie, że gadam od rzeczy. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przecież jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami, naprawdę Bogu dziękuję, że was mam.

- No dobrze - uciszyła ją Helen. - Wróćmy do tematu. Zadzwoń do Toma, spotkaj się z nim, idź z nim do łóżka. Im szybciej, tym lepiej. To ci poprawi nastrój, od razu zrobisz się promienna.

Jeanette roześmiała się.

- Seks jako terapia? Uważaj, żeby to się nie rozniosło, bo nasze spa padnie, jeśli okaże się, że nie potrzeba zabiegów i kremów, by mieć młodzieńczy wygląd.

- No dobrze, z komercyjnych powodów zachowajmy przepis na cudowną kurację tylko dla siebie, ale proszę, koniecznie zrób, co ci powiedziałam. Ta rozmowa dziwnie mnie natchnęła, więc pędzę do męża.

- Ja też - powiedziała Dana Sue. - Ronnie powinien być w sklepie, a element ryzyka zawsze mnie bierze.

- My z Calem musimy się umawiać - oznajmiła Maddie. - Za dużo dzieci w domu. Co i rusz wymykamy się do „Serenity Inn”.

- Ciekawe, co Erik by na to powiedział - zastanowiła się Helen. - Hm, a gdyby tak spotkać się w przerwie między lunchem a kolacją?

Dana Sue z rozbawieniem skinęła głową.

- Czyli jutrzejsze popołudnie nieźle się zapowiada.

- Chyba musimy ustalić grafik - rzekła Maddie, puszczając oko - żeby nie wpadać na siebie na parkingu.

- Tylko nie próbujcie naprowadzić Toma na takie pomysły, bo swoich ma aż nadto - powiedziała Jeanette. - Albo miał - dodała smętnie.

- Zadzwoń do niego - powtórzyła Helen.

Jeanette skinęła głową, choć wiedziała, że nie zdobędzie się na taką odwagę. Zresztą jutro jada po choinkę, więc go zobaczy. Może bez wystawiania się na ryzyko zorientuje się, co się z nim tak naprawdę dzieje.

Postanowił wypróbować metodę Ronniego i przez tydzień nie odzywał się do Jeanette. Zachodził w głowę, czy w ogóle to zauważyła, bo dla niego to były naprawdę trudne dni.

Na miejsce zbiórki przybył pierwszy, zaraz po nim na parking pod ratuszem podjechał Howard. Jego minivan lśnił nowością, a ze środka niosły się głośne dźwięki bożonarodzeniowej piosenki. Tom aż się wzdrygnął na myśl, że taka muzyka będzie im towarzyszyła przez kilka godzin.

- Wsiadaj! - wesoło zawołał Howard. - Możesz siedzieć obok mnie, będziesz pilnować muzyki. Zabrałem sporo płyt, wystarczy na całą drogę. W termosach jest gorąca czekolada, częstuj się.

- Dzięki, ale nie przepadam za czekoladą. - Tom wyciągnął rękę z kubkiem z baru Whartonów. - Już mam kawę.

Howard zrobił zawiedzioną minę, lecz powstrzymał się od komentarza. Zaraz jednak rozpogodził się, widząc podjeżdżającą Mary Vaughn.

- No to jeszcze tylko Ronnie i Jeanette i będziemy w komplecie. Nie mogę się doczekać, kiedy ruszymy.

Tom dostrzegł zbliżającą się Jeanette. Szła z ociąganiem, powłócząc nogami. Dzisiejsza eskapada najwyraźniej nie była jej w smak. Ronnie dołączył do niej i powiedział coś, co ją rozbawiło, a Toma nieoczekiwanie zalała fala zazdrości. Przez mgnienie zastanawiał się, czy ta dobra rada, by trzymać Jeanette na dystans, była szczerą. Szybko odepchnął od siebie te podejrzenia, przecież Ronnie świata nie widział poza swoją żoną.

Zaproponował Mary Vaughn, by usiadła obok Howarda, Ronniemu wskazał miejsce z tyłu, a sam zrećźnie usadowił się obok Jeanette. Wytrzymał jej spojrzenie.

Począł, aż ruszyli i muzyka zabrzmiała głośniej. Wtedy odwrócił się do Jeanette.

- Jak leci?

- Dziękuję. A tobie?

- Dobrze. To był wariacki tydzień.

- Dla mnie też.

Powściągnął westchnienie. Nie zapowiada się najlepiej. Pewnie nawet nie zauważyła jego nieobecności, wydaje się jeszcze bardziej zdystansowana. Chyba daruje sobie dobre rady Ronniego.

Pochylił się ku niej.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, zniżając głos. Jeanette zarumieniła się, ale nadal wzrok miała wbity przed siebie. Jednak Tom nie dawał za wygraną i spytał: - A ty tęskniłaś się za mną?

Odwróciła się ku niemu.

- Nie za bardzo - odparła, lecz czerwone plamy na policzkach zadawały kłam jej słowom.

Usłyszał stłumiony chichot.

- Mówiłeś coś? - Odwrócił się i spiorunował Ronniego wzrokiem.

- Ależ skąd - odparł z niewinną miną. - Pomyślałem tylko, że czas szybciej minie, jeśli pośpiewamy kolędy.

Jeanette szarpnęła się w tył.

- Zwariowałeś? - rzuciła półgłosem.

- Doskonały pomysł! - podchwycił Howard. - Tylko z duszą!

Zaczął śpiewać, po chwili dołączyła się Mary Vaughn i Ronnie. Tom i Jeanette wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Hej, wy dwoje! - Howard popatrzył w tylne lustro. - Głośniej! Trochę praktyki się przyda. Mary Vaughn chce powrócić do tradycji kołędowania pod domem seniora, może też się do nas przyłączyć.

- Prędzej mi kaktus wyrośnie - mruknął Tom.

- Jasne, że tak! - z entuzjazmem zawołał Ronnie. - Nie zapomnijcie, że jesteście zaproszeni na świąteczną kolację w „Sullivan's”. Howardzie, w tym roku też będziesz Świętym Mikołajem?

- Oczywiście, jakżeby inaczej!

Jeanette oparła się w fotelu zrezygnowana. Tom ujął ją za rękę. Chciał poczuć dotyk jej skóry, zaś ten niewinny gest Jeanette mogła odebrać jako wyraz solidarności. Odetchnął lżej, gdy nie cofnęła ręki. Westchnęła cichutko i popatrzyła na niego. W jej oczach było tyle skrywanej tęsknoty, że serce mu zamarło.

Może jednak ten idiotyczny sposób Ronniego był naprawdę skuteczny? Jeśli dzięki temu Jeanette choć przez chwilę, choćby przez

minutę, zateęskniała za nim albo zastanawiała się, czy już się nią nie interesuje, to warto było przez tydzień się pomóc.

Wzdragąa się przed tą wyprawą na plantację choinek, lecz już po kilku minutach przechadzania się wśród zielonych drzewek poczuła się lekka i beztroska. Powietrze przesycone mocnym sosnowym aromatem przywołało wspomnienia sprzed lat, kiedy Boże Narodzenie kojarzyło się z pięknie udekorowaną, migoczącą kolorowymi światełkami choinką, zapachem świątecznych ciast, słodyczami i radością.

Było rzeško, stopy zapadały się w miękkim dywanie świerkowych igieł, pachniało zimą i świętami.

- Nie zmarzłaś? - zapytał idący za nią Tom i objął ją w talii.

Na mgnienie przywarła do niego, lecz zaraz się cofnęła.

- Nie, jest cudownie. Ale zapach, co?

- To zapach środka czyszczącego używanego w ratuszu.

- No co ty! Tak pachnie dom w Boże Narodzenie.

- Zawsze mieliśmy sztuczne choinki. Musiały wytrwać przez kilka tygodni. Z żywymi drzewkami byłoby zbyt. dużo zachodu, poza tym są łatwopalne.

Jeanette popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nigdy nie mieliście prawdziwej choinki?

- Nie przypominam sobie. Dekoratorzy zawsze przekonywali, że sztuczne są bardziej praktyczne.

- Dekoratorzy? Nie ubierałeś choinki?

- Choinek - uściślił. - Zwykle było ich z sześć, w każdym pokoju na parterze, no i zielone girlandy, oczywiście też sztuczne. Przygotowanie domu do świąt trwało kilka tygodni, dekoratorzy mieli mnóstwo roboty. Dom zmieniał się nie do poznania.



- A ozdoby choinkowe? Robiliśmy je z popcornu. A ty?

- Jakieś zrobiłem, w szkole, ale nigdy ich nie powiesili. Drzewka wyglądały jak ze szpanerskiego magazynu. Mamie zależało, żeby co rok był jakiś temat przewodni. Ja i siostry nie mogliśmy niczego tknąć. Za zbite bombki musieliśmy płacić z kieszonkowego.

- To straszne. - Nietrudno było się domyślić, że Clarisse McDonald jest nieuleczalną snobką. - Mielście jakieś rodzinne zwyczaje?

- Raczej nie, jedynie szliśmy do kościoła. No i chodziliśmy na przyjęcia, które zaczynały się pod koniec listopada, tuż po Święcie Dziękczynienia. Rodzice zabierali nas, gdy podrośliśmy na tyle, że nie przynosiliśmy im wstydu.

- Ale przecież Boże Narodzenie powinno być magiczne, szczególnie dla dzieci - zaproponowała, zdjęta współczuciem dla Toma. Zaczynała rozumieć jego niechęć do świąt. Ona przeżyła tragedię, dlatego święta kojarzyły się jej źle, natomiast Tom nawet nie miał pojęcia, ile stracił. Sama nie wiedziała, co gorsze. - Teraz już wiem, skąd się bierze twój stosunek do Bożego Narodzenia.

- A twój? Święta zawsze były dla ciebie radosne?

Zawahała się. Ogarnęła ją nostalgia.

- Były radosne, kiedy byłam mała.

- Dlaczego to się zmieniło? - podchwycił.

- Wiesz... - Zamilkła gwałtownie. Nie chciała psuć sobie dobrego nastroju ponurymi wspomnieniami.

- Jeanette, co się wydarzyło? - naciskał. Westchnęła i zaczęła cicho:

- Miałam starszego brata, Benjamina. Był super. - Zamknęła oczy, przywołując obraz wysokiego chłopaka w sportowym stroju, otoczonego roześmianymi dziewczynami. Panny uganiały się za nim. - Zdobył

stypendium sportowe na Uniwersytecie Stanowym w południowej Karolinie. Moi rodzice puchli z dumy. Sami nie mieli szans na naukę. Mój tata jest farmerem, tak jak jego ojciec i dziadek. Marzył, by Ben osiągnął w życiu więcej.

Tom w milczeniu skinął głową. Słuchał Jeanette z niezwykłą wprost uwagą.

Łzy potoczyły się po jej policzkach.

- To stało się w Wigilię. Miałam wtedy piętnaście lat, Ben właśnie skończył osiemnaście. Pojechaliśmy do kościoła, Ben swoim samochodem. Po drodze na pasterkę wstąpił po koleżankę. Po mszy miał ją odwieźć i wrócić do domu... - Głos jej się łamał, mówiła z coraz większym trudem. Wspomnienia tamtej nocy wciąż były zbyt trudne do udźwignięcia.

Tom pogładził ją po policzku, oczy miał pełne współczucia.

- Co się stało?

- Nie dojechał do domu. - Urwała, by nabrać powietrza. - Odwiózł koleżankę i zaczął wracać. Była gołoledź... Policja mówiła, że prawdopodobnie jechał zbyt szybko. Stracił panowanie nad samochodem i uderzył w drzewo. Powiedzieli, że zginął natychmiast.

- O mój Boże, Jeanette, tak ci współczuję. - Ocierał łzy z jej policzków. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak strasznie to przeżyliście.

- Od tamtej pory już nigdy nie obchodziliśmy świąt. - Znów wezbrał w niej żal. - Kiedy w następne Boże Narodzenie wyjęłam ozdoby choinkowe, moja mama się załamała. Tata zaniósł je na strych. Więcej ich nie wyciągałam.

- Nic dziwnego, że nienawidzisz świąt. Łączą się z nimi koszmarne wspomnienia.

- To nie jest tak, że nienawidzę świąt, bo ogarnia mnie wtedy smutek. W każdym razie nie chodzi tylko o to. Najbardziej mnie boli, że po śmierci Bena moi rodzice całkowicie się zmienili. Zawsze byli otwarci

I ciepli. Ojciec wiązał z Benem wielkie nadzieje, ale ja byłam jego ukochaną córeczką. Po śmierci brata przestali mnie zauważać, jakbym nie istniała. Równie dobrze mogłam umrzeć z Benem, bo już nic dla nich nie znaczyłam. - Popatrzyła Tomowi prosto w oczy. - Nie masz pojęcia, jak strasznie człowiek czuje się opuszczony i samotny, gdy ci, którym powinno na tobie zależeć, zupełnie przestają się tobą interesować.

- Moi rodzice zawsze za bardzo się mną interesowali. Czuję się tym przytłoczony, tłamsili mnie. Staralem się spełnić ich oczekiwania, ale im zawsze było mało. Dobrze się uczyłem, ze świetnym wynikiem skończyłem szkołę średnią, potem musiałem iść na studia wybrane przez ojca, spotykać się z dziewczynami wybranymi przez matkę. Ulegałem im, póki nie skończyłem uniwersytetu. Wreszcie zacząłem sam o sobie decydować... i wtedy dopiero się zaczęło, bo oni wcale nie odpuścili i wciąż próbują ingerować w moje sprawy. - Pokręcił głową, zamyślił się. - Nie wiem, jak to jest, gdy bliscy cię ignorują, ale na pewno było to bardzo bolesne.

- Nadal jest.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Nie pogodziliście się? Ile to lat minęło?

- Prawie dwadzieścia, ale nic się nie zmieniło. Kilka tygodni temu zadzwoniłam do domu i mama ledwie poznała mnie po głosie. Gdy chciałam porozmawiać z ojcem, wykręciła się, że jest na dworze. Nawet nie zaproponowała, że zadzwoni później. Nie wiem, czy w ogóle mu powiedziała o moim telefonie. Tak jest za każdym razem, ale ja wciąż

próbuję. Wciąż mam nadzieję, że kiedyś się ockną i przypomną sobie, że mają jeszcze jedno dziecko, które nadal żyje i nadal ich potrzebuje.

Zadrzała. Tom okrył ją marynarką. Nie wyjaśniała, że to nie pomoże na chłód, który mrozi ją w środku. Wtuliła się w ciepłą tkaninę, wdychając lekki cytrusowy zapach wody po goleniu. To za mało, by odgonić wspomnienia, ale trochę pomaga.

Najchętniej by dopadł tych jej rodziców i przemówił im do rozumu. Jak mogą w taki sposób traktować swoje dziecko? Cierpią, lecz nie powinni zamykać oczu i skazywać córki na niebyt.

Sam miał trudny kontakt z rodzicami, lecz nawet gdy skakali sobie do oczu, wiedział, że go kochają i nie wyobrażał sobie, że mógłby wymazać ich ze swego życia. Jak jej rodzice mogli się do tego posunąć? To mu nie mieściło się w głowie. Tym bardziej musi jej pokazać, że jest ktoś, komu na niej zależy, kto ją docenia.

Teraz wiele rzeczy widział w innym świetle. Już rozumiał, dlaczego Jeanette tak gwałtownie reagowała na sugestię, że może być dla niego coś ważniejszego niż ona. Niestety kompletnie nie miał pomysłu, jak mógłby zmienić ten obraz. Kiedyś stąd przecież wyjedzie. Serenity jest tylko kolejnym etapem w jego karierze. Ma swój plan na życie i tego się trzyma, a w tym planie nie było miejsca na miłość. Owszem, zakładał, że za kilka lat, gdy już zacznie pracować w wielkim mieście i będzie miał więcej czasu dla siebie, znajdzie odpowiednią kobietę, ożeni się, będzie mieć swoją rodzinę.

Jeanette pojawiła się nieoczekiwanie, zauroczyła go i całkowicie zmieniła jego nastawienie. Chciał ją chronić, wrywał się do niej, wariował na jej punkcie. I co teraz miał począć?

Popatrzył na nią. Stała przy imponującej choince, wpatrzona w nią z zachwytem, jakby nigdy nie widziała piękniejszej. Hm, w pewnym sensie

tak było. To jej pierwsza choinka po tamtych strasznych świętach, kiedy jej świat umarł wraz ze śmiercią brata.

Stanął obok niej, ujął ją za rękę.

- Jest okropnie wysoka - skrzywił się.

- Nie, jest fantastyczna. Howard ma rację. Tę powinniśmy kupić. W życiu nie widziałam takiego drzewka. Wyobraź ją sobie obwieszoną bombkami, z migoczącymi światełkami. Będzie niesamowita.

- Pewnie kosztuje majątek - wybrzdzał.

- No to znajdź fundusze, dyrektorze - odparła kwaśno, wyraźnie parodiując Howarda. - Tom, musimy mieć tę choinkę!

Popatrzył jej w oczy.

- To tyle dla ciebie znaczy? Przesunęła dłonią po gęstych gałązkach.

- Tak.

- No to znajdę fundusze, ale jak ktoś zacznie narzekać na dziurawe drogi, odeślę go do ciebie i Howarda.

W tej samej chwili przyszedł Howard, za nim Ronnie i Mary Vaughn. Howard miał ponurą minę.

- Ten człowiek chce za nią fortunę. Chyba musimy poszukać czegoś mniejszego. Przekonywałem go, ale się uparł.

- Bierzemy ją - zdecydował Tom.

- Przecież sam wyznaczyłeś limit - rzekł Howard.

- Znajdę jakieś rezerwy. Zgadzacie się, że chcemy właśnie tę choinkę? - zapytał zebranych. Jeśli w ten sposób przywróci blask oczom Jeanette, to w razie czego dołoży część kwoty z własnej kieszeni, a nawet sam ją ubierze w te wszystkie błyskotki.

Jeanette objęła go i gorąco pocałowała w policzek. Tom uśmiechnął się. Jest lepiej, niż przypuszczał.

- To idę ją zamówić - z rozpromienioną miną rzekł Howard. - Wiedziałem, że wcale nie jesteś takim sztywniakiem, za jakiego chcesz uchodzić.

- Jestem. Choinka pewnie jest krzywa. Ciekawe, czy ktoś to sprawdził.

- Już za późno, stary! - ze śmiechem stwierdził Ronnie. - Dziś jesteś naszym idolem, czy tego chcesz, czy nie.

- Moim na pewno - szczerze zapewniła Jeanette. No nie! Kradł jej buziaki, by ją sobą zainteresować, a wystarczyło kupić piękną choinkę, i proszę...

RS

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Po dwóch miesiącach pobytu w Serenity Tom wypracował sobie w miarę ustalony tryb życia. Przed pracą wpadał do Whartonów, by wypić kawę i wysłuchać najświeższych plotek, lunch jadł w swoim gabinecie, a po południu biegał, by zażyć trochę ruchu. Siłownia Dextera rzeczywiście okazała się beznadziejna, więc korzystał z niej nie częściej niż raz czy dwa w tygodniu.

Praca coraz bardziej go wciągała. Lubił wyzwania, a wraz z boomem budowlanym piętrzyły się kolejne problemy. Mógł liczyć wyłącznie na siebie, bo pracownikom urzędu brakowało doświadczenia na tym polu. Przewidywał daleko idące konsekwencje tego gwałtownego rozwoju, zdawał sobie sprawę, że odbije się on na każdej dziedzinie życia.

Próbował ożywić lokalny handel i usługi, zachęcić przedsiębiorców do działania. Liczył, że roczne zwolnienie z opłat zachęci ich do otwierania sklepów i lokali usługowych. Miał spore osiągnięcia, bo już znaleźli się chętni.

Zarządził całościowy przegląd i inwentaryzację infrastruktury miejskiej, czego przez ostatnie lata zupełnie zaniechano. Przyjrzał się zaopatrzeniu w wodę i systemowi kanalizacji, wynegocjował od deweloperów współfinansowanie niezbędnych modernizacji.

Znalazł fundusze na Małą Ligę i podjął się funkcji trenera drugiej drużyny.

Jego obsesją był harmonijny rozwój miejskich społeczności i marzył o tym, by za kilka lat, gdy nabierze dostatecznie dużo doświadczenia, wprowadzić swoją ideę w wielkiej aglomeracji. Był zwolennikiem kształtowania przyjaznej przestrzeni miejskiej, dostosowanej do ludzkich



pragnień i potrzeb wszelkiego rodzaju, nie tylko ekonomicznych. Studiował książki i dokonania wielkich urbanistów, sięgał po pisma najwybitniejszych socjologów i filozofów zajmujących się tym tematem. Opublikował kilka artykułów w pismach fachowych, zachęcano go do doktoratu. Zamierzał tak zrobić i od lat gromadził materiały. Miał temperament praktyka, ale z teorią również świetnie sobie radził. Otrzymał już sygnały z kilku uczelni, że gdy tylko obroni doktorat, chętnie będą go zapraszać na wykłady, mógł też liczyć na profesurę, gdyby zdecydował się na karierę akademicką. Tak więc rysowała się przed nim świetlana przyszłość w wielkim świecie.

Natomiast tu, w Serenity, w niedługim czasie udało mu się zdziałać naprawdę wiele, choć zrobił to kosztem swoich osobistych spraw. Dotąd nie znalazł domu, nie miał też kiedy czarować Jeanette. Denerwował się tym, a wieczorne bieganie pomagało mu rozładować stres. Miał już ustaloną trasę - najpierw ulicami, potem przez park i wokół stawu. Znał już z widzenia panie, które spotykały się w parkowej altance na pogaduszki, i zawsze się im kłaniał. Wiedział, że wraz z zapadnięciem zmroku ostatni spacerowicze znikną i park opustoszeje.

Robił ostatnie okrążenie, gdy zadzwoniła komórka. Chętnie by nie odebrał, lecz poczucie odpowiedzialności zwyciężyło. Policja i straż znały jego numer, by w razie nagłych wypadków mieć z nim kontakt. Zerknął na wyświetlacz. Matka. To już piąty telefon dzisiaj. Wcześniejszych nie odbierał, teraz jednak się poddał.

- Cześć, mamó - powiedział.

- Co się z tobą dzieje? Czemu jesteś taki zdyszany? - zapytała z irytacją.

- Jestem w trakcie przebieżki. Co się stało?

- Znalazłeś już dom?



- Nie miałem czasu.

- Właśnie dlatego chciałam ci pomóc, ale usłyszałam, żebyś się odczepiła.

- Mary Vaughn z pewnością tego tak nie ujęła.

- Oczywiście, że nie. To urocza kobieta. I chyba do wzięcia. Próbowałeś się z nią umówić? - Clarisse McDonald jak zwykle nie bawiła się w subtelności.

- Mamo! - ofuknął ją.

- Chyba nie zamierzasz umawiać się z tą panną, Jeanette Jakjejtam.

- Wystarczy - uciął stanowczo. - Zadzwoń do ciebie później.

Już miał się rozłączyć, ale matka wciąż coś mówiła, więc ponownie przysunął słuchawkę do ucha.

- No już dobrze, nie chciałam cię zdenerwować. Przecież wiem, że jesteś jak dziecko, specjalnie zrobisz mi na złość.

- Czy to miały być przeprosiny? Westchnęła teatralnie, a potem rzuciła obojętnie:

- Przepraszam. Ale nie po to dzwoniłam.

- A po co?

- Mam już gotowe zasłony do twojego gabinetu i chciałam je jutro podrzucić. Pomyślałam, że przy okazji moglibyśmy obejrzeć kilka domów.

Teraz Tom westchnął.

- Przywieź zasłony, jeśli chcesz, ale na szukanie domu nie będę miał czasu.

- Ale chyba znajdziesz chwilę, byśmy poszli razem na lunch.

Wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał stawić jej czoło. Była nieugięta i zawsze musiała dopiąć swego. Starła się być dobrą matką, choć niekoniecznie jej to wychodziło.

- Możemy wybrać się na lunch, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim? - zapytała podejrzliwie.
- Zaproszę też Jeanette, a ty będziesz dla niej miła.
- Wykluczone!
- Jak sobie życzysz. W takim razie nie ma żadnej umowy.
- Thomasie, nie próbuj szantażem zmuszać mnie do spędzenia czasu z osobą, której nie chcę widzieć.
- Prawie jej nie znasz.
- I niech tak zostanie.

Wiedział, że przemawiają przez nią próżność i duma, może też czuje się niezręcznie z powodu afery, którą wywołała. W każdym razie chciał w to wierzyć.

- Nie ma dla ciebie znaczenia, że ona jest dla mnie kimś ważnym? - zapytał cicho.

Matka głośno wypuściła powietrze.

- Jak ważnym?
- Sam jeszcze nie wiem, ale mogę powiedzieć, że bardzo. I równie mocno zależy mi, byś dała jej szansę. Mamo, wiele razy musiałaś być miła dla kogoś, za kim nie przepadałaś. Robisz to stale dla innych, więc teraz zrób dla mnie.

- Stawiasz mnie pod ścianą... Wpół do dwunastej będę u ciebie w ratuszu, przywiozę zasłony. Zamów stolik na dwunastą. I przykaż swojej przyjaciółce, żeby się nie spóźniła.

- Tak jest! - Uśmiechnął się w duchu. Ten władczy ton świadczył, że matka próbuje zachować choć odrobinę kontroli nad sytuacją.

Rozłączył się, zadowolony z tego, co uzyskał. Tylko że jak na razie miał zgodę tylko jednej strony, a wiedział doskonale, że z piekielnie upartą Jeanette nie pójdzie mu łatwo. Oj, nie.

- Czyś ty oszalał? - Jeanette wlepiła w niego niedowierzające spojrzenie. - Nie mam najmniejszego zamiaru iść z twoją matką na lunch. Nawet za milion dolarów!

- Nie zrobisz tego dla mnie w ramach podziękowania za piękną choinkę?

- Nie - powiedziała stanowczo.

Gdyby miała choć cień podejrzenia, że z taką intencją przyszedł do niej z pizzą i butelką wyszukanego wina, wykopałaby go od progu, lecz teraz, gdy apetyczny zapach podrażnił jej zmysły, było na to za późno. Co jeszcze nie znaczyło, że przystanie na ten idiotyczny plan.

- Twoja matka chluśnie na mnie wodą z kieliszka, gdy tylko mnie zobaczy.

- Obiecała, że tego nie zrobi.

- Wręczyłeś jej listę rzeczy, których ma się wystrzegać?

- Zaapelowałem do niej. Przypomniałem, że potrafi się zachować w najbardziej niezręcznych sytuacjach, a ja niczego więcej od niej nie oczekuję.

- Ale mi poprawiłeś humor - rzekła kwaśno, sięgając po kawałek pizzy. Z grzybami i z czarnymi oliwkami, taką najbardziej lubiła. Skorzysta i zje chociaż jeden kawałek.

- Skosztuj wina - powiedział Tom, nalewając kieliszek po brzegi.

- Nie licz, że jak mnie spijesz, to się zgodzę - mruknęła, upijając łyk. Wino smakowało wybornie. Na pewno nie kupił go w Serenity, chyba że jakimś cudem wyciągnął je z piwniczki „Sullivan's”.

- Jeanette, świetnie rozumiem, co myślisz o mojej matce, ale w gruncie rzeczy ona jest całkiem miła. Obiecała, że zachowa się jak należy. Nie jest bez wad, ale to moja matka. Bardzo mi na tobie zależy i chciałbym, żebyście jakoś się dogadały. Postaraj się, będę ci bardzo wdzięczny.

Popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

- Jak bardzo?

- Bardzo.

- Tak bardzo, że pomożesz mi w przeprowadzce? Uśmiechnął się.

- I tak miałem to zrobić.

- Naprawdę? Super. Będziesz tak wdzięczny, że pomożesz mi przy malowaniu?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dam się do tego namówić.

- Naprawisz wszystkie ciekące krany?

Zawahał się.

- Mogę spróbować, ale lepiej poprosić fachowca.

- Oczy mu rozblęły. - Wiesz co? Kranów nie naprawię, ale zatrudnię hydraulika, który to robi w moim imieniu.

- Elektryka też? Trzeba będzie zainstalować wiatraki pod sufitem.

- Załatwione.

- Nowy dach? - Gdy zaniemówił, wybuchnęła śmiechem. - Żartowałam. Dach jest w doskonałym stanie. Chciałam tylko przekonać się, na ile jesteś gotowy.

- Na wiele, uwierz mi. - Popatrzył jej w oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że moja matka potrafi dopiec, ale moje siostry przeszły dokładnie to samo, choć trudno było o coś się przyczepić do ich narzeczonych, obecnie mężów. Zamożni, z dobrych domów, wykształceni,

ustawieni życiowo. A i tak matka szukała dziury w całym. Po prostu taka jest.

- Problem w tym, że my nie zamierzamy iść do ołtarza.

- Mów za siebie.

Dziwne, ale wcale nie ogarnęła jej panika. To ją zaskoczyło. Popatrzyła Tomowi w oczy i nagle przepełniły ją zdumiewające uczucia.

- Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam. Ten lunch to zły pomysł.

- Mylisz się - odparł z przekonaniem. - Zawojujesz ją.

Jeanette przemilczała komentarz, który się jej cisnął na usta. Będzie bardzo dobrze, jeśli wytrzyma i nie udusi tej wrednej baby.

Mary Vaughn zjechała na pobocze autostrady. Do Serenity było niemal dwadzieścia kilometrów, a ten beznadziejny samochód, który miał być taki niezawodny, odmówił jazdy. Na złość Sonny'emu kupiła go u konkurencji. Jej diler jest dobrą godzinę jazdy stąd. Musi ściągnąć samochód do jego warsztatu, bo w Serenity nawet go nie dotkną. No i jeszcze musi jakoś dotrzeć do domu.

Zagryzła usta i zadzwoniła do Sonny'ego. Zaraz jej walnie kazanie, ale co tam.

- Utknęłam na autostradzie. Nie chcę pouczeń. Potrzebuję pomocy.

- Złapałaś gumę?

- Nie, silnik padł. Szczęście, że nie było ruchu i nikt na mnie nie najechał, gdy zjeżdżałam na bok.

- Zostań w samochodzie i spokojnie czekaj. Gdzie jesteś? Zaraz sprowadzę pomoc, nie denerwuj się.

Teraz doceniła ten jego spokój i racjonalne podejście, które zawsze tak ją irytowały. Odetchnęła lżej.

- Dzięki, Sonny.

- Nie ma sprawy, skarbie. Nie ruszaj się stamtąd.

Dwadzieścia minut później zjawiała się laweta, a za nią samochód Sonny'ego.

- Domyśliłem się, że zechcesz odesłać swoje auto do diler, więc nie miałabyś jak wrócić do domu.

Patrzyła nieufnie, jak wysiada i otwiera dla niej drzwi. Niewielu panów zdobywało się na takie szarmanckie gesty.

- A ty będziesz miał okazję do satysfakcji - mruknęła, wsiadając. Wyściełany skórą fotel był o niebo wygodniejszy niż ten w jej samochodzie.

- Nie miałem takiego zamiaru, ale jeśli chcesz... - rzekł z uśmiechem.

- Błagam, nie.

Zamienił kilka słów z kierowcą lawety i usiadł za kierownicą.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Denerwuję się. Nie mam pojęcia, jak długo będą go naprawiać.

- Dam ci samochód zastępczy, nie ma sprawy.

- Czemu jesteś taki łaskawy? - Popatrzyła na niego czujnie.

Sonny spochmurniał.

- A czemu nie miałbym być?

- No wiesz, po tym, co między nami zaszło... Umówiliśmy się wprawdzie, że zrobimy Rory Sue wspaniałe święta, ale to znacznie więcej.

- Skoro nie oczekiwałaś po mnie niczego poza niechęcią, to dlaczego zadzwoniłaś właśnie do mnie?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

- Bo wiedziałam, że na ciebie mogę liczyć.

- Jasne. Stary poczciwy Sonny zawsze pośpieszy z pomocą.

W jego głosie zabrzmiała gorzka nuta, a przecież nie chciała go urazić. To miał być komplement. Położyła rękę na jego dłoni zaciśniętej na kierownicy.

- Przepraszam.

- Za co?

- Trudno to wyrazić... Po prostu za wszystko, co przeszedłeś z mojej winy.

- Daj spokój - rzucił ostro, strzepując jej rękę. - Nie przepraszaj, jeśli nie wiesz za co.

Wyprostowała się i wbiła wzrok przed siebie. Znów go niechcący zraniła. Zerknęła na niego co i rusz. Miał ściągniętą twarz, zaciśnięte zęby.

- Naprawdę strasznie mi przykro - wyszeptała.

Najpierw zmełł pod nosem przekleństwo, potem spojrzął na nią.

- Nie pognebiaj się. Ja już pogodziłem się z tym, co było, zamknąłem za sobą przeszłość i jestem zadowolony z życia. Tak przynajmniej myślałem. I nagle okazuje się, że nadal możesz mnie zranić. To mnie dobija. I fatalnie o mnie świadczy.

- Raczej o mnie - odpowiedziała cicho. - Przez całe życie miałam w tobie oparcie, a mimo to nadal cię ranię. Jestem bezmyślną egoistką. - Nie zaprzeczył, jak zwykle to czynił. Wypowiedziane słowa ciążyły w powietrzu. Było jej przykro, lecz cóż, taka była prawda. - Myślisz, że będąc w takim wieku, jeszcze można się zmienić, pozbyć złych nawyków?

- Tak - odparł bez namysłu. - W każdym razie pragnę w to wierzyć.

- Ja też.

Wjechał na plac i zaparkował. Uśmiechnął się z przymusem. Był w swoim miejscu pracy, więc przybrał codzienną maskę.

- Wejdźmy do środka, załatwię ci samochód. Opierała się, lecz nie słuchał.

- No dobrze, ale zapłacę.

- Zaraz stracę cierpliwość - ostrzegł, pochmurniejąc.

- No to może dasz się zaprosić na lunch albo kolację?

Przez chwilę walczył z sobą, wreszcie skinął głową.

- Jutro w „Sullivan's”?

- Nie wolałbyś pójść na hamburgera do Whartonów?

- Całe miasto zatrząśnie się od plotek.

- Dla mnie to nie nowina. Mogę iść, jeśli ci pasuje. Popatrzył na nią uważnie.

- Skoro tak, to niech będzie. Spontanicznie cmoknęła go w policzek i wysiadła.

Nie do końca potrafiła ocenić, co naprawdę stało się między nimi, lecz miała poczucie, że to może być coś więcej niż lunch w podzięce za przysługę.

Nazajutrz weszła do Whartonów i od razu usiadła w łoży przy oknie. Plotki i tak będą, więc nie ma sensu się kryć.

- Dawno cię tu nie widzieliśmy - zagaiła Grace Wharton, podchodząc do stolika i podając kartę.

- Czekam na kogoś. - Dziwne, ale nie chciała zdradzać, że na Sonny'ego. Może źle zrobiła, upierając się na to miejsce tłumnie odwiedzane przez miejscowych. Howard też codziennie przychodzi tu z kumplami na lunch.

- Pewnie na klienta - zgadywała Grace.

- Poproszę herbatę dla mnie i dietetyczny napój. Gadatliwa Grace dała jej spokój. Odeszła, a po chwili wróciła z napojami. W tej samej chwili do



sali wszedł Sonny. Zdjął ciemne okulary i przez chwilę przyzwyczajając wzrok. Miał potargane wiatrem włosy; Mary Vaughn domyśliła się, że przyjechał kabrioletem. Zawsze uważała, że z takimi zwichrzonymi włosami, podwiniętymi rękawami i rozpiętą pod szyją koszulą Sonny wygląda niesamowicie seksownie. Poczowała dreszczyk na plecach.

- Zobacz, kogo nam tutaj przywiało - zagadnęła Grace. - Pewnie przyszedł zobaczyć się z ojcem.

Mary Vaughn nie odpowiedziała. Dławiło ją w gardle. Sonny wyglądał fantastycznie. Niby zawsze o tym wiedziała, ale nigdy na jego widok serce nie biło jej tak jak teraz.

Podszedł do stolika.

- A niech mnie! - wymamrotała Grace, wycofując się pośpiesznie. Biegnie rozpowiedzieć, że znowu się zesłi, uznała Mary Vaughn. Za chwilę wpadnie tu pół miasta, by zobaczyć to na własne oczy...

- Miałaś rację, to był zły pomysł.

- Skarbie, jesteśmy w Serenity - odparł niefrasobliwie Sonny. - To nic nowego, że będą o nas plotkować. Już wiesz, co zamawiasz? Trochę się śpieszę, mamy dziś zebranie pracowników.

- Zamów dla mnie to samo, co dla siebie.

- Cheeseburgera z frytkami? - upewnił się.

Zwykle jadła sałatę lub jogurt. Od lat nie miała w ustach hamburgera.

- Tak. - A co tam, dodała w duchu. Sonny uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę, że ludzie mogą się zmieniać? Jeśli jeszcze zamówisz milkshake'a, to naprawdę w to uwierzę - przekomarzał się.

- Chcesz, żebym zrobiła się gruba jak beka?

- Mary Vaughn, jesteś piękną kobietą, ale kochałem cię nie za wygląd, a za to, jaka jesteś.

Popatrzyła na niego sceptycznie, lecz nim zdążyła odpowiedzieć, do sali wszedł Howard. Na ich widok zatrzymał się jak wryty.

- W życiu bym się nie spodziewał ujrzeć was tu razem. Planujecie święta?

- Nie - odpowiedział Sonny. - Jesteśmy na randce.

Serce jej zadrżało, lecz mimo to zgromiła eksmęża wzrokiem.

- Wcale nie.

- A jak to nazwiesz? - spytał w uśmiechem.

- Pomyłką.

Howard uśmiechał się promiennie.

- Jak zwał, tak zwał, ale miło widzieć was razem. Rory Sue byłaby uszczęśliwiona.

- Tylko nic jej o tym nie mów - ostrzegła Mary Vaughn.

- Ani słowa, tato - poparł ją Sonny. - Zacznie wyobrazać sobie nie wiadomo co, a potem przeżyje rozczarowanie.

- Tak myślisz? Ja do dziś nie wiem, czemu się rozstaliście. Nigdy się nie wytłumaczyłeś.

- Bo to nie twoja sprawa - odparł spokojnie Sonny. - Idź do swoich kompanów, bo oczy już prawie powychodziły im z orbit. Powiesz im, co tu robimy.

- Ale przecież tego nie wiem!

- Czyli niewiele możesz im powiedzieć, prawda? - ze słodyczą rzekła Mary Vaughn. - Od razu możecie przejść do innych, bardziej zajmujących tematów.

- Nadal masz cięty języczek, co? - niemal z uznaniem rzekł Howard.

- Staram się.

- Cóż, bawcie się dobrze. - Oddalił się do kolegów. W oczach Sonny'ego tliły się wesołe ogniki.

- Nie może sobie darować, że nie wie, co jest grane. Jest pewien, że coś przed nim ukrywamy.

- Ciekawe, bardzo ciekawe. Przez lata był wściekły, że się pobraliśmy, a teraz nagle tak mu zależy, byśmy do siebie wrócili. Jak to się w życiu układa! Byłam pewna, że do grobowej deski będzie dziękował Bogu za nasz rozwód.

- Myślisz, że on by tego chciał? - zdziwił się Sonny. - Żebyśmy znów byli razem?

- Chce, by jego wnusia była szczęśliwa, a jej największym marzeniem jest to, byśmy znów byli razem.

- Hm... - Sonny zadumał się głęboko.

Mary Vaughn roześmiała się, widząc jego minę.

- Boisz się, że twój ojciec zacznie nas swatać?

- Wcale bym się nie zdziwił - odparł szczerze. - Na twoim miejscu bym się nie cieszył. Ojciec zwykle potrafi dopiąć swego.

Poczuła dreszczyk na plecach. To objaw lęku... czy radosnego oczekiwania?

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jeanette wślizgnęła się do „Sullivan's” kuchennym wejściem i podbiegła do drzwi na salę, by zerknąć ukradkiem, czy Tom i jego matka już są.

- Miło mi cię widzieć, ale co ty tu robisz? - zdziwił się Erik.

- Sprawdzam, czy ta okropna matka Toma już jest - odparła półgłosem.

- Wyobrażasz sobie, że mamy razem zjeść lunch? Z tą heterą?

Erik roześmiał się serdecznie.

- Sio z mojej kuchni! Ja się w to nie mieszam. No, już cię tu nie ma!

- Dobrze, ale lepiej nie podawaj nam porządnej porcelany i kryształów, bo może być z nimi kiepsko.

- Daj znak, zanim zaczniesz rzucać talerzami, żebym zdążył wyprowadzić gości... albo nie, lepiej skasuję ich za przedstawienie. No już, idź.

- Nie masz w sobie ani krzty współczucia - marudziła, zaraz jednak posłusznie wyszła i ruszyła do stolika.

Tom rozpromienił się na jej widok.

- Skąd idziesz? - zapytał, wysuwając dla niej krzesło.

- Wstąpiłam do kuchni zamienić słówko z Erikiem. Pani McDonald spojrzała na nią krzywo.

- Pewnie poprosić, by dosypał mi do jedzenia arszeniku - powiedziała szeptem.

- Mamo! - obruszył się Tom, ostrzegawczo patrząc na nią.

Jeanette obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Ależ ze mnie gapa, że o tym nie pomyślałam! Strychnina też byłaby niezła - rozmarzyła się.

Tym razem Tom zgromił spojrzeniem młodszą z pań.

- Jeanette! - rzucił karcąco.

Ku jej zaskoczeniu pani McDonald niemal się uśmiechnęła. Pośpiesznie upiła łyk wody, by zatrzeć to wrażenie, lecz Jeanette od razu poczuła się nieco pewniej. Kto wie, może ta jego matka lubi namieszać i podoba się jej, gdy ktoś, zamiast łagodzić, jeszcze dolewa oliwy do ognia. Jeśli kobiety z ikrą znajdują uznanie w jej oczach, to tym lepiej, bo tego jej nie brakuje.

- Erik właśnie wyjmował z pieca tartę brokułową

- zagała.

- Nie rozumiem, co ludzie widzą w tartach - skomentowała Clarisse McDonald.

- Jedną ze specjalności „Sullivan's" jest klops, klienci za nim przepadają - dodała Jeanette, starając się zachować spokój. - Mają też rewelacyjne dania z ryb.

- To prawda - pośpieszył jej z odsieczą Tom.

- Szczerze polecam. Dzisiaj podają przyrządzonego na parze okonia morskiego z warzywami. Ja go biorę. Mamo, na co masz ochotę?

- Poprzestanę na zupie - powiedziała, nie zaglądając do karty.

- Gazpacho jest doskonale - rzekła Jeanette.

- Zbyt pikantne.

- Do rosółu z kury dają domowy makaron - z lekką desperacją rzekł Tom.

- Nie jestem chora - stwierdziła cierpko matka.

- Wezmę zupę z soczewicy.

Tom wreszcie mógł odetchnąć. Jeanette domyślała się po jego minie, że już żałował swego pomysłu i nie mógł się doczekać końca lunchu.

Po zamówieniu potraw przy stole zapadła niezręczna cisza. Pani McDonald siedziała z ponurą twarzą, Jeanette też nie paliła się do rozmowy. Tom znacząco dotknął pod stołem jej uda i popędził ją spojrzeniem. Cóż, musiała spróbować, choć widziała to czarno.

- Słyszałam, że mocno się pani angażuje w imprezy dobroczynne. Czy aktualnie coś się szykuje?

Tom uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Matka milczała, jakby zamierzała zignorować pytanie, lecz gdy syn zgromił ją wzrokiem, poddała się.

- Wkrótce odbędzie się bal wydawany przez organizację do walki z rakiem - burknęła.

- W Charlestonie to zawsze było wielkie wydarzenie - podchwyciła Jeanette. - W dniach poprzedzających bal mieliśmy mnóstwo klientek. Każda chciała wyglądać olśniewająco.

Ledwie to wypowiedziała, uzmysłowiła sobie, co najlepszego zrobiła. Nie dość, że przypomniwała, czym się zajmuje i gdzie pracowała, to miała nieprzyjemne przeczucie, że to właśnie przed tym balem jego matka dostała uczulenia.

Pani McDonald triumfująco popatrzyła na syna.

- Sam widzisz, że te nasze imprezy nie są jedynie snobistyczną rozrywką dla bogatych, lecz służą czemuś więcej, o czym zresztą wiele razy ci mówiłam, choć zbywałeś to machnięciem ręki. A od naszych działań zależy los wielu osób. - Odwróciła się do Jeanette. - Dzięki hojnym napiwkom jakoś udawało się wiązać koniec z końcem, prawda? W Charlestonie koszty utrzymania są wysokie, nawet w gorszych dzielnicach.

Nie dała się zdeprymować.

- U Belli miałam dobrą pensję, a moje klientki były bardzo szczodre. Podobnie jak tutaj. Myślę, że są bardzo zadowolone z moich usług - dodała z wymuszonym uśmiechem. Nie pozwoli sobie wmówić, że wręczają jej napiwki z litości, co sugerowała matka Toma. - Chociaż dla mnie pieniądze nigdy nie były najważniejsze. Kocham swoją pracę. Poza tym organizowanie spa od zera było ogromnie motywujące i dało mi wielką satysfakcję, zwłaszcza że większość naszych klientek nigdy wcześniej nie korzystała z takich usług.

- Czyli ceny zostały dostosowane do możliwości masowego odbiorcy?  
- zjadliwie stwierdziła pani McDonald. - Zawsze uważałam, że dostaje się dokładnie to, za co się zapłaci.

Cierpliwość Jeanette zaczęła się wyczerpywać. Jeszcze chwila, a eksploduje. Tom musiał to wyczuć, bo zmienił temat.

- Mamo, może opowiesz Jeanette o rejsie, na który wybieracie się z ojcem w styczniu?

Clarisse McDonald uśmiechnęła się do syna serdecznie. Widać było, że jest mu bezgranicznie oddana, nawet dla Jeanette to było jasne. Kto wie, może nie jest aż takim potworem?

- Że też o tym pamiętasz. Jesteś przecież taki zajęty.

Tom pewnie nie może się doczekać, kiedy wreszcie jego rodzice wyjadą, pomyślała Jeanette, ale w porę ugryzła się w język.

- Wybieramy się w rejs po Karaibach - zaczęła pani McDonald, zwracając się do Jeanette. - Oczywiście wszystko będzie pierwsza klasa, łącznie z imponującym spa - dodała znacząco.

- Jaki to będzie statek? - spytała Jeanette. Gdy pani matka Toma wyniosłym tonem wymieniła nazwę, Jeanette skinęła głową.

- Bardzo dobrze znam Laine Walker, która zarządza tamtejszym ośrodkiem spa.

Pani McDonald wyglądała jak rażona piorunem.

- Naprawdę? Niemożliwe.

- Ależ jak najbardziej możliwe. Szkoliłyśmy się razem w Paryżu.

Miała satysfakcję, bo pani McDonald z wrażenia na moment zaniemówiła.

- Szkoliła się pani w Paryżu? - powtórzyła wreszcie ze zdumieniem.

- Owszem, przez kilka lat. - Nie mogła odmówić sobie przyjemności rozkoszowania się jej zaskoczeniem. - Bella mnie tam znalazła. Pracowałam w najbardziej ekskluzywnych paryskich spa. Namówiła mnie, bym przyjechała do Charlestonu. Tęskniłam za domem, więc przyjąłem jej propozycję, zresztą bardzo korzystną.

- Nic o tym nie wiedziałam - wymamrotała pani McDonald i umilkła.

Reszta posiłku upłynęła spokojnie. Tom podsuwał kolejne neutralne tematy: pogodę, jedzenie, restauracje w Charlestonie, angażując w rozmowę obie panie.

Wreszcie, kiedy kolejny temat się wyczerpał, Jeanette spojrzała na zegarek, podniosła się i pożegnała, wymawiając się czekającymi na nią klientkami.

- Odprowadzę cię - zaofiarował się Tom. - Mamo, może przez ten czas wybierzesz jakiś deser.

- Do widzenia, pani McDonald - zdawkowo rzekła Jeanette.

Nie zamierzała kłamać, że była to dla niej przyjemność.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Tom odetchnął głęboko.

- Nie było tak źle, co?



- Jeśli porównamy to ze średniowiecznymi torturami, to rzeczywiście, najgorzej nie było.

- Daj spokój. W każdym razie próbowała.

- Ledwie się powstrzymała, by nie wylać mi zupy na kolana - uściśliła Jeanette. - Widziałam, że tylko o tym marzyła.

- Póki nie wspomniałaś o szkoleniu w Paryżu. Zbiłaś ją tym z pantaląku. Czemu nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo nie pytałeś. Czuję, że twoja matka będzie teraz z odrazą myśleć o Paryżu, skoro bywają w nim takie kreatury jak ja.

- Jeanette, przestań już, proszę. Przecież poszło całkiem nieźle. Wasza znajomość zaczęła się niefortunnie, lecz z czasem wszystko się ułoży. Kiedyś będziecie się z tego śmiały.

Pokręciła głową.

- Proszę cię, nie stawiaj mnie więcej w takiej sytuacji. To twoja matka, więc nie chcę was urazić, ale nie mogę jej polubić. Podobnie jak ona mnie. I na tym zakończmy sprawę.

- Ja raczej nie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę żadnych kwasów na naszym ślubie. - Pocałował ją i odszedł.

Jeanette patrzyła za nim oniemiała. Na ślubie? Czy on zwariował? Już drugi raz powiedział coś takiego. Owszem, to jej schlebiało, może też trochę kusiło, jednak taka możliwość absolutnie nie wchodziła w grę. Nie wyjdzie za niego, to pewne jak amen w pacierzu. Nawet nie doszła do etapu, by umawiać się z nim na prawdziwe randki.

Przecięgnęła koniuszkami palców po wargach, na których jeszcze czuła dotyk jego ust. Hm, ale seks z Tomem... To zaczynało coraz bardziej do niej przemawiać.

Pogwizdując, wszedł do ratusza dziarskim krokiem. Teresa popatrzyła na niego z wielkim zainteresowaniem

- Masz dobry nastrój - zauważyła. - Widzę, że lunch się udał - dodała z lekkim niedowierzaniem.

- Na początku było trochę chłodno, ale potem atmosfera się poprawiła. Wieczorem powinno być jeszcze lepiej.

- A co zamierzasz? - zapytała, wchodząc za nim do gabinetu. - Bo jak na razie wszystko robisz na opak - dodała zgryźliwie. - Zmuszasz ją do lunchu z twoją matką, choć obie się nie znoszą, a potem liczysz na romantyczny wieczór we dwoje? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby Jeanette już wyjechała z Serenity. Nie obraż się, ale twoją matkę widziałam tylko przez chwilę, i w zupełności mi wystarczy.

- Chciałem, żeby się lepiej poznały i nawiązały kontakt.

- Dobre sobie! Działasz zupełnie bez pojęcia, jak większość facetów. Jeanette mieszka tu od trzech lat i z nikim nie była związana. Jeśli chcesz ją zdobyć, musisz zaoferować jej coś więcej niż konflikt z twoją matką.

- Niektórzy uważają mnie za dobrą partię.

- Może tak jest, ale to nie ma nic do rzeczy. Jeśli chcesz Jeanette, musisz naprawdę się postarać. Okazać jej szacunek, oczarować ją. A już na pewno nie mieszać do tego matki.

Tylko że to już się stało i nie da się tego odkręcić, stwierdził w duchu ponuro.

- No to co mam zrobić, pani Dobra Rada? Przecież nie będę w nieskończoność wysyłał jej rozków i puddingów czy wpadał z ulubioną pizzą.

Teresa usiadła, zamyśliła się.

- Masz dużo pieniędzy? Tom omal się nie zakrztusił.

- Słucham?

- Nie pytam cię o stan konta. Zastanawiam się tylko, czy stać cię na coś absolutnie zakreconego.

- Na przykład?

- Zabierz ją samolotem na kolację do Paryża - powiedziała z rozmarzoną miną. - Jeanette nie odmówi mężczyźnie, który ma takie pomysły. Do dziś z radością wspomina czasy, kiedy tam mieszkała.

Zastanowił się nad tym, lecz po chwili odrzucił pomysł. Jeanette nie pojedzie z nim nawet do Savannah, a co dopiero do Paryża.

- Na razie powinniśmy o tym zapomnieć.

- No wiesz, wyjście na kręgielnię niczego nie załatwi.

- A kto mówił coś o kręgielni?

- W Serenity nie ma większego wyboru.

- Wątpię, by Jeanette kusiło nocne życie, nie po to tu się przeniosła.

Dzięki za dobre rady, ale na razie zawierzę własnej intuicji. - Popatrzył na sekretarkę przenikliwie. - I więcej nie wracajmy do tego tematu, zgoda?

Kiedy wyszła, zamyślił się. Jeszcze kilka tygodni temu jego życie płynęło spokojnym rytmem. I nagle wszystko diametralnie się zmieniło. Musi się zmagać ze zirytowaną matką, wścibską sekretarką i fascynującą kobietą, która nie chce mieć z nim nic wspólnego. Czyż to nie jest ironia losu?

Jeanette przebrała się w służbowy strój, postanawiając w duchu, że nie pozwoli, by jej zdenerwowanie odbiło się na klientkach. I nie będzie powracać myślami do pocałunku przed restauracją i wzmianką Toma na temat ślubu.

Domyślała się, że wieść o tym buziaku pewnie rozniosła się po mieście. Jej podejrzenia szybko się potwierdziły, bo już pierwsza klientka ją o to zagadnęła. Próbowwała ją zbyć, lecz Drew Ann Smith była twardą zawodniczką. Odetchnęła lżej, kiedy skończyła zabieg i miała chwilę spokoju przed kolejną klientką. Kończyła herbatę, gdy zadzwonił telefon.

- Jeanette? - W słuchawce usłyszała drżący głos matki.

- Mama? Co się stało? - Poczowała zimną pięść zaciskającą się jej na żołądku. Wiedziała, że sprawa jest poważna, przecież matka nigdy do niej nie dzwoniła.

- Chodzi o ojca. Jest w szpitalu. Pomyślałam, że powinnam cię zawiadomić.

- Co się stało? - Opadła na krzesło.

- Miał wypadek na traktorze. Wjechał do rowu, traktor się przewrócił i go przygniótł. To było tydzień temu i...

- Tydzień temu? I dopiero teraz do mnie dzwonisz?!

- Nie chcieliśmy cię denerwować, tylko że teraz dostał zapalenia płuc i zaraził się gronkowcem. Lekarz mówi, że to może być poważna sprawa i powinnam dać ci znać.

- Który to szpital?

Znała tę nazwę. Skoro ojca tam przenieśli, to jego stan jest naprawdę poważny.

- Przyjadę najszybciej, jak to możliwe.

- Nie musisz się śpieszyć - zaproponowała matka.

- Jeśli z tatą jest kiepsko, to muszę go zobaczyć. -Ledwie nad sobą panowała. Zawiadomili ją dopiero po tygodniu od wypadku! Jak to świadczy o jej rodzinie? - Będę za godzinę, najpóźniej za dwie.

Rozłączyła się, zdusiła przekleństwo. Znow przypomnieli sobie o niej w ostatniej chwili. Gdyby lekarz nie obawiał się o życie pacjenta, może wcale by jej nie zawiadomili. Matka pewnie już żałuje, że zadzwoniła.

Pobiegła do szefowej i pośpiesznie przedstawiła sytuację. Dopiero po dobrej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wzburzona. Ręce jej drżały, cała się trzęsła. Maddie natychmiast przejęła inicjatywę. Kazała jej usiąść, a sama poszła odwołać klientki. Jeanette opadła na fotel i zalała się łzami. Płakała nad ojcem, nad swoją rodziną, nad swym dzieciństwem, które kiedyś było takie szczęśliwe.

Otarła oczy, gdy ktoś otworzył drzwi.

- Maddie mnie powiadomiła - powiedział Tom. -Zawiozę cię do Charlestonu. Nie spieraj się, bo i tak z nami nie wygrasz - stwierdził stanowczo.

- Dobrze - wymamrotała, dusząc w sobie łkanie. - Nie wiem, dlaczego nie mogę przestać płakać.

- Boisz się o ojca. Uspokoisz się, gdy go zobaczysz. Ruszajmy w drogę.

- Nie chodzi tylko o ojca. Jestem wściekła na matkę, że dopiero teraz do mnie zadzwoniła. Uważała, że nie musi mnie powiadamiać o wypadku, choć ojciec mógł zginąć pod traktorem! - Kompletnie nie panowała nad głosem. - Możesz w to uwierzyć? Dała mi znać dopiero po tygodniu!

Tom przykucnął przed nią, ujął jej dłoń.

- Twój ojciec nie zginął, na tym się skup. Infekcja bakteryjna i zapalenie płuc to tylko komplikacje, nic więcej.

- A ja uważałam, że twoja matka jest okropna. Moja przebiła ją pod każdym względem.

- Naprawdę chcesz teraz o tym mówić? Jedźmy do szpitala.

Ujął ją za rękę i wyprowadził na dwór. Nie widziała wcześniej tego zwykownego sportowego samochodu na dwie osoby.

- Ty naprawdę jesteś bogaty, co?

- Moi rodzice są bogaci. Ten samochód to prezent od nich, dostałem go po skończeniu studiów, gdy jeszcze wiązali ze mną wielkie nadzieje.

- Mogę się nim przejechać?

- Nie teraz, jesteś zbyt wzburzona. - Otworzył jej drzwi.

- Jest szybki?

- I to bardzo - odparł z uśmiechem. - A co, chciałabyś uciec z domu?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- A moglibyśmy?

- Zapytaj mnie o to, gdy już zobaczysz się z ojcem. Ale by cię uspokoić, wiedz, że jestem za.

Uśmiech Jeanette zgasł.

- Myślisz, że można uciec z domu, gdy nawet się nie wie, gdzie on jest?

Tom spoważniał.

- To trudne pytanie, ale odłóżmy tę dyskusję na bardziej sprzyjający moment.

- Masz rację.

Oparła głowę, zamknęła oczy. Najchętniej by się wyłączyła, zapomniała o wszystkim. Przed oczami przesuwały się jej obrazy sprzed lat. Widziała ojca, jakim go chciała pamiętać: roześmianego, skupionego na niej, oddanego córce bezgranicznie. Był taki dumny z niej i z Bena, byli z

sobą tacy zżyci. Po śmierci syna stał się innym człowiekiem, milczącym i zamkniętym na innych.

Chciałaby objąć za szyję tatę, jakiego pamiętała z dzieciństwa. I rozpaczliwie się bała, że ujrzy człowieka, dla którego będzie obcą osobą.

RS

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Odstępiał ją szpitalny zapach, stłumiony odgłos kroków na korytarzach, dochodzące z sal dźwięki wydawane przez urządzenia monitorujące i podtrzymujące życie. Gdyby Tom nie trzymał jej za ramię, pewnie by stąd uciekła.

Przed oddziałem intensywnej opieki zatrzymała się niepewnie.

- Może najpierw powinnam zobaczyć się z mamą. Chyba jest w poczekalni.

- Jak uważasz. Poczekalnia jest po tamtej stronie. Wciąż nie mogła się zdecydować.

- Wiesz, nadal jestem na nią wściekła. Wolę nie zaczynać od awantury.

- W takim razie zajrzyj najpierw do ojca. Ja pójdę poszukać dla nas kawy. - Przyjrzał się jej z niepokojem. - Może chcesz, żebym wszedł z tobą? Stanę z tyłu, twój ojciec nawet mnie nie zauważy.

- Ale napisali, że wstęp ma tylko rodzina. - Wskazała na drzwi.

Odprowadzała go wzrokiem, walcząc z pokusą, by pójść za nim. Jak to się stało, że nagle stał się jej taki bliski? Czuła, że może mu zaufać, że Tom pomoże jej przebrnąć przez ten kryzys.

Nabrała powietrza, nacisnęła guzik otwierający drzwi i weszła na oddział. Pielęgniarka wskazała jej salę, gdzie leżał ojciec.

- Nie jest z nim najlepiej, ale mamy nadzieję, że antybiotyki postawią go na nogi. Proszę nie przerażać się tym, co pani zobaczy. Pani ojciec jest podłączony do różnych urządzeń, respirator pomaga mu oddychać. Pacjent nie powinien się poruszać, więc jest na silnych środkach.

Jeanette weszła do niewielkiej salki i wstrzymała oddech. Ojciec miał obie nogi w gipsie, jedną do kolana, drugą do biodra. Twarz blada jak



papier, gęste włosy, niegdyś kruczoczarne, teraz były zupełnie białe. Ledwie rozpoznawała w nim postawnego mężczyznę, jakim zapamiętała go z ostatniej wizyty w domu rok temu.

Ostrożnie podeszła do łóżka i przysiadła na krześle. Tak intensywnie wpatrywała się w ojca, że nie spostrzegła, kiedy pielęgniarka wycofała się na korytarz.

- Tatusiu-wyszeptała, dotykając jego dłoni. Była ciepła, zgrubiała, tak jak pamiętała. Miał opaloną skórę, tylko na palcu pozostał jasny ślad po obrączce, przez co ojciec wydawał się jeszcze bardziej bezbronny. Splotła palce z jego palcami. - Och, tatusiu, no i co ty zrobiłeś? - wyszeptała z oczami pełnymi łez. Zamarła, bo poruszył się leciutko, jakby usłyszał jej słowa. - Nie ruszaj się. Musisz leżeć i nabierać sił. Cały czas będę w pobliżu.

Dostrzegła leciutkie drżenia, ale może sprawił to respirator. Chciała wierzyć, że ojciec zdaje sobie sprawę z jej obecności, że się ucieszył, lecz pewnie były to tylko jej pobożne życzenia.

Będzie przy nim, póki nie wydobrzeje i sam nie każe jej odejść. Może jednak choć raz poprosi, by została.

Tom wrócił z barku, niosąc trzy kubki z kawą. Domyślał się, że kobieta, która siedziała w poczekalni, to matka Jeanette. Te same ciemne oczy, podobne rysy, sprężysta figura. Bardzo się denerwowała, widział to po jej twarzy. Kwiecista sukienka, choć kolory wyblakły po wielu praniach, była starannie wyprasowana. Kobieta była pochłonięta odmawianiem różańca.

Tom usiadł obok. Poczekał, aż podniosła na niego wzrok.

- Pani Brioche?

W jej oczach natychmiast błysnęła panika.

- Chodzi o Michaela? Coś się stało?

- Wszystko jest w porządku. Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

Nie jestem lekarzem. Przyjechałem z Jeanette, jestem jej znajomym.

- Jeanette jest tutaj?

- Weszła teraz do ojca, a ja poszedłem po kawę. Może się pani napije?

- Podał jej kubeczek. Ujęła go w obie dłonie, jakby chciała je ogrzać. -  
Nazywam się Tom McDonald. Jestem dyrektorem zarządu Serenity.

- Aha - powiedziała z roztargnieniem i podniosła się. - Chyba  
powinnam ją wyciągnąć z sali. Nie pozwalają siedzieć tam za długo.

- Jeanette zaraz przyjdzie. Niech pani skorzysta z okazji i zrobi sobie  
chwilę odpoczynku. Może przyniosę coś do jedzenia? Kanapkę albo zupę?

- Bardzo pan miły, ale dziękuję, nie jestem głodna. - Popatrzyła w  
stronę OIOM-u. - Skoro Jeanette tam jest, to może wejdę na chwilę do  
kaplicy. Nie chciałam się stąd oddalać, w razie gdyby coś z nim się stało.

- Niech pani idzie. Powiem Jeanette, gdzie ma pani szukać.

- Nie pojedziecie z powrotem, gdy tylko od niego wyjdzie?

- Myślę, że nie.

- No dobrze.

Popijając kawę, w zamyśleniu patrzył za oddalającą się panią Brioche. Martwiła się o męża, lecz nawet słowem nie zatroszczyła się o córkę. Teraz zaczynał rozumieć, co miała na myśli Jeanette, mówiąc, że jej rodzina się rozsypała. W porównaniu z nimi jego rodzina była wręcz idealna. Pomijając przesadne akcentowanie ich roli i społecznego statusu, ciągłe sprzeczki i awantury, nigdy nie wątpił, że on i siostry są oczkiem w głowie rodziców. Gdy jeszcze w liceum doznał kontuzji w czasie meczu, cała rodzina nie odstępowała go w szpitalu, zamęczając lekarzy i pielęgniarki dziesiątkami pytań. Ojciec upierał się, by ściągnąć najlepszych specjalistów, matka

koniecznie chciała zamówić firmę dowożącą jedzenie, by niczego mu nie zabrakło.

Dostrzegł idącą korytarzem Jeanette. Szła noga za nogą, po policzkach płynęły jej łzy. Poderwał się z miejsca.

- Dobrze się czujesz?

- On nawet sam nie oddycha - wydusiła przez zaciśnięte gardło. - Jest podłączony do respiratora, obie nogi ma w gipsie. Wygląda to strasznie. - Rozejrzała się po poczekalni. - Myślałam, że mama jest tutaj.

- Była. Zamieniłem z nią kilka słów. Poszła do kaplicy. Powinna zaraz wrócić, ale możesz tam pójść, jeśli chcesz się pomodlić za ojca.

- Pewnie odmawiała różaniec.

- Tak.

Jeanette westchnęła.

- Kiedy żył Ben, rzadko zaglądaliśmy do kościoła, zazwyczaj na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Nie dlatego, że nie byliśmy religijni, po prostu się nie składało. Niemal przez cały rok ojciec pracował na polu, mama mu pomagała, ja i Ben też, gdy już podrośliśmy. - Upiła łyk kawy, zamknęła oczy, uśmiechnęła się blado. - To była ciężka praca, byliśmy zmęczeni, ale to były dobre czasy - powiedziała cicho. - Po śmierci Bena wszystko się zmieniło. Ojciec jeszcze dłużej zostawał na polu, a kiedy wracał, zjadał kolację i szedł spać. Nie odzywał się ani do mnie, ani do mamy. Mama nagle stała się strasznie religijna. Nie było dnia, żeby nie poszła do kościoła. Zaczęła piec ciasta na kościelne kiermasze i święta. Nie wiem, czy chciała tym ocalić duszę Bena, czy szukała ucieczki. Może to był jej sposób na wyrwanie się z dusznej atmosfery, która panowała w domu.

- Jeśli to dawało jej ukojenie... - zaczął Tom.

- Tak nie było. Jeśli coś ci pomaga, zaczynasz czuć się lepiej, prawda? Kościół był jej ucieczką. Ojciec zatracił się w pracy, ona znalazła sobie inny azyl. Najwyraźniej nadal tak jest. - Zamrugwała, by stłumić łzy. - Skoro ojciec jest w takim stanie, to przez długi czas nie będzie mógł pracować. Jak on to zniesie?

- Nie martw się na zapas. Najpierw niech wyzdrowieje.

Ujrzał stojącą na progu matkę Jeanette. Miał do niej żal, że wykluczyła córkę z ich życia, lecz teraz ogarnęło go współczucie. Wydawała się bardzo samotna i zagubiona. Dobre wychowanie wzięło górę.

- Pani Brioche - powiedział, wstając.

Jeanette podniosła gwałtownie głowę.

- Mamo!

- Cześć, Jeanette - powiedziała niepewnie. Tom przesunął po nich wzrokiem. Na twarzy

Jeanette malowała się tęsknota, na twarzy jej matki niepewność. I coś jeszcze... Pochylił się do Jeanette.

- Ona potrzebuje ciebie tak samo jak ty jej - wyszeptał. - Pójdę się przejść, zostawię was na chwilę. - Dotknął jej policzka. - Dobrze?

Przez moment myślał, że zaproponuje, lecz Jeanette skinęła głową.

- Tylko przyjdź niedługo, proszę.

- Wracam za kilka minut, obiecuję.

Mijając panią Brioche, uścisnął pokrzepiająco jej dłoń. Odszedł, roztrząsając w myślach, czy tych kilka minut, a nawet kilka dni, wystarczy im, by odnalazły drogę do siebie.

Patrząc na mamę, zapomniała o złości. Przepęłniło ją ogromne współczucie. Wydawała się taka zagubiona i przerażona, ten widok

przypomniawszy Jeanette bolesny czas po śmierci Bena. Mama przez długie miesiące była zrozpaczona i przybita.

- Usiądź - powiedziała, bo matka nawet nie drgnęła. - Chyba że chcesz od razu iść do taty.

- Teraz nie, ty dopiero od niego wyszłaś. Musi trochę odpocząć.

- No to usiądź. - Przyjrzała się uważnie jej zmęczonej twarzy. - Czy chociaż trochę odpoczywałaś?

Matka wzruszyła ramionami, przysiadła obok niej.

- Na noc wracałam do domu, ale odkąd dostałam zapalenia płuc i zabrali mnie na intensywną opiekę, nie ruszam się ze szpitala. Nauczyłam się drzemać na siedząco.

- Może zajrzyj na chwilę do taty, a potem pojedź do domu i prześpij się kilka godzin. Lepiej się poczujesz, gdy weźmiesz prysznic i zmienisz ubranie. Ja tu zostanę.

- Twój znajomy, pan McDonald, powiedział, że przywiózł cię tutaj. On nie musi wracać?

- Może pojechać do Serenity, mnie ktoś potem odbierze. - Wiedziała, że przyjaciółki przyjadą w każdej chwili, wystarczy słowo. Wiedziała również, że to nie będzie potrzebne, bo Tom się stąd nie ruszy. Potrafi być uparty. To dlatego nie dyskutowała, gdy oznajmił, że jadą razem. Zaskoczył ją, że się nie wycofał, gdy tylko zorientował się, co się święci. Pierwszy raz miała do czynienia z takim mężczyzną. Gdy już minie zagrożenie i tata wróci do zdrowia, powinna się nad tym zastanowić.

- Czy wy... ? Czy on jest dla ciebie kimś ważnym? - z wahaniem zapytała matka, jakby nie była pewna, czy ma prawo pytać.

- To mój przyjaciel.

W oczach matki zamigotały żywe iskierki.

- W dzisiejszych czasach to może wiele znaczyć. Oglądam telewizję, więc wiem, że bywają różne przyjaźnie. Czasem wiążą się z dodatkowymi bonusami.

Jeanette, zaskoczona tym stwierdzeniem, zachichotała.

- Mamo!

- Wiem coś o tym - dodała, uśmiechając się przebiegle, co przypomniało Jeanette, że niegdyś mama miała dość przewrotne poczucie humoru.

- Z Tomem to nie jest taki układ - powiedziała, rumieniąc się, bo doskonale wiedziała, że wystarczy sekunda, by to się zmieniło.

- Tak czy inaczej cieszę się, że masz kogoś, na kogo możesz liczyć - zaczęła mama i umilkła. Wbiła wzrok w swoje dłonie, a Jeanette poczuła, że ta cenna chwila wzajemnego porozumienia umknęła bezpowrotnie.

Matka podniosła na nią wzrok.

- W jakim stanie był tata, gdy u niego byłaś?

- Nie poruszał się, co do niego zupełnie niepodobne.

- Wiem. Sama też nie mogę się z tym pogodzić, gdy przy nim siedzę. Zawsze, nawet przez te ostatnie lata, gdy zaniknął się w sobie, robił wrażenie silnego i energicznego. - Jej twarz przybrała tęskny wyraz. - Opowiadałam ci, jak się poznaliśmy?

- Nie. - Ben odszedł, nim dorosła do wieku, kiedy matka mogła się jej zwierzać. Nigdy nie pogadały sobie od serca.

- To było w lecie, żar lał się z nieba. Razem z tatą pojechałam na farmę rodziców Michaela. Tata chciał o czymś z nimi pogadać, a ja urwać się od codziennych obowiązków w domu. To był kawałek drogi, godzina jazdy. Michael jeździł na wielkim traktorze. Był w spranych dżinsach i białym obcisłym podkoszulku. Zamurowało mnie na jego widok. A on popatrzył mi

w oczy, zeskoczył z traktora, podszedł bliżej i uśmiechnął się. Ten jego uśmiech... zaparło mi dech. I wiesz, co wtedy zrobił? Powiedział, że w życiu nie widział ładniejszej dziewczyny i że się ze mną ożeni. Tak po prostu. Wyobrażasz to sobie?

- Tak - odparła z uśmiechem. Tom też powtarzał podobne rzeczy. - I co mu odpowiedziałaś?

- Że same piękne słówka to za mało, lecz prawda była taka, że już wtedy przepadłam, i oboje o tym wiedzieliśmy.

- Ile minęło czasu, nim uległaś i zgodziłaś się za niego wyjść? - Była ciekawa, czy tamta historia może mieć jakieś odniesienie do niej i Toma.

- Odpowiedź jest złożona. Uległam znacznie wcześniej, niż za niego wyszłam.

Jeanette aż rozdziawiła usta.

- Mamo!

- Z małżeństwem musieliśmy się wstrzymać. Ledwie skończyłam osiemnaście lat i rodzice nie byli skorzy, by zgodzić się na taki szybki ślub. Oczywiście mogliśmy uciec, ale marzyłam o prawdziwym ślubie, a twój ojciec chciał mi przychylić nieba i spełnić wszystkie zachcianki. Czekaliśmy więc. Pobraliśmy się dokładnie rok po naszym poznaniu. Twój tata okazał się romantykiem, bo to on wybrał termin.

- Żałowałaś kiedyś, że za niego wyszłaś?

- Nigdy, ani przez chwilę. Do dziś w dzień naszej rocznicy robimy sobie przejażdżkę na traktorze.

- Pamiętam - wyszeptała z przejęciem. - Nie miałam pojęcia, że to miało taki symboliczny podtekst. Tylko wtedy zbliżałaś się do traktora.



- Boję się tych wielkich maszyn. Są niebezpieczne, trzeba być bardzo ostrożnym. Zobacz, co przytrafiło się tacie. Dziękuję Bogu, że nie skończyło się gorzej.

- Mamo, dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, gdy to się stało? - Nie chciała tego, lecz w jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

Matka nie odpowiedziała od razu.

- Od tak dawna nie mieszkałaś z nami i przywykliśmy, że sami sobie radzimy.

Zagotowało się w niej.

- Mówisz, jakbym to ja was porzuciła! - wybuchnęła. - To wy machnęliście na mnie ręką, odsunęliście mnie. Nie byłam wam potrzebna. Dlatego wyjechałam. Kiedy dwa miesiące temu chciałam przyjechać do domu, dałaś mi odczuć, że wcale tego nie chcecie.

Matka spuściła głowę, po chwili popatrzyła córce w oczy.

- Przepraszam. Sama nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Po śmierci Bena zupełnie się pogubiłam. Z niczym nie potrafiłam sobie poradzić, ciągnęłam resztką sił... - Wzruszyła ramionami. - Twój ojciec mnie potrzebował.

- Ja też.

Matka dotknęła jej dłoni.

- Wiem. Zdawałam sobie sprawę, że cierpisz, lecz nie wiedziałam, co zrobić. Po śmierci Bena oboje cię zawiedliśmy i bardzo cię za to przepraszam. Byliśmy nieporadni, zagubieni. Strasznie żałuję, że to tak wszystko wyszło, naprawdę.

Poczuła się trochę lepiej. Matka przynajmniej rozumiała, że dla niej to też były trudne przeżycia.

- Rozpaczaliście po Benie.



- Ty też - przyznała matka. - Nie wiem, dlaczego udawaliśmy, że tak nie jest. Zawsze byłaś taka samodzielna, więc... - urwała. - Nie, to nie jest wytłumaczenie. Postąpiliśmy bardzo źle.

Ta skrucha nadeszła po latach, lecz to już był jakiś początek.

- Może powinnam bardziej się starać, przyjeżdżać częściej - zaczęła Jeanette, biorąc część winy na siebie.

Matka uścisnęła jej dłoń.

- Jesteś z nami teraz. Twój tata bardzo się ucieszy, gdy cię zobaczy. Bardzo za tobą tęsknił. Jest zbyt dumny, by się do tego przyznać, ale ja to wiem. - Westchnęła. - Może wszystko się zmieni... Może z tego wypadku będzie taki plus, że znów odnajdziemy do siebie drogę.

Przez następny tydzień Jeanette prawie nie opuszczała szpitala. Stan ojca wyraźnie się poprawiał. Zgodnie z przewidywaniami mamy ojciec przywitał córkę ze łzami w oczach, lecz niedługo potem znów zamknął się w sobie i popadł w milczenie.

Maddie, która na zmianę z Tomem, Helen i Daną Sue towarzyszyła jej w szpitalu, pierwsza wpadła na pomysł, że być może jest to objaw depresji, i namówiła Jeanette, by porozmawiała o tym z lekarzem. Powiedziała jej też o wstępnych planach uruchomienia drugiego salonu spa, czym miałyby się zająć Jeanette, gdy sytuacja z ojcem się wyklaruje. Nie bawiąc się w subtelności, przekonywała ją też do Toma, który rzeczywiście w tych trudnych chwilach był dla niej wielkim oparciem.

Cieszyła się, że ojciec został przeniesiony na normalną salę, bo to znaczyło, że naprawdę jest z nim lepiej. Mama też odetchnęła, teraz już nie siedziała przy jego łóżku od rana do nocy.

Jeanette weszła do sali. Ojciec wpatrywał się w telewizor, ledwie zauważył jej przyjście. Wyglądał lepiej, choć policzki nadal miał zapadnięte.

- Lekarz powiedział, że szybko wracasz do zdrowia. Jeszcze będziesz musiał przejść rehabilitację, ale to nie potrwa długo. - Oderwał wzrok od telewizora, popatrzył na nią chmurnie. Wiedziała, że będzie się opierał, lecz nie zamierzała ustępować. - Mama nie ma tyle siły, by podnieść cię, jeśli się przewrócisz, czy zaprowadzić do toalety. Tym bardziej na bieganie po schodach.

Zamruczał gniewnie, uderzył pięścią w gips na nodze.

- To nie powinno się zdarzyć.

- Jak to się stało? Zawsze jesteś taki ostrożny.

- Zagapiłem się. Na mgnienie, ale to wystarczyło. - Oczy mu zwilgotniały. - Pewnie tak samo było z Benem. Teraz to do mnie dotarło. Wystarczy ułamek sekundy, by życie na zawsze się zmieniło. Albo skończyło.

Chciała go ująć za rękę, lecz cofnęła ją.

- Nie potrzeba mi twojej litości.

- Tato, ja się nie lituję. Kocham cię. I strasznie mi żal, że tak cierpisz.

- Nie cierpię - prychnął.

- Miałam na myśli inne cierpienie. Rozpaczasz za Benem.

- Oczywiście. To był mój syn.

- I wyrzucasz sobie, że pozwoliłeś mu wracać, choć była gołoledź. - Dlaczego dopiero teraz to zrozumiała? - Tato, to nie była twoja wina. Gdy wychodziliśmy z domu, droga nie była śliska, lód się zrobił dopiero później, po pastercie.

- Wiedziałem, że Ben nie jest doświadczonym kierowcą. Powinienem kazać mu zostawić samochód i wracać z nami.

- Tato, przestań! Ben odjechał, nim wyszliśmy z kościoła. Nic nie mogłeś zrobić. Nic!

- Byłem jego ojcem - rzekł zapalczywie. - Powinienem go chronić.

Wzięła go za rękę i mocno zacisnęła palce.

- Jesteś najlepszym ojcem, jakim można być. To był wypadek, tak samo jak ten, który się tobie przydarzył. Pogódź się z tym.

Popatrzył na nią z napięciem.

- Matka wciąż nie może mi tego wybaczyć.

- Nie mów tak. - Czy to możliwe, że mama milcząco oskarża go o śmierć Bena? Czy to dodatkowy powód napiętej atmosfery panującej w domu?

Ojciec odwrócił się.

- Ty nic o tym nie wiesz.

- Tato, nawet jeśli w jakimś minimalnym stopniu jesteś odpowiedzialny za to, co się stało, to już dawno to odpokutowałeś. Opuść sobie winy. A jeśli mama cię o to oskarża, to ona też musi ci darować.

Ojciec milczał. Po chwili odezwał się niemal szeptem:

- A ty?

Popatrzyła na niego zaszokowana.

- Tato, nigdy cię o nic nie oskarżałam! Nigdy. Przyjrzał się jej sceptycznie.

- Ale byłaś zła i rozżalona. Zostawiłaś nas, wpadałaś tylko od czasu do czasu jak po ogień. Człowiek nawet nie zdążył ci się przyjrzeć, bo biegałaś jak fryga.

Nie zamierzała otwierać tego bolesnego tematu, zwłaszcza teraz, lecz ojciec już to zrobił i nie miała wyjścia.

- Wyjechałam z domu, bo przestałam dla was istnieć. Wciąż boleliście nad stratą syna. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie myśl, że nie kochałam Bena. Serce pękało mi z bólu, gdy zginął. Też potrzebowałam wsparcia, tak

jak ty i mama, ale zostawiliście mnie samą sobie. Na początku jakoś to usprawiedliwiałam, rozumiałam was... tylko że to się nigdy nie zmieniło - dodała z goryczą. - Pamiętasz, jak obchodziliśmy urodziny czy święta, gdy jeszcze był z nami Ben?

- Tak, pamiętam...

- Po śmierci Bena już nigdy nie miałam urodzinowego tortu. - Łzy popłynęły jej po policzkach, otarła je niecierpliwie. - Już nigdy nie mieliśmy choinki, zabroniliście mi puszczać płyty z kolędami. Tak było latami. Kiedy skończyłam liceum, też nie było żadnego świętowania. Czułam się tak, jakby mnie nie było, jakbym dla was umarła razem z Benem. - Ukryła spleknaną twarz w dłoniach. - Przepraszam, nie powinnam wchodzić w te tematy. Musisz dojść do siebie.

Poczuła, że ojciec delikatnie pogładził ją po włosach. A może tylko się jej tak wydawało?

- Nie wiedziałem - wyszeptał zdławionym głosem. - Naprawdę. Byłem w takiej rozpacz, że nawet nie pomyślałem, jak to się odbija na tobie i na mamie.

Czuła, że nadeszła chwila, która nie powtórzy się szybko.

- Tato, zrobisz coś dla mnie? Jedną rzecz.

- Co tylko zechcesz.

- Opowiedz lekarzowi, co czułeś po śmierci Bena. Pozwól, żeby ci pomógł.

Popatrzył na nią nieufnie.

- Jak miałby mi pomóc?

- Nie wiem, co ci poradzi, ale obiecaj, że zrobisz, co ci powie. Nie dla mnie, ale dla własnego dobra. Obiecasz mi to?

Widziała, jak walczy z sobą, i przez chwilę bała się, że duma i upór wezmą górę. Pogładził ją po głowie, posmutniał.

- Porozmawiam z nim.

To jej nie wystarczało. Musiała mieć pewność.

- I posłuchasz go? - naciskała.

Ojciec odwrócił się, drżącą ręką nalał sobie wody do szklanki.

- Tato, proszę.

Upił łyk wody, popatrzył na Jeanette.

- Nie przestaniesz mnie dręczyć, póki się nie zgodzę?

- Nie przestanę.

- No dobrze. Posłucham go. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Czyli zrobisz, co ci powie - uściśliła.

- Posłucham go.

- Tato!

- No dobrze - poddał się. - Zrobię, co każe. Dla ciebie.

Położyła głowę na jego piersi.

- Dziękuję, tatusiu. Objął ją niezgrabnie.

- Kocham cię, córeczko. Bardzo cię kocham. I przepraszam, że mówiłem ci to za rzadko.

- Powiedziałaś mi teraz - wyszeptała z sercem przepelnionym radością.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Martwił się o nią. Była coraz bardziej zmęczona, widział to po niej na kolacji u Maddie w Święto Dziękczynienia, kiedy Jeanette wyrwała się ze szpitala na kilka godzin. Na szczęście ojciec szybko wracał do zdrowia i dziś miała na dobre wrócić do Serenity.

Nie mógł po nią pojechać, bo Howard uparł się, że cały komitet musi być na placu, kiedy przywiozą zamówioną choinkę. To dlatego już o siódmej rano stawił się na miejscu. Było naprawdę zimno. Dobrze, że Ronnie przyniósł wielki termos kawy przygotowanej przez Erika.

- Co masz taką ponurą minę? - wesoło zagadnął Ronnie, przyglądając się, jak robotnicy wyładowują drzewo i ustawiają je na środku placu. - Nie denerwuj się. Maddie zaraz przywiezie Jeanette. Musiałeś tu być, Howard się uparł. Zresztą choinka jest super. Jeanette powinna być zadowolona. Wiem od Teresy, że sam za nią zapłaciłeś.

- Ach, ta Teresa, co to za pleciuga! Powinienem ją zwolnić.

- Nie zrobisz tego. Jest za dobra, żeby się jej pozbyć.

- To fakt. - Popatrzył na dzwoniącą komórkę i odetchnął lżej. Jeanette.

- Cześć - odezwał się miękko. - Już jedziesz do domu?

- Maddie będzie za kilka minut. Powinam być za jakąś godzinę.

- Wybierzemy się na lunch?

- Chyba od razu pójdę do pracy.

- Najpierw musisz coś zjeść. Przez ostatnie tygodnie jadałaś co popadło, musisz o siebie zadbać.

- Zjadałam wszystko, co mi przynosiłeś.

- Raz na kilka dni. To za mało. Pójdziemy do „Sullivan's”, Dana Sue już się o ciebie zatroszczy. Przyjedź na plac, zobaczysz choinkę.

- Jak wygląda? Jest piękna? - W jej głosie zabrzmiała tęskna nuta.

- Wspaniała. Musisz ją zobaczyć na własne oczy.

- Niedługo tam będę.

Kiedy się rozłączył, pochwycił znaczący uśmiezek na twarzy Ronniego.

- O co ci chodzi?

- Chłopie, już po tobie. Wystarczyły dwie minuty rozmowy z Jeanette, a twój ponury nastrój przeszedł jak ręką odjął. Zrobiłeś się słodki jak baranek.

- Nie gadaj bzdur.

- Słodziutki - rozpływał się Ronnie. - Aż przyjemnie popatrzeć. Witaj w klubie miłośników Słodkich Magnolii. To bardzo ekskluzywny klub szczęściarzy.

Zamyślił się. Może rzeczywiście przy Jeanette zrobił się nieco cikliwy, ale, choć to dziwne, wcale mu to nie przeszkadzało.

Jeanette zamówiła tylko sałatę, lecz Dana Sue wiedziała swoje. Postawiła przed nią klopsa z ziemniakami i nie ruszyła się, póki talerz nie był pusty.

- Musisz jeść, bo okropnie schudłaś - upierała się. - Może jestem przewrażliwiona po Annie, ale zrobiło się z ciebie takie chuchro, że lada wietrzyk cię porwie.

Jeanette uścisnęła jej dłoń. Annie już wyszła z anoreksji, a Dana Sue zadbała, by koleżanki w akademiku miały na nią oko. Jednak co przeżyła, to przeżyła.

- Nie martw się o mnie. Szybko wrócę do formy.

- Już ja tego dopilnuję - włączył się Tom.

- Świetnie - rozpromieniła się Dana Sue. - Pójdę sprawdzić, czy Erik wyjął z pieca szarlotkę. Przyniosę ją z lodami.

- Nic więcej w siebie nie wcisnę - zaprotestowała Jeanette.

- Tom ci pomoże, prawda? - Popatrzyła na niego.

- Jak najbardziej.

Kiedy Dana Sue odeszła, Jeanette odwróciła się do Toma.

- Po coś się zgodził? Nie dam rady niczego zjeść.

- Chcesz ją zmartwić?

- Nie.

- A mnie? Mam na głowie dekorowanie miasta, więc nie mogę się denerwować, że porwie cię wiatr.

- Wcale tak bardzo nie schudłam.

Dotknął palcem jej policzka.

- Trochę schudłaś - rzekł z powagą. - Tęskniłem za tobą. Cieszę się, że już wróciłaś.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Ja też się cieszę.

- Jak tata?

- Nie jest zadowolony, że trzymają go na rehabilitacji, ale jakoś to wytrzymuje.

- A twoje stosunki z rodzicami?

- Poprawiły się. Lekarz przekonał ojca do leków na depresję. Krzywi się, ale je bierze. Być może będą próbować innych, by dobrać optymalną kurację. - Pokręciła głową. - Jak pomyśle, że straciliśmy tyle czasu... Ani ja, ani mama nie wpadłyśmy na pomysł, że to coś więcej niż rozpacz po stracie syna.



- Ty byłaś wtedy dzieckiem, potem wyjechałaś. Matki też nie powinnaś winić. Wiele osób nie odróżnia depresji, na którą cierpią ich bliscy, od żalu czy przygnębienia. Zwłaszcza że twoja mama sama była w rozpacz.

Uśmiechnęła się, słysząc, jak broni jej matki.

- Bardzo cię polubiła. Zjednałaś ją sobie, wspierając mnie i przywożąc jedzenie. - Zerknęła na niego z ukosa. - Mówi, że jesteś moim aniołem stróżem.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się. - A ty? Co o tym myślisz?

- Że brakowało mi ciebie bardziej, niż się spodziewałam - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - O wiele bardziej.

Spojrzał na nią z wahaniem.

- Aha - rzekł wolno. - O ile bardziej? Nie uciekła wzrokiem.

- Jeszcze mnie nie pocałowałaś.

- To się da łatwo naprawić. - Przyciągnął ją lekko i pocałował.

Oddała mu pocałunek. Gorąco i namiętnie.

- Och... - mruknął oszołomiony. - Co cię opętało?

- Jeden taki facet... - Uśmiechnęła się delikatnie. W tym momencie zadzwoniła jego komórka, ale Tom nawet nie drgnął. - Nie powinieneś odebrać? - zapytała, ubawiona jego skupionym spojrzeniem.

- Czyżby to była propozycja? - Spojrzał na nią z nadzieją. - Tak mi się wydaje.

- Słusznie.

- I chcesz, żebym odebrał telefon?

- Bo powinieneś. Odpowiadasz za udekorowanie miasta, to poważna sprawa.

- Mamy ważniejszą.

Jeanette wyjęła mu komórkę z kieszeni.

- Odbierz. - Podała mu telefon. Wyłączył go.

- To o czym rozmawialiśmy?

- O Bożym Narodzeniu.

- O uwiedzeniu - sprostował.

- Ach, no tak. - Westchnęła. - Ale muszę iść do pracy.

- Chcesz iść do pracy? - spytał zdumiony. - Teraz?

- Nie chcę, ale po prostu muszę.

- Wcale nie musisz - z uśmiechem powiedziała Dana Sue, stawiając przed nią szarlotkę.

- Długo tak podsłuchujesz? - nerwowo spytała Jeanette.

- Tak długo, że lody zdążyły się rozpuścić, a mnie zrobiło się gorąco. - Popatrzyła na Jeanette. - Zadzwoń do Maddie i powiem, że kazałam ci iść do domu odpocząć.

- Zrób to - powiedział Tom, nie odrywając oczu od Jeanette.

- Ale...

- Zrób to - powtórzył Tom.

Dana Sue popatrzyła na nią oczekująco.

- Zdecyduj.

Jeanette poczuła dłoń Toma przesuwającą się po jej udzie. To było takie... ekscytujące.

- Zrób to - wyszeptała, wysuwając się z łóża i zabierając płaszcz.

- No nie - wymruczała Dana Sue, wachlując się serwetką i odprowadzając ich wzrokiem.

Jeanette obejrzała się przez ramię.

- Tylko nie zapomnij zadzwonić do Maddie, zanim spotkasz się z Ronniem - rzuciła z uśmiechem.

Dana Sue oblała się rumieńcem.

- Skąd wiedziałaś?

- Chyba jest coś w powietrzu - odpowiedziała, przepelniona cudownym oczekiwaniem. Jak to się dzieje, że jest gotowa iść do łóżka z mężczyzną, z którym nie chciała się spotykać? Będzie musiała się nad tym zastanowić. Nie teraz, później. Wiedziała tylko, że to właściwa decyzja, bo od początku się na to zapowiadało. Swymi emocjami zajmie się potem.

Gnał jak szalony, od czasu do czasu zerkając na siedzącą obok Jeanette.

- Nie wycofasz się w ostatniej chwili, co?

Popatrzyła na niego poważnie.

- Nie.

- To dobrze, bo inaczej musiałbym wskoczyć pod zimny prysznic. Albo do stawu. - Zatrzymał się pod jej domem, wyłączył silnik. - Jeanette, co się stało? Nie chciałaś się ze mną umówić, choć tyle razy cię prosiłem, a teraz od razu przechodzisz do kolejnego etapu.

- Naprawdę chcesz to drażnić? - Roześmiała się.

- Nie chcę, ale muszę. Czy to wyraz wdzięczności za to, że byłem przy tobie, kiedy twój ojciec leżał w szpitalu?

- Bardzo mi pomogłeś, ale to za mało, żeby iść z tobą do łóżka.

- W takim razie dlaczego? Zarzekałaś się, że nie zamierzasz się ze mną wiązać.

- Oboje już wtedy wiedzieliśmy, że to się nie uda,

- Naprawdę? Byłem pewien, że tego nie chcesz

- I miałeś rację, choć to wcale cię nie ostudziło - Popatrzyła mu w oczy. - Wspaniale całujesz. Ktoś już ci to powiedział?

- Owszem. - Nie miał pojęcia, czemu tak ją naciska, lecz intuicyjnie czuł, że nie powinien skorzystać z jej nastroju, bo tym samym przekreśli swoje szanse. - To o to chodzi? Podobają ci się moje pocałunki?

Uśmiechnęła się zmysłowo.

- Och tak - powiedziała wolno.

Z jakichś niezrozumiałych względów ta odpowiedź tylko wzmogła jego niepokój.

- Chyba powinienem odwieźć cię do pracy, a sam wrócić na plac.

Popatrzyła na niego skonsternowana.

- Jak to? Co ja takiego powiedziałam? To miał być komplement.

- Zrozumiałem to inaczej. Masz ochotę przespać się ze mną.

- To był komplement - powtórzyła.

Tom popatrzył na nią posepnie, potem włączył silnik.

- Jak byś się czuła, gdybym ci oświadczył, że pociąga mnie jedynie twoje ciało?

Zamurowało ją.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Nie?

Zawahała się, wreszcie wyszeptała:

- Myślałam, że będziesz zadowolony... Że dostaniesz to, czego chciałeś.

Tom przymrużył oczy.

- A czego według ciebie chciałem?

- Seksu, niezobowiązującej przygody. Czegoś, co umili ci czas w Serenity.

Zmroziło go.

- Jeanette, tak nisko siebie cenisz?! Owszem, chciałbym się z tobą przespać, marzę o tym od chwili, kiedy cię ujrzałem, ale już wtedy wiedziałem, że to będzie coś więcej niż tylko seks.

- Ale powiedziałaś... - Zabrakło jej słów. - Nie zamierzasz tu zostać na dłużej. Trochę trwało, nim się z tym pogodziłam, ale trudno, niech tak już będzie.

Takie podejście jeszcze bardziej go rozeźliło. Sam już nie wiedział, czy jest zły na nią, czy na siebie.

- Zadowolisz się przelotnym romanssem? Skinęła głową, ale minę miała żalną.

- Nie znasz mnie, ale i siebie również, skoro w to wierzysz. - Wycofał samochód. Musiał odstawić ją do klubu, i to jak najszybciej, nim pokusa weźmie górę nad poczuciem przyzwoitości.

Nie odezwał się, póki nie podjechał pod spa. Wtedy dopiero spojrzał na Jeanette.

- Posłuchaj, dla mnie to nie jest tylko seks. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, bo zakochałem się w tobie. Daj mi znać, jeśli z tobą będzie tak samo.

Popatrzyła na niego oszołomiona, po chwili wyskoczyła z samochodu. Westchnął, odprowadzając ją wzrokiem. Pięknie się spisał. Teraz musi stawić czoło miłośnikom świątecznych obchodów. Wspaniała perspektywa.

Słowa Toma wciąż dudniły jej w uszach, kiedy przestępowała próg klubu. Wsunęła głowę do pokoju Maddie.

- Margarita u mnie wieczorem, dobrze? - W jej głosie zabrzmiała desperacja.

- Ty tutaj? - zdumiała się Maddie. - Nieważne. Mam zawiadomić resztę?

- Tak, proszę. - Nie czuła się na siłach odpowiadać na pytania przyjaciółek. Bała się, że się załamie.

- Chcesz pogadać? - spytała Maddie. Jeanette pokręciła głową.

- Wieczorem, dobrze?

- Jesteśmy u ciebie o siódmej.

Wiedziała, że może na nie liczyć. Zawsze się wspierały, w trudnych sytuacjach służyły życzliwą radą. Tego jej teraz trzeba. Tom ją kocha? Powiedział to. Ba, te słowa po prostu rzucił jej w twarz.

Obsłużyła czekającą na nią klientkę. Była tu pierwszy raz i wyszła zadowolona z torbą wypchaną drogimi kosmetykami.

W gabinecie zjawiała się Mary Vaughn. Przy niej nie było łatwo się maskować.

- Okropnie wyglądasz - zauważyła z miejsca.

- Ale twój ojciec podobno już ma się lepiej?

- Tak, dziękuję.

- Widziałam, jak wychodziłaś z Tomem z restauracji - ciągnęła Mary Vaughn, przyglądając się jej w lustrze. - Promieniałaś. Co się stało, że teraz jesteś taka przygaszona? Pokłóciliście się?

- Nie. - Miała nadzieję, że jej znajomość z Tomem nie ucierpiała. - Jak ci poszły rozmowy z chórami?

Mary Vaughn niechętnie przystała na zmianę tematu.

- Wszystkie chóry chcą śpiewać tę samą kolędę. Tłumaczę dyrygentom, że wybór nie ogranicza się do tej jednej, ale to jak mówienie do ściany. Każdy z nich czuje się gwiazdą. Szkoda gadać.

- A jak ci się układa z Sonnym? Planujecie święta?

- Gdy w oczach Mary Vaughn błysnęły łzy, szybko dodała: - Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

- Nic złego nie powiedziałaś. Układa nam się świetnie. Tylko że on kogoś ma - powiedziała smętnie. - Widziałam ich wczoraj w „Sullivan's”. Ta kobieta pracowała u niego w biurze, teraz awansowała. Domyślam się, w jaki sposób. Niektóre kobiety nie mają oporów.

- Czemu się tym przejmujesz? - Jeanette przyjrzała się jej uważnie. - Już od dawna nie jesteście małżeństwem.

- To prawda, ale zaczynam się zastanawiać, czy nie popełniliśmy błędu. Chodzi mi o rozwód.

- Zależy ci na nim? - zdumiała się.

- Tak. Tylko zachowaj to dla siebie. Nie chcę, żeby ludzie się dowiedzieli. Dotarło do mnie, że Sonny to świetny facet. Niby zawsze o tym wiedziałam, ale dopiero teraz dotarło do mnie, jak dobrze byliśmy z sobą zgrani. Niczego nie musieliśmy sobie tłumaczyć, rozumieliśmy się bez słów, a to nieczęsto się zdarza. Może musiałam go stracić, mówię nie o rozwodzie, ale o tej kobiecie, by to pojąć.

- Chciałabyś, żeby do ciebie wrócił?

- Tak...

- Nie jestem właściwą osobą do udzielania rad w tym zakresie, ale jeśli nie jesteś pewna, to nie burz jego związku, nie próbuj na nowo zdobyć Sonny'ego.

- Wiem. Już tyle razy go skrzywdziłam, nie mogę tego powtórzyć. Ale skąd mam mieć pewność, jeśli nie spróbujemy jeszcze raz?

- Spędzicie razem święta. Może wtedy znajdziesz odpowiedź.

- Siedzenie z założonymi rękami nie jest w moim stylu. Lubię jasne postawienie sprawy.

- Decyzja należy do ciebie. - Sama też tak zrobiła i bardzo tego żałowała. - Ale nie ryzykuj, jeśli nie jesteś gotowa na odmowę.

- Skarbie, bezustannie spotykam się z odmową, to dla mnie chleb powszedni.

- To może powinnaś tym razem wziąć na wstrzymanie.

- Zastanowię się nad tym. - Oczy jej błysnęły. - Ale nie pozwolę, by przez ten czas ta cwaniara ukradła mi mojego chłopca.

Jeanette powściągnęła uśmiech. Obecny związek Sonny'ego, nieważne, jaki w istocie ma charakter, i tak jest poważnie zagrożony.

RS



## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Jeanette rozlewała do kieliszków zmrożoną margaritę, gdy do mieszkania bez pukania wkroczyła Dana Sue.

- Co, do diabła, się stało? - zapytała bez wstępów, stawiając na stole misę z guacamole i torbę chipsów. - Oboje z Tomem byliście rozgrzani do czerwoności, gdy wychodziliście z restauracji.

- Wiem - z żalem powiedziała Jeanette.

W tej samej chwili weszła Maddie z tacą smakowitych czekoladowych ciastek i powiedziała:

- Poczekaj, aż przyjdzie Helen, żebyś nie musiała powtarzać.

- Już jestem - od progu odezwała się Helen. Przyniosła sery i krakersy.

- No więc o co chodzi?

Jeanette z wdzięcznością popatrzyła na przyjaciółki. Naprawdę przyjeły ją do swego grona! Wybuchnęła płaczem.

- No już dobrze. - Helen, najbardziej wstrzemięźliwa w okazywaniu uczuć, poklepała ją po plecach

Dana Sue podała paczkę chusteczek i zarządziła:

- Chodźmy do pokoju.

Zaniosły przekąski i kieliszki do salonu, rozsiadły się wygodnie.

- Teraz mów - nakazała Dana Sue. - Kiedy ostatni raz widziałam ciebie i Toma, szliście prosto do łóżka.

- Jak to? - zdumiała się Maddie. - Mówiłaś, że ona musi odpocząć...  
Och, no tak.

- No i co się stało? - dociekała Helen. - Okazał się kiepski?

Jeanette zdusiła śmiech, a może łkanie.

- Nie wiem, jaki jest w łóżku. On... to było okropne.

- On co? - rzeczowo przepytowała Helen.
- Daj jej powiedzieć. - Maddie szturchnęła ją w bok.
- Odrzucił mnie - wyznała Jeanette. - A potem powiedział, że mnie kocha. Albo że tak myśli. Już sama nie wiem, wszystko poplątałam.
- Wyznał ci miłość, a ty nic nie pamiętasz? - zdumiała się Dana Sue.
- To było po tym, jak mnie odrzucił...
- Powiedział, dlaczego nie chce iść z tobą do łóżka? - zainteresowała się Maddie. - Musiał mieć jakiś powód. Wszyscy wiedzą, że odkąd Tom tu przyjechał, oczu nie może od ciebie oderwać.

Jeanette dopiła margaritę.

- Powiedział... że chodzi mi tylko o jego ciało. Przyjaciółki wlepiły w nią oczy, popatrzyły po sobie, a potem wybuchnęły śmiechem. Po chwili Jeanette dołączyła do nich. Śmiały się do rozpuku.

- Chyba się trochę wstawiłam - wyznała Jeanette. Brzuch bolał ją od śmiechu.

- Jedną margaritą? Nie opowiadaj - rzekła Helen.

- Wydaje mi się, że umknęła ci najważniejsza rzecz, jaka miała miejsce - zaczęła Maddie, gdy nieco się uspokoiły. - Tom powiedział, że cię kocha. Bo to chyba jest najważniejsze, czyż nie?

Jeanette naląła sobie kolejnego drinka.

- Chciałam się z nim przespać, mimo że jego matka jest taką wiedźmą.  
- Uśmiechnęła się blado.

- Mówiłam wam, że moja matka bardzo go polubiła, a on ją. A ja jego matki nie znoszę.

- Ona chyba naprawdę się zaprawiła - wyszeptała Helen. - Jeanette, ile wypijaś?

- Och, zaledwie jedną czy dwie margarity przed waszym przyjściem.

- No to nie mamy co dalej ciągnąć tej rozmowy.

- Helen wzniosła oczy do nieba. - Jutro do tego wrócimy. Teraz idź się przespać.

- Zostanę z nią - zaofiarowała się Dana Sue. Kiedy Helen i Maddie pożegnały się i wyszły, zaciągnęła Jeanette pod prysznic, a potem dała jej aspirynę i położyła do łóżka.

- Jakoś się z Tomem dogadacie - pocieszyła ją.

- Naprawdę nie wiem jak.

- Będzie dobrze, zobaczysz.

- Może - wyszeptała sennie i zamknęła oczy. Może wymyśli jakiś sposób.

Tom był pogrążony w lekturze dokumentów, gdy do gabinetu weszli Cal, Ronnie i Erik.

- Co się stało? - zaniepokoił się.

- Uraziłeś Jeanette - oznajmił Cal. Tom zamrugał, słysząc jego ton.

- I co? Musicie sprawić mi manto? Ronnie uśmiechnął się szeroko.

- Coś w tym stylu. Mamy przemówić ci do rozumu.

- Zabij mnie, ale nie pojmuje, na czym polega twoja wina - rzekł Erik.

- Powiedziałeś jej, że ją kochasz, tak?

- Tak. - Niczemu już się nie dziwił. Zaczynał rozumieć, że tu nic nie uchowa się w tajemnicy. - Ale czemu to was obchodzi? - Ledwie to wypowiedział, machnął ręką. - Dobra, już wszystko jasne. Słodkie Magnolie w akcji.

- Jakbyś zgadł - potaknął Cal. - Wczoraj wieczorem spotkały się u Jeanette przy margaricie. Jeanette się popłakała. A to oznacza dla ciebie kłopoty, brachu.

- Jeanette płakała? - powtórzył.

- Też to słyszałem - potwierdził Erik.

- I co teraz będzie? - zapytał Tom. - Wytarzacie mnie w smole i w pierzu? - Nie miał pewności, do czego są zdolni. W zasadzie są w porządku, ale te ich żony...

- Musimy cię nakłonić, by to już się więcej nie powtórzyło - oznajmił Ronnie.

- Wystarczy moje słowo? - spytał Tom.

- Dla mnie tak - powiedział Erik, a reszta zgodziła się z nim.

Znowu zapanowała między nimi komitywa. Umówili się wieczorem na piłkę.

- W sobotę pomożesz w przeprowadzce? - zapytał Cal. - Czy wolisz się wycofać?

- Możecie na mnie liczyć - zapewnił.

- To dobrze - podsumował Erik. - Bo musisz się teraz bardzo starać. Płakała przez ciebie, a to niedopuszczalne. Tak orzekły Słodkie Magnolie, koniec, kropka.

Tom pokręcił głową. Nigdy nie miał problemów z kobietami, a teraz zupełnie sobie nie radził. Widać musi się jeszcze sporo nauczyć.

Jeanette pakowała ostatnie kartony i nie miała czasu zastanawiać się, o czym mężowie przyjaciółek rozmawiali z Tomem. Maddie wprawdzie zapewniała, że Tom pomoże przy przeprowadzce, ale Jeanette nie bardzo na to liczyła. Zresztą do końca nie wiedziała, czy chce go widzieć. Jeszcze nie doszła do siebie po tym jego wyznaniu.

W sobotni poranek pod dom podjechała wynajęta ciężarówka, z której wysiedli Cal i Erik. I tylko oni.

- Wiedziałam - z poczuciem zawodu mruknęła do siebie Jeanette. - Wszystko jest spakowane. Kartony nie są ciężkie, więc sama je zaniosę, a wy bierzcie się za meble.

- Kochana, my wszystko weźmiemy - zaproponował Cal. - Ty jedź do domu. Maddie, Helen i Dana Sue sprzątają, a Ronnie i Tom wzięli się do malowania. Jak przyjedziemy, pomogą nam rozładować samochód.

- Ale... - Nie miała pojęcia, że wszyscy tak się zaangażują. - Sprzątają i malują? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak. Tom uparł się na ciemnoniebieską sypialnię. Nie wiem, czy ci się spodoba, ale koniecznie chce ten kolor.

Znieruchomiała. Mówił, że chce z nią mieszkać, lecz była pewna, że to pieśń przeszłości.

- Na pewno poradzicie sobie beze mnie? - zapytała, chwytając torebkę.

- Na pewno - zapewnili z uśmiechem.

- Jeanette! - zawołał za nią Cal. - Jeśli zamierzasz go udusić, to zaczekaj na nas. Chętnie sobie popatrzymy.

- Każdy z nas to przechodził - dodał Erik.

- Nie bujaj. Przecież wasze żony was ubóstwiają.

- Ale to nie znaczy, że co i rusz ich nie wkurzamy. Zapamiętaj to sobie

- rzekł Cal. - Miłość jest skomplikowana.

- I burzliwa - dodał Erik.

- Nikt nie mówił o miłości - zareplikowała.

- Co nieco słyszeliśmy - zaśmiał się Cal.

- Wasze żony mają za długie języki.

- Myślisz, że nie wiemy? Co z tego? I tak je kochamy.

- To prawda - przyznała z westchnieniem.

Bo nawet jeśli zdradzają jej sekrety, robią to dla jej dobra.

Gdy Jeanette wpadła do gościnnej sypialni, ściany już były raz pomalowane granatową farbą. Widząc to, zatrzymała się jak wryta.

- Co ty wyrabiasz? - zawołała.

- Nie widać?

- Granatowa sypialnia? Kto zechce tu spać?

- Ja.

- Nie będziesz tu spał, w innym pokoju też nie.

- Nie tak dawno mówiłaś inaczej.

- Dżentelmen nie przypomina takich rzeczy.

- Czyli nie jestem dżentelmenem, a...

- Wstrętną świnia - dopowiedziała ze słodyczą.

Tom stłumił uśmiech. Bał się, że w ogóle nie będzie chciała z nim rozmawiać.

- Śmiejesz się? - zapytała wzburzona, podchodząc bliżej. - Powiedz, że nie.

- Nie śmieję się - powiedział, choć kąciki ust wyginały mu się podejrzenie.

- To wcale nie jest zabawne. Nie rób sobie żadnych nadziei w związku z tym pokojem.

- Za późno. Sama podsunęłaś mi parę pomysłów.

- Więc zapomnij o nich.

- Nie umiem, kochanie. Zwłaszcza gdy aż się gotujesz ze złości. Od razu chcę cię pocałować.

Cofnęła się spanikowana.

- Nic z tego.

Popatrzył na nią z powagą.

- Ostatnio wciąż zmieniasz zdanie.

- A idź do diabła! - Wybiegła z pokoju.

Tom uśmiechnął się od ucha do ucha. Poszło lepiej, niż myślał. Znacznie lepiej.

Zachował się jak skończony osioł, ale to już się nie powtórzy. Już jej nie odmówi, choć pewnie Jeanette nieprędko ponowi propozycję. A on nie należał do cierpliwych. Musi przyspieszyć bieg wydarzeń. Troszkę ją podpuścić, bo gdy się tak rozzłości, to kto wie...

Meble, już ustawione na swoich miejscach, zostały wypolerowane, podobnie drewniane parkiety. Pokoje na parterze były świeżo pomalowane i nawet granatowa sypialnia dla gości, ożywiona lśniąca białą stolarką, wyglądała naprawdę ładnie. Oczywiście Jeanette nie powiedziała tego. I celowo wybrała ten pokój na złożenie kartonów, by Tom nie robił sobie żadnych nadziei.

Pudełka po pizzy i butelki po piwie zostały wyniesione do śmietnika. Była sama w swym nowym domu. Popatrzyła po pokojach i łzy napłynęły jej od oczu. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę jej dom, że teraz zacznie zupełnie inne życie.

Skończyła się płyta i w domu zapadła cisza. Po tylu latach mieszkania w wynajętych mieszkaniach, gdy tuż za cienką ścianą miała sąsiadów, poczuła się trochę nieswojo, będąc zupełnie sama. Podskoczyła, kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi.

Odchyliła koronkową firaneczkę na drzwiach, by wyjrzeć na zewnątrz. Na ganku stał Tom. Trzymał butelkę szampana i bukiet kwiatów. Serce zabiło jej szybciej. Nie powinien przychodzić tu, gdy czuła się samotna i bezbronna.

Uchyliła drzwi.

- Co ty tu robisz?

- Trzeba uczcić twój nowy dom.

- Już to zrobiliśmy. Przecież też byłeś.

- Myślałem o bardziej kameralnym świętowaniu. - Patrzył na nią z nadzieją. Nie mogła oderwać od niego oczu. - Peszysz mnie - wyszeptała, po czym otworzyła drzwi. - Wejdz, ale tylko na chwilę. Na jedną lampkę szampana.

- Dobrze - przystał bez oporów.

- Co masz w tej torbie?

- Kieliszki. Nie wiedziałem, czy będziesz miała pod ręką. - Wyjął z torby dwa wysmukłe kryształowe kieliszki. Miała przeczucie, że są stare i bardzo cenne.

- Włamałeś się mamie do serwantki? Tom roześmiał się.

- Coś w tym stylu. Spozrzegła znak znanej marki.

- Świetny wybór.

- Cieszę się, że ci się podobają. - Odkorkował butelkę i napełnił kieliszki po brzegi. Uśmiechnął się, widząc jej minę. - Powiedziałaś, że tylko jedna lampka, więc robię, co mogę. - Podał jej kieliszek, uniósł swój. - Życzę, żebyś w tym nowym domu znalazła szczęście, bo to ci się należy.

- Dziękuję. - Stuknęła się z nim i upiła łyk. Wreszcie odważyła się spojrzeć mu w oczy i zadać to pytanie, które nie odstępowało jej przez cały dzień.

- Powiedz, co naprawdę tu robisz? Mam na myśli cały dzień, nie teraz.

- Nie wiesz?

- Nie.

- Staram się cię przeprosić.

- Za co?



- Że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. I mogłaś pomyśleć, że cię nie chcę. - Popatrzył na nią. - Jak mi idzie?

- Początek całkiem niezły. Mów dalej. Pochylił się ku niej, nie odrywał od niej wzroku.

- Zaskoczyłaś mnie. Marzyłem ó tobie i nagle twoje nastawienie diametralnie się zmieniło. Dlatego zacząłem pytać, co było kompletnie bez sensu.

- Dobrze zrobiłeś - powiedziała po dłuższej chwili milczenia. - Miałeś rację, żałowałabym później tego, co się stało, gdyby to miało nic nie znaczyć.

- Tak by nie było - zapewnił żarliwie. - To wykluczone. Nie między nami.

- Nie mów tak, bo prawda jest inna. Masz swoje plany na przyszłość, realizujesz je krok po kroku. Naprawdę cię za to podziwiam, tylko że w tych planach nie ma miejsca dla mnie.

Nie zaprzeczył, tylko skinął głową. Czyli jej obawy się potwierdziły.

Znów zapadło milczenie. Tom patrzył uważnie na Jeanette, aż wreszcie przemówił:

- Jeszcze kilka tygodni temu nie potrafiłbym pojąć, jak doszłaś do takich wniosków. Teraz to rozumiem, bo wiem, co przeszłaś po śmierci brata, co stało się z twoją rodziną. Takie rany zostają na długo, nic więc dziwnego, że się bronisz, że nie chcesz nikogo do siebie dopuścić, by znów nie zostać odrzucona.

- Mylisz się. Przez długi czas wydawało mi się, że na nic lepszego nie zasługuję. Wchodziłam w związki, które z góry były skazane na klęskę. Zawsze było coś ważniejszego niż ja: kariera, inna kobieta, różne. rzeczy.

Kiedy po kolejnym nieudanym związku przeniosłam się do Serenity, przyrzekłam sobie, że już więcej tego nie zrobię, że nie będę ryzykować.

- Jak mogę cię do siebie przekonać?

- Nie wiem, czy to możliwe. Znam twoje plany na przyszłość. Przecież ich nie zmienisz - dokończyła ze smutkiem.

- Plany się zmieniają, Jeanette.

- Ale nie w ciągu jednej nocy.

- To prawda. Potrzebuję trochę czasu, żeby ci to udowodnić.

- Ale tego czasu nie mamy. Wyjedziesz, może nie jutro czy za miesiąc, ale jednak, a ja właśnie znalazłam swoje miejsce na ziemi.

Przez chwilę milczał, ujął jej dłoń.

- A jeśli cię przekonam, że to miejsce jest w moim sercu? Może wtedy nie będzie ważne, gdzie mieszkamy.

Jak chętnie uwierzyłaby w te płynące prosto z duszy zapewnienia, w żarliwość malującą się w jego oczach, lecz już nie raz była w takiej sytuacji i nie raz się sparzyła. Tym razem tego nie robi.

- Nie chodzi o dom czy konkretne miasto.

- Wiem. Musisz mieć poczucie, że to ty najbardziej się liczysz. Tak jest i myślę, że czas to pokaże. To jedyny sposób, by się o tym przekonać.

- Jest tyle przeciwności.

- Na przykład?

- Twoja matka.

To tylko pewna uciążliwość. - Machnął niecierpliwie ręką.

- Nie cierpisz Bożego Narodzenia.

Tom roześmiał się.

- Ty też.

- Już nie. Po raz pierwszy od bardzo dawna cieszę się, że niedługo będziemy obchodzić święta. Zapach choinki przypomni mi dawne czasy. Gdy byłam dzieckiem, uwielbiałam święta. Teraz te emocje odżyły.

- To tylko krótki czas w roku. Skoro to dla ciebie takie ważne, mogę poudawać.

- Przypomnij mi swoje słowa, jeśli kiedykolwiek wylądujemy razem w łóżku.

Zaniemówił na chwilę.

- No to jak będzie? Spróbujmy od teraz do Nowego Roku zachowywać się jak para. Razem spędzimy święta, odwiedzimy naszych rodziców, spotkamy się ze znajomymi. Dla ciebie mogę nawet odśpiewać kolędy.

- Ale mi poświęcenie! Ja mam być miła dla twojej matki, a ty za to pośpiewasz sobie na głos. To według ciebie fair?

- W takim razie jeszcze pokrzyczę radośnie na rozpoczęcie bożonarodzeniowego festiwalu. Co ty na to?

Rozbawił ją. Chętnie by go zobaczyła w roli kolędnika.

- No dobrze - przystała po namyśle.

Tom rozjaśnił się.

- Mogę się wprowadzić?

- O tym nie było mowy.

- Za to było w podtekście.

- Umiesz negocjować i nie zostawiasz rzeczy niedopowiedzianych. Podtekst, też mi coś... Nic z tego. Nie licz ani na seks, ani na pokój.

- Na pewno nie chcesz wprowadzić poprawek do naszej umowy?

- Na pewno - stwierdziła stanowczo. - Ale od czasu do czasu nikt nie broni ci tego sprawdzać.

Tom popatrzył na nią przeciągle, oczy mu płonęły. Czuła, że raczej bez trudu ją przekona do zmiany zdania.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Otwarcie sezonu świątecznego zaplanowano na drugą sobotę grudnia. W poprzedzający ją poniedziałek po raz ostatni zebrał się społeczny komitet. Burmistrz był przejęty jak dziecko, dopytywał o najdrobniejsze szczegóły, bacząc, by wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Martwił się tylko, że jego wnuczka nie przyjedzie na uroczyste zapalenie światełek na miejskiej choince. Rory Sue miała ostatnie zaliczenia i Mary Vaughn spodziewała się jej dopiero w następnym tygodniu. Jeśli w ogóle się zjawi, bo jak dotąd zawzięcie upierała się przy wyjeździe na narty.

Myśl o córce i nadchodzących świętach przygnębiła ją. Dopiero teraz zdawała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej rodzinnej atmosfery, czasu spędzanego z bliskimi. I jak nie doceniała swego wcześniejszego życia. Rozstanie z Sonnym przyjęła spokojnie, finansowo świetnie sobie radziła, lecz coraz bardziej dopiekała jej samotność.

Jeanette spostrzegła jej ponury nastrój i po zebraniu wyciągnęła ją na pogaduszki. Poszły do klubu, usiadły na patio. Jeanette przyniosła herbatę i jagodowe muffinki.

- Teraz mów - poleciła. - Chodzi o Rory Sue?

Mary Vaughn sięgnęła po babeczkę, przełknęła smakowity kęs.

- Mówiłam ci, że chciała wyjechać na narty, dlatego nakłoniłam Sonny'ego, byśmy razem zaplanowali święta, tak jak kiedyś. Sonny mnie nie zawiódł, zachował się naprawdę wspaniale.

Jeanette popatrzyła na nią uważnie.

- Poszłaś z nim do łóżka?

- Nie. - Poczula, że się rumieni. Zniżyła głos.

- Ale chętnie bym to zrobiła. Ni stąd, ni zowąd zaczął pociągać mnie były mąż. Czy to nie wariactwo?

- Nie przesadzaj. Sonny jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, więc co w tym dziwnego, że ci się podoba?

- Ale teraz bardziej niż wtedy, gdy byliśmy razem

- wyznała, odgryzając kawałek ciastka. - Nie doceniałam go. Uważałam, że zawsze będzie mnie kochać, że to pewne jak w banku.

- A teraz?

- Teraz widzę, ile straciłam. Jest przystojny, seksowny, a najważniejsze, że niczego nie muszę mu tłumaczyć, niczego ukrywać. Zna mnie jak nikt, ale mnie nie ocenia. - Ukryła twarz w dłoniach. - Już pewnie masz dość tych moich wynurzeń. Poza tobą nie mam nikogo, przed kim mogłabym się otworzyć, uporządkować to, co czuję. Mówienie do samej siebie to nie to samo.

- Wiem - łagodnie powiedziała Jeanette. - Wydaje mi się, że po prostu dorosłaś i zakochałaś się.

Mary Vaughn westchnęła ciężko.

- Też się tego boję.

- Dlaczego?

- Bo może on już kogoś ma. Na razie niczego nie wyniuchałam, wiem tylko, że mnie już nie chce. Daję mu sygnały, lecz on nie reaguje.

- No wiesz, z mężczyznami lepiej grać w otwarte karty, mówić wprost.

- Zapytałam, czy nie popełniliśmy błędu, rozwodząc się. Powiedział, że nie. Nie naciskałam dalej.

- Posłuchaj, ludzie się zmieniają, zaczynają inaczej widzieć różne rzeczy. Powinnaś z nim porozmawiać, dopiero wtedy będziesz wiedziała coś na pewno.

Mary Vaughn sięgnęła po resztę babeczki, ale zostały tylko okruszki. -

- To Sonny chciał rozwodu. Wszyscy myślą, że to ja go zostawiłam, ale było inaczej.

- Mówisz, że spotyka się z kimś, ale święta chce spędzić z tobą i Rory Sue, a to znaczy, że tamta znajomość nie jest czymś poważnym. Jeśli naprawdę ci na nim zależy, zaryzykuj i powiedz mu o tym.

- Zrobiłaś tak kiedyś?

- Owszem, nawet nie tak dawno. Choć muszę przyznać, że nie wyszłam na tym najlepiej. Ale przynajmniej zrobiłam krok do przodu. Moja mama zawsze powtarzała, że jeśli ci na czymś zależy, to trzeba o to walczyć.

Mary Vaughn szeroko otworzyła oczy. Tym przesłaniem sama się kierowała, mozolnie budując karierę. Czemu teraz o tym zapomniała? Bała się porażki, dlatego nie podjęła walki.

Dopiła herbatę, podniosła się i serdecznie uścisnęła Jeanette.

- Strasznie ci dziękuję.

- Tylko cię wysłuchałam.

- Okazałaś mi serce, gdy byłam w potrzebie. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Po uroczystym zapaleniu lampek na miejskiej choince zapraszamy do nas sąsiadów i znajomych. Mam nadzieję, że wpadniesz. Zabierz też Toma.

- Z przyjemnością. Zapytam go i dam ci znać.

- Daruj sobie, po prostu przyjdźcie.

- Sonny też będzie?

- Ma być. - Wiedziała, że może na niego liczyć. Mało kto był taki solidny jak on.

Choć jeśli otworzy się przed nim, to bardzo możliwe, że pryśnie z Serenity, by znaleźć się od niej jak najdalej.

Tom popatrzył na grubą kopertę ze starannie wykaligrafowanym adresem, która nadeszła popołudniową pocztą. Od razu się domyślił, że to zaproszenie na doroczne przyjęcie wydawane przez rodziców w drugą sobotę grudnia. Ten termin kolidował z otwarciem sezonu bożonarodzeniowego, czyli na pewno do nich nie pojedzie. Z całą pewnością nie będą zadowoleni, więc im szybciej to załatwi, tym lepiej.

- Cześć, mamó - przywitał się, słysząc w słuchawce jej głos.

- Jak się masz, synku? Dostałeś zaproszenie?

- Przed chwilą.

- Oczywiście się stawisz. Z kimś, czy może zaprosić ci kogoś do towarzystwa? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Mamó, naprawdę bardzo żałuję, ale nie dam rady przyjechać.

Na chwilę zamilkła zaskoczona.

- Co to znaczy, że nie dasz rady przyjechać? Co rok wydajemy to przyjęcie. Musisz być. Odwołaj inne zajęcia.

- Nie mogę. Dokładnie tego dnia inaugurujemy sezon gwiazdkowy. Muszę być na miejscu.

- Po co? Żeby zapalić lampki na choince? - szydziła.

- To też. Muszę dopilnować, czy wszystko idzie zgodnie z planem.

- Nie wygłupiaj się. Nie musisz przy tym być. Znajdź kogoś na swoje miejsce. Na przykład tę swoją przyjaciółkę.

- Jeśli chodzi ci o Jeanette, to ona też ma swoje zadania i nie da rady mnie zastąpić.

Matka jeszcze się upierała, lecz nie zamierzał się poddawać.

- W takim razie przyjeźdź w następny weekend - uległa wreszcie. - W piątek wydajemy kameralne przyjęcie dla wspólników ojca. Skoro jesteś taki zajęty, od razu zarezerwuj sobie ten termin.



Najchętniej by odmówił, lecz wolał nie przeciągać struny.

- Dobrze, przyjedziemy.

- Przyjedziecie? - zapytała podejrzliwie.

- Jeanette i ja.

- Tom, to absolutnie nie wypada.

- Słucham? - zapytał lodowatym tonem. - Jeśli Jeanette nie jest mile widziana w waszym domu, muszę poważnie się zastanowić, czy jest tam miejsce dla mnie.

- Już dobrze, zabierz ją - zniecierpliwiła się.

- Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli nie będzie się dobrze czuła.

- Będę miał pretensje, jeśli nie zrobisz wszystkiego, co w twojej mocy, by poczuła się mile widzianym gościem. Mamo, zrób to dla mnie, proszę. Jeśli to zrobisz, możesz liczyć na mój udział w pozostałych imprezach.

- Ależ ty jesteś uparty i zawzięty!

- Uczyłem się od mistrzów. Pozdrów ode mnie tatę, dobrze?

- Jasne, ale chyba oszczędzę mu szczegółów.

- Na pewno nie, jak cię znam. - Roześmiał się. - Kocham cię, mamo.

Westchnęła teatralnie.

- Ja ciebie też.

Zamyślił się. Nie miał pojęcia, czemu matka tak uwzięła się na Jeanette. Czuł przez skórę, że nie chodziło o osobistą animozję. Musiało się kryć w tym coś więcej.

Czy widzą w niej zagrożenie? Boją się, że będąc z nią, odwróci się od nich?

Jeśli ich znajomość się rozwinie, będzie musiał zdobyć się na poważną rozmowę z rodzicami. Jeśli odrzucą Jeanette... nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. Po co tak daleko wybiegać myślą w przyszłość?

Jeanette siedziała nad rozłożonymi na biurku papierami, gdy w drzwiach stanął mężczyzna uderzająco podobny do Toma, tylko znacznie od niego starszy. Przeżyła szok. Widziała go kiedyś tylko raz i to z daleka, lecz nie miała wątpliwości, kim jest.

- Czym mogę służyć, panie McDonald? Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Pani wie, kim jestem?

- Jest pan bardzo podobny do Toma. Raz widzieliśmy się z daleka. Zechce pan usiąść? Chyba że woli pan wyjść na patio?

Usiadł po drugiej stronie biurka i obrzucił Jeanette zaciekawionym spojrzeniem.

- Rozumiem już, co mój syn w pani widzi - rzekł spokojnie. - Ma pani urodę leśnego duszka.

Nie miała pojęcia, jak to skomentować, więc milczała.

- Pani do niego nie pasuje.

- Jeszcze niedawno sama tak uważałam.

- Naprawdę? - zdumiał się.

- To prawda, jesteśmy z innych światów, ale Tom prawie przekonał mnie, że da się je połączyć.

- Prawie?

- Potrafi być bardzo przekonujący.

Ta odpowiedź wyraźnie nie była mu w smak. Przymrużył oczy.

- Co trzeba, żeby się pani wycofała?

- Słucham? - Nie wierzyła własnym uszom. Albo się przesłyszała, albo go źle zrozumiała.

- Podobno mieszkała pani w Paryżu, więc raczej nie jest pani naiwną panienką, która święcie wierzy, że miłość pokona wszelkie przeszkody. Zna pani życie.

- Tak myślę - odparła ostrożnie.

- Co pani chce za zerwanie z Tomem?

- Proponuje mi pan pieniądze, żebym przestała się z nim widywać?!

- Pieniądze, posadę w innym mieście, co pani zechce. Mój syn ma przed sobą błyskotliwą karierę, jeśli tylko wyleczy się z tego chorego pomysłu służby w lokalnej administracji. Może zajść bardzo daleko, ale musi mieć żonę z odpowiedniej sfery, z pozycją społeczną.

Do tej pory nie czuła się bardzo dotknięta, lecz teraz miała dość. Podniosła się.

- Myślę, że powinien pan wyjść.

- Wyjdę, gdy się dogadamy.

- W takim razie jeszcze pan sobie tu posiedzi. Nie mam zamiaru dłużej pana słuchać, to uwłacza nie tylko mnie, ale również i pańskiemu synowi. Nie docenia go pan i nie szanuje jego oddania i ciężkiej pracy. Tom kocha to, co robi, z oddaniem pracuje dla innych.

- Organizuje kiermasz bożonarodzeniowy - powiedział drwiąco. - Człowiek z takim potencjałem powinien ustanawiać prawa, ulepszać świat, a nie martwić się o to, jak ubrać jakąś idiotyczną choinkę.

- Bo do takich prac pan i pańska żona wynajmujecie ludzi niskiego stanu, tak? Słyszałam o tym spektakularnym dekorowaniu waszego domu na święta. Czyli komuś na tym zależało. Może pana żonie? Choć sama nie powiesiła choćby jednej bombki. Do tego są robole.

- Rzecz w tym...

- Rzecz w tym, że jesteście snobami. I nie mam zamiaru dłużej słuchać pana wywodów na temat mnie czy pańskiego syna. To, co jest między nami, to nie pana interes.

- Myli się pani - rzekł ostro. - Nie dopuszczę, by związał się z kimś takim jak pani.

- Pan nawet mnie nie zna - zareplikowała. - A teraz proszę wyjść.

- Powiem mojemu synowi, jak niegrzecznie mnie pani potraktowała - oświadczył wyniośle.

Jeanette tylko się na to uśmiechnęła.

- A ja mu powiem, jaki pan był obelżywy i chamski. Jak pan myśli, co bardziej go zdenerwuje?

Zaskoczyła go odpowiedzią.

- Kobieta z ikrą, muszę przyznać - rzekł niechętnie.

- Niech pan to sobie zapamięta.

- Mówiłem Clarisse, że to fatalny pomysł - mruknął jakby do siebie.

Mogła się domyśleć, że to była sprawka jego wrednej połowicy. Nawet nie była zaskoczona. Tylko po co to robiła?

- Zgadzam się, to był fatalny pomysł.

W jego oczach przemknęło coś na kształt szacunku.

- W innych okolicznościach... - urwał.

- Tak? - podchwyciła.

- Ta zła krew między panią a moją żoną ma głębsze przyczyny.

- Domyślam się, że nie chodzi o tamto zdarzenie sprzed lat, kiedy pana żona dostała uczulenia, prawda?

Przez chwilę rozważał coś w duchu.

- Jak pewnie pani wie, inaczej wyobrażałem sobie przyszłość Toma.

- Owszem, wspominał mi o tym.

- Nie chcę nim kierować, ustawiać go czy coś w tym rodzaju.

- Ale pańska żona jak najbardziej. Popatrzył na nią z żalem.

- Pani ma takie samo podejście jak mój syn. Nie zdajecie sobie sprawy, jak ważna jest w pewnych kręgach pozycja społeczna. Clarisse pochodzi z bardzo bogatej, szanowanej rodziny. Moja kiedyś również mogła się tym poszczycić, lecz nim dorosłem, mój ojciec pogrzebał naszą legendę. Podjął kilka nietrafionych decyzji, stracił majątek na hazardzie. Miał wiele romansów, z którymi się nie krył. Wszyscy w Charlestonie o tym wiedzieli. To upokarzało moją matkę, a ja i mój brat musieliśmy bardzo się starać, by rodzina nie straciła wszystkiego.

- Współczuję - powiedziała cicho. Chyba zaczynała rozumieć.

- Trudno to sobie wyobrazić, jeśli samemu się tego nie doświadczy. Wchodziłem w życie, miałem dobre koneksje, ale ani grosza przy duszy. Poznałem Clarisse. Była doskonałą partią, mogła wybierać i przebierać. Jej rodzice znali moją sytuację, nie wspominając już, że doskonale wiedzieli o wyczynach mojego ojca. Nie chcieli słyszeć o ślubie. - Zamyślił się, przenosząc się pamięcią w przeszłość.

- Clarisse była cudowna. Kochała mnie i wierzyła we mnie. Kiedy jej rodzice nadal się opierali, uciekliśmy i wzięliśmy ślub. - Popatrzył na Jeanette. - Tak bardzo we mnie wierzyła. Teraz pani rozumie, dlaczego jestem gotowy zrobić dla niej wszystko.

- Ta, oczywiście... Zaczynam też rozumieć, dlaczego chroni Toma przede mną. Nie chce, by wciąż musiał mnie bronić, bo nie jestem z jego środowiska. Pragnie, by żona ułatwiała mu życie, a ja mu tego nie zapewnię.

- Wprost niebywałe, że potrafi pani spojrzeć na to z jej punktu widzenia - rzekł ze szczerym podziwem - i to po tym, jak karygodnie zachowałem się wobec pani. Bardzo przepraszam.

Wierzyła w jego szczerłość.

- Czy Tom zna pana historię?

- Nie. Chcieliśmy, by nasze dzieci miały szczęśliwe dzieciństwo, więc nie obarczaliśmy ich mrocznymi rodzinnymi sekretami.

- Może byłoby lepiej, gdyby Tom wiedział, co kiedyś się wydarzyło.

- Chyba tak. Wmawialiśmy sobie, że to stare czasy, zamknięta karta, lecz to chyba nie do końca jest tak. Coś z tego w nas pozostało, dlatego dzisiaj tak się zachowujemy.

- Niech mu pan o tym powie.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że zrobi pani coś dla mnie.

- Nie zerwę z pana synem - zastrzegła się.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Proszę tylko o jedno: by dała pani mojej żonie czas, żeby się oswoiła. Gdy panią lepiej pozna, przekona się, że jest pani odpowiednią kobietą dla Toma. Ma pani charakter i jest wierna sobie, a ona to bardzo ceni.

- Dziękuję.

Popatrzył na nią z nadzieją.

- Możemy zapomnieć o tej rozmowie?

- Nie do końca. Otworzył mi pan oczy na istotne sprawy.

- Czyli będzie z tego coś dobrego? Uśmiechnęła się.

- Chyba tak.

- W porządku. Przyjedzie pani z nim do nas na przyjęcie? Tom powinien być obecny, a żona ma przecucie, że bez pani się nie pojawi.

Nie zamierzała zdradzać, że nic nie słyszała o tym przyjęciu. Skinęła głową.

- Jeśli zechce mnie zabrać.

Pan McDonald uśmiechnął się lekko.

- Kogoś mi pani przypomina.

- Tak?

- Zabrzmiało to dziwnie, ale ma pani wiele wspólnego z moją żoną. Obie jesteście uparte i wiecie, czego chcecie. A kiedy kochacie, to całą sobą, bez oglądania się na konsekwencje. Nic dziwnego, że mój syn stracił dla pani głowę. Aż mi go żal.

- Słucham?

- Powiem to pani jako człowiek, który od czterdziestu lat jest mężem takiej kobiety jak pani. Życie z nią jest bardzo ciekawe. Niełatwe, ale interesujące.

Wyszedł, a ona stała oszołomiona. Naprawdę otworzył jej oczy. Gdyby jeszcze godzinę temu ktoś powiedział, że polubi człowieka, który chciał ją przekupić, wyśmiałyby go. Pan McDonald był z nią szczery i tym ją sobie zjednał. Chyba też wzbudziła w nim szacunek. Ciekawe, czy to się jakoś odbije na przyszłości.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Od kilku godzin próbował dodzwonić się do Jeanette, niestety nie odbierała komórki. Musiał się z nią rozmówić, więc poszedł do klubu. Było już ciemno, lecz w jej pokoju paliło się światło. Zastukał. Jeanette odchyliła żaluzję, wyjrzała i odłożyła trzymany w ręku ciężarek, którym chyba zamierzała się bronić.

- To ty? Chciałeś mnie nastraszyć?

- Wpuść mnie. Musimy pogadać.

- Jestem zajęta.

- Proszę. Na pięć minut.

- Mam mnóstwo pracy. Na rano muszę mieć gotowe sprawozdanie dla Maddie. Nie było mnie tyle czasu, że naraz zważyło się mnóstwo zaległych spraw.

- Porozmawiajmy. To naprawdę ważne.

- No dobrze - przystała wreszcie. - Zaraz wyjdę na ganek.

Nie miał pojęcia, czemu jej nastawienie tak bardzo się zmieniło. To nie rokowało najlepiej.

Jeanette otworzyła wejściowe drzwi i stanęła na progu, blokując wejście.

- O co chodzi?

- Sam się zastanawiam. Przyszedłem w konkretnej sprawie, ale widzę, że coś się wydarzyło. Jesteś zupełnie nie w sosie.

Popatrzyła na niego wyniośle.

- Wydaje ci się.

- Naprawdę?



Przesunęła palcami po włosach. Nastroszone kosmyki dodawały jej młodzieńczego uroku i kusiły jak diabli. Najchętniej dałby sobie spokój z tą rozmową i pocałunkiem poprawił Jeanette nastrój.

- Tom, naprawdę jestem bardzo zajęta. Odłóżmy to na bardziej sprzyjający moment.

Nie dał się zbyć. Miał sprawę do załatwienia.

- Jadłaś już kolację?

- Nie. Zjem coś po przyjściu do domu. Pewnie jest głodna, stąd ten zły humor.

- Powinnaś teraz coś zjeść. Chodźmy do „Sullivan's”, pogadamy przy jedzeniu. Jeśli będziesz chciała wrócić do pracy, odprowadzę cię.

- Do „Sullivan's”? Żeby Dana Sue się do nas wtrącała?

- Dobrze, kupimy coś na wynos i pojedziemy do ciebie. Jeśli to też ci nie pasuje, możemy zamówić pizzę.

- Czemu się tak uparłeś na jedzenie?

Tracił cierpliwość, lecz starał się panować nad sobą, by nie podsycać jej kłótliwego nastroju.

- Bo mam nadzieję, że to poprawi ci humor, a chciałbym cię o coś zapytać.

Popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

- Nie czepiaj się mojego humoru, bo to ty mi go psujesz nagabywaniami. Chodzi ci o imprezę u twoich rodziców?

Zamurowało go. Naraz wszystkie kawałki łamigłówek zaczęły się układać. Był tylko jeden sposób, w jaki mogła dowiedzieć się o tym przyjęciu. To dlatego jest nabzdyczona jak osa.

- Moja matka się z tobą skontaktowała, tak? Co ci nagadała? Zdenerwowała cię? Kazała ci odmówić, gdy zaproszę cię na to przyjęcie? Dlatego jesteś taka nastroszona?

Jeanette zarumieniła się ze skruchą.

- Nie rozmawiałam z twoją matką.

- W takim razie skąd wiesz o przyjęciu? - Nagle, spłynęło na niego olśnienie. Przecież znał metody matki. Gdy sama nie mogła nic wskórać, posługiwała się ojcem. Teraz też tak musiało być. Odwrócił się i zaczął nerwowym krokiem przemierzać werandę. Gotowało się w nim. Kiedy wreszcie uznał, że panuje nad sobą, zatrzymał się przed Jeanette. - Wysłała do ciebie mojego ojca, tak? Przyszedł negocjować i nie przebierał w słowach. Powiedz mi, że tak nie było, proszę.

- Tom, nic się nie stało. Dajmy już sobie z tym spokój - poprosiła.

Uznał jej słowa za potwierdzenie.

- Jak mam to zostawić? Uważać, że nic się nie stało? Wtrącają się w moje życie, próbują cię zastraszyć. Pora położyć temu kres!

- Poradziłam sobie w twoim ojcem. - W jej głosie zabrzmiała nuta dumy. - Wydaje mi się, że teraz dobrze się rozumiemy.

Wzdrygnął się na myśl, jak to musiało wyglądać.

- Poradziłaś sobie z nim w podobny sposób, jak z moją matką?

Po raz pierwszy tego wieczoru Jeanette uśmiechnęła się.

- Zachowałam się bardziej dyplomatycznie. On też... w każdym razie pod koniec.

- Co ci powiedział?

- To nie ma znaczenia. Spodziewał się po tobie takiej reakcji i wymógł na mnie obietnicę, że nic ci o tym nie pisnę - dodała stropiona. - Myślałam,

że będę mieć więcej czasu i coś wymyślę, a teraz wyjdzie na to, że nie dotrzymałam słowa.

- Nie powinnaś była mu niczego obiecywać - mruknął, wyciągając komórkę z kieszeni i wybierając numer.

- Co ty robisz?

- Dzwonię do niego.

Wyrwała mu telefon.

- Nie możesz tego zrobić. Dogadaliśmy się z twoim ojcem. Jeśli teraz zadzwonisz, nici z naszego porozumienia. On już więcej mi nie zaufa.

Miała rację, lecz ta sytuacja wkurzała go. I to bardzo.

- Niech ci będzie - przystał z niechęcią. - Rozumiem, że nie pojedziemy na przyjęcie.

- Pojedziemy - powiedziała spokojnie. - Obiecałam to twojemu ojcu. Chcę się pogodzić z twoimi rodzicami, naprawdę. Po dzisiejszym dniu jesteśmy na dobrej drodze.

Popatrzył na nią nieufnie. Czemu nagle zrobiła się taka zgodna?

- Z moją matką też?

- Tak. Teraz rozumiem ją znacznie lepiej.

- Tak? A to dlaczego?

- Twój ojciec sporo mi wyjaśnił. Powiedział o wielu rzeczach, o których ty nie wiesz.

- O mojej rodzinie? - zdumiał się.

- Tak. Musisz usiąść z nimi i szczerze porozmawiać. Już dawno powinni byli to zrobić. Wasze, relacje dużo by na tym zyskały.

- Nie możesz sama mi powiedzieć?

- To nie jest moja rola. Musicie we troje dojść z sobą do ładu.

- Zaskoczyłaś mnie. - Czyżby to było takie proste? Nie bardzo w to wierzył, ale co szkodzi spróbować. - Jesteś pewna?

- Tak. - Popatrzyła na niego przenikliwie. - Nie stanę między tobą a twoimi rodzicami. Wiem, co to znaczy, gdy rodzina jest rozdarta, i na pewno nie przyłożę do tego ręki. Jeśli między nami ma coś być, to musimy mieć dobry układ z twoimi rodzicami.

- Dotknęła dłonią jego policzka. - Zresztą obiecałeś.

Ten lekki dotyk jej dłoni sprawił, że zapomniał o wszystkim.

- Co obiecałem?

- Że w tym roku święta będą inne. Że wykazesz życzliwość i dobrą wolę.

- Tak, ale umowa nie obejmuje moich rodziców - burknął.

- Bredzisz. Oczywiście, że tak, przecież o nich rozmawialiśmy. Wiedziałeś, że to nie będzie łatwe

I przyjemne, ale skoro ja mogę dać im szansę, to ty tym bardziej.

- Sam już nie wiem, czy jesteś chora, czy święta.

- Ani jedno, ani drugie. - Uśmiechnęła się.

- Umieram z głodu, więc chodźmy do „Rosalina's” na pizzę.

Jeszcze się nie pozbierał. Z taką łatwością machnęła ręką na dzisiejszy incydent z ojcem. To wprost niebywałe.

- A co z twoją pracą? Taka byłaś zajęta.

- Praca poczeka. Popatrzył jej w oczy.

- Mogę coś zaproponować?

- Jasne.

- Zamówmy pizzę do ciebie, a ja napalę w kominku i otworzę butelkę wina. Jak ci się to widzi?

Zawahała się, jednak pokusa była zbyt silna.

- Bardzo romantycznie. - Głos jej zadrżał.

- No i?

- Nadal nie ma mowy, żebyś się do mnie wprowadził.

- Oczywiście. - Pochylił się ku niej i pocałował ją gorąco. - Ale może pozwolisz mi przenocować, tylko na jedną noc.

Jeanette wygięła usta w uśmiechu.

- Nie mamy po dwanaście lat.

Tom roześmiał się.

- Zapewniam cię, że dobrze o tym wiem.

- Ach, chodzi ci o takie nocowanie - droczyła się. Przesunął palcem po jej ustach.

- To co o tym myślisz?

- Że niepotrzebnie tracimy czas na rozmowę, zamiast od razu ruszać w drogę.

Pośpiesznie zebrała swoje rzeczy i zamknęła drzwi.

- Idziemy na piechotę? Jest taki piękny wieczór. Zatopił się w jej spojrzeniu.

- Samochodem będzie szybciej - wyszeptał.

- No to jedźmy - powiedziała bez tchu, a potem popatrzyła na niego czujnie. - Chyba się nie rozmyślisz?

- Nie. Nigdy nie powtarzam błędów.

Jeanette odetchnęła z ulgą.

- Dobrze wiedzieć.

Pizzę dostarczono wyjątkowo szybko. Tom rozpałił w kominku, pozapalał świece w salonie i otworzył czerwonego zinfandela, którego Jeanette kupiła na specjalną okazję. Ułożył przed kominkiem poduszki

ściągnięte z kanapy. Ma wprawę, podsumowała w duchu Jeanette, lecz teraz nie zamierzała zaprzętać sobie tym głowy.

- Przyjemnie - pochwaliła, przynosząc jedzenie, talerze i serwetki.

- Miało być romantycznie. - Pociągnął ją na podłogę obok siebie.

Zadrżała pod jego spojrzeniem.

- Jeanette... - Urwał, jakby tracąc wątek. Przygarnął ją do siebie i pocałował tak, że zapomniała o wszystkim.

Kiedy ją puścił, miał błędny wzrok. Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki. Jeanette upiła łyk.

- Tom, tak sobie myślę... - zaczęła, nie odrywając oczu od jego ust.

Wpatrywał się w nią z napięciem, jakby nie był pewny, czego się po niej spodziewać.

- Mówiłaś, że umierasz z głodu.

- Teraz co innego jest dla mnie najważniejsze. Wstąpiła w niego nadzieja.

- Naprawdę?

- Mhm.

- Czyli kolacja może poczekać?

Skinęła głową. O wiele za długo czekała na tę chwilę.

- Chyba musi. Pizza pięknie pachnie, ale zapomnę o niej, jeśli się postarasz.

Tom uśmiechnął się wolno. Bardzo po męsku.

- Na pewno się przyłożę. - Odnalazł jej usta.

Nie opierała się, przylgnęła do niego mocniej, nie zastanawiając się nad przyszłością, odpychając od siebie dręczące obawy i lęki, zapominając o wspomnieniach. Liczyła się tylko ta chwila, tu i teraz. Ogarnęła ją fala gorąca i przepełniło pragnienie, przed którym już nie było ucieczki.

Wiedziała, że Tom wspaniale całuje, lecz nie miała pojęcia, jakim jest mistrzem.

Każdy pocałunek był inny, każdy dotyk jego ust zaskakiwał i budził coraz to nowe emocje. Jej skóra płonęła, kolana się ugiwały.

Dlaczego tak długo go zwodziła, tak długo zwlekała? Czemu odmawiała sobie tych cudownych przeżyć? Jego dłonie zaczęły powoli rozpinać guziki jej bluzki, muskać obnażoną skórę, a jego oczy wpatrywały się w nią uważnie, jakby badając, czego oczekuje.

Powolne ruchy Toma doprowadzały ją do szaleństwa. Już miała odepchnąć jego ręce i sama rozpiąć pozostałe guziki, gdy wreszcie uporał się z ostatnim i dotknął ustami jej skóry. Drżała, wpatrując się w jego pociemniałe oczy, a on cieszył się nią, jej bliskością, dreszczami przebiegającymi po jej ciele.

- Jesteś taka piękna, płomyki tańczą po twojej skórze - szeptał, przesuwając palcami po świetlistych wzorkach na jej ciele.

Jakże cudowna to była chwila!

- Poczekaj - wyszeptała, zatrzymując jego dłoń. Rozpięła mu koszulę, ściągnęła podkoszulek

i przesunęła ręką po torsie Toma. Był ciepły, napięte mięśnie grały pod skórą. Jęknął, gdy zaczęła rozpinać mu pasek. Przyłgnęli do siebie, rozpaleni i złąknieni, zatracając się w pieszczotach i pocałunkach. Gdyby się pośpieszyli, gdyby to stało się wcześniej, wszystko byłoby inne. Teraz to nie jest tylko seks, pomyślała jak przez mgłę. Teraz, kto wie, to może jest właśnie miłość.

- Płaczesz? - zapytał szeptem.

- Nie - odpowiedziała, choć nie mogła powstrzymać łez.

- Co się stało? Coś nie tak?

- Nie. Wszystko jest super.

- Na pewno? Prawie nic nie mówiłaś.

- Nie mogłam - wyznała. - Odleciałam. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czy to komplement? Szturchnęła go łokciem w bok.

- Wszystko musi być powiedziane do końca? Nie wystarczy ci, że nie mogę się poruszyć ani złapać tchu?

- Chciałem się upewnić. Jeśli jesteś ciekawa, ty też byłaś fantastyczna.

- Nie jestem ciekawa - zapewniła. - Wiem, że jestem dobra.

Roześmiał się.

- Twoja pewność siebie od samego początku rzuciła mi się w oczy.

- Myślałam, że raczej moje ciało.

- To też. Zaraz po tym, jak wyrzuciłaś mnie z klubu.

Podniosła się, popatrzyła na niego.

- I co jeszcze?

- Nie rozumiem.

- Co jeszcze cię zaintrygowało? Tylko nie mów, że zainteresowałeś się mną, bo twoi rodzice mnie nie trawiają.

- To nie ma nic do rzeczy. - Przesunął po niej rozmarzonym spojrzeniem. - Wiele rzeczy mnie w tobie urzeka. Twój sposób myślenia, twoje poczucie humoru. Martwi mnie, że tak słabo na ciebie działałam, ale przez to jesteś dla mnie wyzwaniem. W łóżku też wspaniale się sprawdzasz.

Puściła do niego oko.

- Tylko tak dalej, a zobaczysz.

- W takim razie muszę zjeść trochę pizzy. Usiadła, przysunęła pudełko.

- Trochę sił ci się przyda - powiedziała, biorąc sobie kawałek i podając

Tomowi resztę.



Pizza zdążyła wystygnąć, ale nie żalowali.

Mary Vaughn znów spotkała się z Sonnym na kolacji. Tym razem to on ją zaprosił. Zastanawiała się, co go do tego skłoniło, bo plany związane ze świętami mieli już dokładnie opracowane. Może dziś zbierze się na odwagę i idąc za radą Jeanette, wyzna mu swoje uczucia?

A może Sonny zamierza oznajmić, że jest związany z tamtą kobietą, i chce, by spędziła z nimi święta? Na samą myśl zrobiło się jej niedobrze.

Popatrzyła na niego ukradkiem. Nadal wygląda świetnie. Dlaczego dopiero teraz dotarło do niej, że tacy mężczyźni są wyjątkowi i zdarzają się bardzo rzadko? Dlaczego nie widziała tego, nim doszło do rozwodu?

Może jeszcze nie jest za późno, może nie wszystko stracone. Powinna się przed nim otworzyć. Psotny błysk w jego oczach natchnął ją odwagą.

- Sonny, chciałam cię o coś zapytać - zaczęła ostrożnie. - Czy może żałowałeś, że... - Głos jej się łamał. - Czy nie myślałeś, że za bardzo pośpieszyliśmy się z rozwodem?

Popatrzył na nią zdumiony, ręka trzymająca widelec zamarła nad talerzem.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Słyszałeś, co powiedziałam - zniecierpliwiała się lekko. - Czy ten rozwód był błędem?

- Nie - odpowiedział stanowczo.

- Aha. - Poczwała, że pieką ją policzki. - Tak tylko byłam ciekawa. - Zjadła kawałek steku. Teraz wydał się jej bez smaku. - Dobry ten stek, prawda?

Popatrzył na nią wzburzony.

- Nie mam ochoty gadać o głupim steku. Dlaczego pytałaś?

- Niepotrzebnie. Zapomnij o tym - odparła szybko.

- Kiedy powiedziałem, że chcę rozwodu, o nic nie pytałaś. Zachowałaś się tak, jakbyś na to czekała.

Powściągnęła westchnienie. Sama sobie jest winna, bo zaczęła ten temat. Nawarzyła piwa, więc teraz musi je wypić.

- Chyba tak było - wyznała. - Zawsze miałam poczucie, że nie zasługuję na ciebie, że nie jestem wystarczająco dobra. Bałam się, że w końcu sam to zrozumiesz.

- Co za brednie! Nigdy nie brakowało ci pewności siebie, co nawet było zaskakujące, biorąc pod uwagę środowisko, w jakim się wychowałaś. Masz bardzo mocny charakter, ktoś inny dawno by się załamał.

- Skoro tak mnie podziwiałaś, dlaczego ode mnie odszedłeś?

- Znasz odpowiedź, ale dobrze, wyjaśnię ci to raz jeszcze. Nim to zrobię, powiedz, dlaczego nagle podjęłaś ten temat.

Patrzył na nią z nieukrywaną ciekawością, więc nie mogła zrobić uniku.

- Ostatnio spotykaliśmy się wiele razy, dogadywaliśmy się. Mamy za sobą tyle wspólnych lat, córkę... Zaczęłam się zastanawiać, czy nie postąpiliśmy zbyt pochopnie.

Sonny pokiwał głową.

- Owszem, ty jak najbardziej.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Ja? To nie ja dążyłam do rozwodu.

- Nie sprzeciwiłaś się. Przyjęłaś to bez mrugnięcia okiem, nawet chciałaś mi pomóc się spakować.

Zaskoczył ją.

- Chciałeś, żebym się sprzeciwiła?

- Miałem nadzieję, że to zrobisz. Liczyłem, że wreszcie się obudzisz i przejrzysz na oczy, zobaczysz mnie na nowo i zaczniesz doceniać to, co mieliśmy. Wiedziałem, że kochasz Ronniego, ale kochałem cię tak bardzo, że się z tym pogodziłem. Myślałem naiwnie, że moja miłość wystarczy, byśmy byli szczęśliwi, ale dla ciebie zupełnie się nie liczyłem. Nic się nie zmieniało i po kilku latach miałem dość udawania, że mnie to nie boli. Mam swoją dumę i godność.

- Przepraszam - wyszeptała. Po raz pierwszy widziała ich życie z jego perspektywy. Nigdy go nie zdradziła, ale też nigdy nie oddała mu serca. Była zadowolona ze swego życia i uważała, że on również. Jak mogła tak długo sama siebie oszukiwać? - Strasznie mi przykro.

- Mnie też.

- Chciałabym to naprawić - zaryzykowała. - Nie mówię, żebyśmy robili coś na łapu-capu. Zaczniemy się spotykać, zobaczymy, co z tego wyniknie. Może poczujesz się lepiej, gdy powiem, że zachowałam się beznadziejnie głupio.

- Nie wiem. Minęło dużo czasu, nim w końcu się pozbierałem. I nie wiem, czy chcę jeszcze raz zaczynać. Ta emocjonalna huśtawka bardzo mnie wyczerpała...

- Nie wracajmy do tego, co było. Zaczniemy coś nowego bez powtarzania starych błędów.

Nadal był sceptyczny.

- Nie da się wymazać przeszłości.

- Oczywiście. Zresztą lepiej ją pamiętać, by nie powielać tego, co było złe. - Obiecała sobie, że nigdy nie będzie o nic prosić, lecz teraz to robi. - Sonny, proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę. Udowodnię ci, że się zmieniłam, że potrafię cię kochać tak, jak na to zasługujesz. Wreszcie

doroślam i teraz naprawdę cię doceniam. Za to, jaki jesteś i jaki zawsze byłeś.

- Nie wiem - powtórzył, przyglądając się jej nieufnie.

- Wahasz się, bo kogoś masz?

- Daj spokój, Mary Vaughn. Nie ma nikogo innego, dla mnie zawsze istniałaś tylko ty... niestety.

Przykryła jego dłoń swoją dłonią.

- Sonny, zaryzykujmy. Proszę. Splótł palce z jej palcami, popatrzył na ich dłonie

potem przeniósł wzrok na Mary Vaughn.

- Tym razem musiałyby być inaczej - powiedział cicho.

Zakiełkowała w niej nadzieja.

- Będzie inaczej. Obiecuję.

- Nie licz, że znów się dopasuję. Nie zrobię tego

Tym stwierdzeniem zdobył jej szacunek i serce, którego wcześniej mu poskapiła.

Wiedziała, że nie będzie jej łatwo udowodnić swą miłość, bo w przeszłości zdarzyło się zbyt wiele bolesnych rzeczy, ale była na to przygotowana. Życie jej nie rozpieszczało, stała się twarda i potrafi dopiąć swego. Zdobędzie go na nowo. Bo o to warto walczyć.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Tom coraz bardziej się denerwował zbliżającym się początkiem świątecznych obchodów. Zależało mu, by impreza się udała, by nic nie zawiodło. Rozmowa z burmistrzem, który nie widział żadnego problemu w częstowaniu mieszkańców ajerkoniakiem, co było miejscową tradycją, jeszcze bardziej go zirytowała.

- Nie przejmuj się. - Jeanette objęła go w talii. - Ten ajerkoniak jest bardzo słaby, poza tym podaje się go w mikroskopijnych ilościach - dodała, całując go. - Pamiętaj też, że jesteśmy w Serenity, a tu prawo działa jakby troszkę inaczej, przynajmniej w niektórych sprawach.

Jego zły humor od razu wyparował.

- Pięknie pachniesz - powiedział.

- Od cukierków ze straganu. Kramiki już są gotowe, Dana Sue wszystkiego dogląda. O piątej otworzą stoiska. Chóry już czekają, fortepian stoi na scenie. Sonny na pół godziny przed otwarciem zacznie rozdawać śpiewniki.

Tom przesunął palcami po włosach.

- Nie cierpię takich imprez - mruknął.

- Daj spokój, zaczynasz się powtarzać. Wszystko dopięte na ostatni guzik, miasto pięknie udekorowane, Ronnie sprawdził, że wszystkie podłączenia działają, ajerkoniak w pogotowiu. Czemu panikujesz?

- Nie panikuję, tylko nie wiem, po co tyle hałasu, komu to potrzebne. Zaczynam zachowywać się jak moja matka, która denerwowała się każdym szczegółem.

- To impreza ważna dla dzieci i dla całego miasteczka. Dla ciebie również powinna taka być. A przy okazji zapytaj o to swoją matkę. Na pewno się zdziwisz, co ci powie.

- Od kiedy tak polubiłaś święta? I, co jeszcze ciekawsze, od kiedy stałaś się obrończynią mojej matki?

- Rozmowa z twoim ojcem otworzyła mi oczy. - Zamyśliła się. - Powiem ci, że odkąd pogodziłam się z rodzicami, moje nastawienie bardzo się zmieniło. Pomogła też wyprawa na plantację choinek, tam tak pachniało świętami - rzekła z rozmarzeniem.

- No i zgodziłeś się na to wspaniałe drzewko. To był cudowny dzień.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak beznadziejnie się zachowywał.

- Przepraszam. Wciąż tylko zrzędzę i psuję ci nastrój.

- Nie jest tak źle. Jeszcze kilka tygodni temu też byłam niechętnie nastawiona do tej imprezy. Nie wiem czemu, ale teraz udzielił mi się nastrój. Jakbym nagle odnalazła coś, co utraciłam dawno temu. Oby i z tobą tak się stało. Miałeś się postarać.

- Postaram się. Za kilka godzin będę wesołym kolędnikiem.

- Z powodu świąt czy z racji tego, że twoja rola się zakończy?

- Mam odpowiedzieć? - zapytał z uśmiechem. Jeanette westchnęła ciężko.

- Tak myślałam. Do zobaczenia później.

- Zabezpiecz dla mnie trochę ajerkoniaku! - zawołał za nią.

Chciał ją tym rozśmieszyć, lecz smutek nie zniknął z twarzy Jeanette. Popsuł jej humor, niestety. Postara się to jakoś naprawić...

Serenity wyglądało bajkowo. Ogromne płatki śniegu migotały na latarniach, wzdłuż uliczek stały świątecznie ozdobione stragany, dzieci, czekając na przybycie Świętego Mikołaja, opychały się cukrową watą i hot

dogami. Lada chwila na wozie strażackim wjedzie Święty Mikołaj, chór zacznie śpiewać, a na wielkiej choince rozblyszą kolorowe światełka. Sezon gwiazdkowy zostanie oficjalnie otwarty.

- Cudownie! - Stojąca obok Jeanette Maddie uścisnęła jej rękę. - Jeszcze nigdy nie było tak pięknie jak w tym roku. Zobacz, jakie dzieciaki są podekscytowane! Jessica Lynn nie może się doczekać Mikołaja, pozostałe są na to za duże, a Cole za mały. - Popatrzyła na przyjaciółkę. - Dawno nie miałyśmy okazji pogadać. Jak ci się układa z Tomem? Obstawiamy, że na święta sprezentuje ci pierścionek, najdalej na walentynki.

- Chyba za bardzo wybiegacie w przyszłość.

- No co ty? Wspaniale do siebie pasujecie, czyż nie?

- To prawda - przyznała.

- Więc jaki problem?

- Irytuje mnie jego podejście do świąt. Ja zdołałam się przełamać, choć z Bożym Narodzeniem wiążą się moje najgorsze wspomnienia, a on wciąż się krzywi. Rozumiem, że ma uraz po tym, co wyprawiała jego matka, ale przeżycia Toma nie równają się do moich.

- Nigdy nie powiedziałaś, co się zdarzyło. Nie chciałam cię naciskać, ale jeśli z tego powodu nie możecie się z Tomem dogadać, to nie mam wyjścia. - Podała niemowlę Kyle'owi, przykazując, by zaniósł Cole'a ojcu.

- Ale go wrobiłaś - uzalała się Jeanette.

- Żartujesz? Wszystkie dziewczyny zaraz się do niego zlecą. Takie dziecko działa na nie jak magnes. Kyle sam mi zdradził, czemu Tyler tak chętnie zabierał małego do parku. Właśnie po to.

- Przecież Tyler chodzi z Annie.

- Ostatnio coś im się nie układa. Dana Sue nie ma pojęcia, co się stało, ale nie chcemy się wtrącać.

- I macie rację.

- No dobrze, wróćmy do ciebie - rzeczowo powiedziała Maddie. -  
Mów.

Wiedziała, że nie ma wyjścia, więc pokrótce opowiedziała jej zdarzenia sprzed lat.

- O mój Boże - ze łzami w oczach rzekła Maddie. - Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś? Nie namawiałabym cię do tego komitetu.

- W rezultacie wyszło na dobre. Pogodziłam się z przeszłością. Szkoda, że tego samego nie mogę powiedzieć o Tomie.

- Jeszcze się ułoży, zobaczysz. Dogadacie się.

- Nie chodzi tylko o święta. To jego negatywne nastawienie okropnie mi przeszkadza. Nie wyobrażam sobie, bym mogła być z kimś takim.

Maddie nie dała się zwieść. Popatrzyła na nią przenikliwie.

- Jest jeszcze wiele innych rzeczy - przyznała Jeanette. Wiedziała, że Maddie ma doskonałą intuicję. -Na przykład jego matka. Nie da nam spokoju. Choć w ramach dobrego uczynku w przyszły weekend pojedę do niej na szpanerską kolację. Zrobię ten gest.

- Zobaczysz, że z czasem się na tobie poznają. Docenią cię - zapewniła Maddie.

- Optymistka z ciebie.

- Oczywiście. Kiedy Richard ode mnie odszedł, byłam załamana. Myślałam, że już nic dobrego mnie w życiu nie czeka. I nagle pojawił się Cal, a potem dwójka maluszków, o czym nigdy bym nawet nie śniła. Mam cudownego męża, wspaniałą rodzinę, pracę, którą kocham, oddane przyjaciółki. To wszystko czeka na ciebie, musisz się tylko odważyć. Przecież chcesz tego.



- Tak - przyznała, patrząc na Toma, który stał w pobliżu sceny. Najwyraźniej spierał się o coś ze Świętym Mikołajem, czyli burmistrzem. Nagle Howard włożył mu na głowę czerwoną czapkę i Jeanette zachichotała, widząc minę Toma.

Maddie wbiła jej łokieć w bok.

- Pana w czapce Świętego Mikołaja trzeba kochać, to rzecz znana od wieków.

Jeanette westchnęła.

- Chyba tak.

Tylko czy nie będzie żałować tego do końca życia?

Tom popatrzył na rozjaśnione buzie dzieciaków, które z wypiekami na policzkach wpatrywały się w Świętego Mikołaja. Chyba tylko takie szkraby naprawdę cieszą się ze świąt, pomyślał.

Spojrzał na Jeanette, która wpatrywała się w migoczące światełka na choince, i na jej twarzy ujrzał to samo uniesienie.

- Wzięło cię, co?

- Oczywiście. Nie tylko mnie, popatrz na ludzi. Dzieciaki są wniebowzięte, szepcząc Mikołajowi swoje marzenia, a Howard promienieje.

- Ciekawe, jak się poczują, gdy pod choinką nie znajdą wyśnionych prezentów.

- Przestań dobrze? - zdenerwowała się. - Całe miasto się zeszło, wszyscy się cieszą, chcą się bawić. Uśmiechnij się wreszcie.

- Naprawdę nie mogę cię pojąć. - Zdumiewała go ta nagła zmiana jej nastawienia do Bożego Narodzenia.

- I vice versa. - Odeszła naburmuszona. Nagle poczuł się bardzo samotny, a zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu. Już im się układało, lecz jak ostatni idiota wszystko zepsuł.

- Masz minę, jakby ktoś podwędził ci gwiazdkowe prezenty - zagadnął go Ronnie. - Gdzie Jeanette?

- Nie mam pojęcia.

Ronnie popatrzył na niego wymownie.

- Posprzeczaliście się?

- Na to wygląda.

- Współczuję. Wiesz chociaż, o co jej chodzi?

- O moje sceptyczne podejście do świąt.

- No, chłopie, musisz się poprawić - z uśmiechem rzekł Ronnie. - Całe miasto już gada, że straszny z ciebie zrzęda i drugi raz cię nie wybiorą.

- Nie mówisz poważnie!

- Żartowałem! Ale naprawdę musisz się poprawić.

- Wiem. - Tom westchnął ciężko.

- Coś ci poradzę. Zaciągnij Jeanette pod jemiołę i pocałuj ją tak, by zapomniała o bożym świecie.

- Myślisz, że to pomoże?

- Pewnie nie, ale będzie dobre na początek. Przypomni wam, że warto o siebie zawalczyć. Należy cenić to, co się ma, nim będzie za późno. Wiem po sobie.

Cenił Jeanette, ale nie potrafił jej zrozumieć. Choć pod jednym względem Ronnie miał rację. Nie chciał jej stracić i reszty życia spędzić bez niej.

Jeanette stanęła obok choinki i z zazdrością przyglądała się Mary Vaughn i Sonny'emu. Siedzieli przed sceną, na której prezentował się chór, lecz poza sobą nie widzieli świata.

- Przepraszam za moje zachowanie - powiedział Tom, stając tuż obok niej. - Jak słyszę kolędy, to od razu robię się spięty. Przypominam sobie

farsę, którą co roku urządzali moi starzy. Wszystko na pokaz. Szpanerskie prezenty, żeby pochwalić się przed znajomymi. Nigdy nie dostaliśmy tego, czego naprawdę chcieliśmy.

- Pytałeś ich, czemu tak robili? Porozmawiaj z nimi na ten temat. Rozumiem twoje nastawienie, ale czas, byś z tego wyrósł. Po prostu zrób krok do przodu.

- Oto słowa neofitki.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeszcze nie tak dawno przeszłość przesłaniała ci teraźniejszość, a tu nagle dogadałaś się z rodzicami i zobaczyłaś wszystko w innym świetle. Cieszę się, że tak się stało, naprawdę, tylko daj innym czas, by cię dogonili.

- Tom, wcale nie chciałam... - Umilkła.

Może rzeczywiście oceniała go zbyt surowo. Przecież doskonale wiedziała, że każdy po swojemu odbiera rzeczywistość, w sobie tylko właściwy sposób reaguje na ból i cierpienie. Ot, choćby ona i jej rodzice...

Nie powinna umniejszać jego przeżyć, nie miała do tego prawa.

- Przepraszam - wyszeptała. - Tylko tak bardzo mi zależało, byśmy razem przeżyli magię tych świąt.

- I tak się stanie - obiecał.

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Czują, jak napięte mięśnie Toma rozluźniają się. Jego zapach mieszał się z zapachem choinki.

- Wiesz co? - wyszeptał. - Już czuję trochę tej magii.

Mary Vaughn nerwowo krążyła po domu, upewniając się, czy wszystkiego dopilnowała, czy zamówione przekąski zostały ładnie zaaranżowane i czy na ogromnej choince w salonie palą się wszystkie światełka.

- Usiądź wreszcie - powiedział z lekką desperacją Sonny, podążając tuż za nią. Jak miło było znów mieć go przy sobie! - Wszystko jest jak należy.

- A jeśli nikt nie przyjdzie?

- Nie mów głupstw. Zapowiedziało się mnóstwo gości.

- Ale jeśli się zmęczą na zakupach i stwierdzą, że i tak nikt nie zauważy ich nieobecności, bo będą tłumy?

Położył ręce na jej ramionach, zajął w oczy.

- Dlaczego jesteś taka spięta?

- Bo... - Urwała gwałtownie.

- Bo ludzie zobaczą, że znów jesteśmy razem?

- Tak. A chcę, żebyś był dumny. Żeby zobaczyli, jaki jesteś super.

- To ja muszę w to uwierzyć.

- I twój ojciec. Nie będzie zachwycony, że się zesłaliśmy.

- Mylisz się. Od dawna o tym marzy.

- Nigdy mnie nie lubił.

- Nie mógł się pogodzić, że nie kochasz mnie tak, jak według niego powinnaś. To mała miłościna. Ojciec wiedział, że nigdy nie przestałaś kochać Ronniego.

- Już przestałam - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Teraz zależy mi tylko na tobie.

- Zaczynam w to wierzyć. Mam prezent gwiazdkowy dla ciebie, dam ci go trochę przed czasem. - Wyjął z kieszeni pudełeczko. - To nie jest pierścionek. Od razu mówię, żebyś nie przeżyła rozczarowania. Jeszcze za wcześnie na takie rzeczy, ale chcę ci pokazać, że wierzę w to, co jest między nami.

Otworzyła pudełeczko. Ręce jej drżały, gdy wyjmowała niewielki medalion. Na jednej stronie było zdjęcie Sonny'ego i Rory Sue, a na drugiej wygrawerowany napis „Na zawsze”.

- Tego dla nas pragnę - rzekł Sonny.

- Ja też - wyszeptała. - Ja też.

- Zapiąć ci go?

Mary Vaughn skinęła głową, odgarnęła włosy z szyi. Zadrżała, czując lekki dotyk jego rąk.

Po raz pierwszy cieszyła się, że Rory Sue jeszcze nie przyjechała i pojawi się w domu dopiero za kilka dni. Bo to znaczy, że po przyjęciu ona i Sonny będą mieli dom tylko dla siebie. Jeśli wszystko ułoży się po jej myśli, wypróbują wszystkie sypialnie. Uśmiechnęła się radośnie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Z własnej nieprzymuszonej woli zgodziła się wziąć udział w oficjalnej kolacji wydawanej przez rodziców Toma, lecz teraz zaczynała mieć wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Tom też był spięty, widziała to. Tym bardziej sama się denerwowała. Tak niewiele trzeba, by ten wieczór zakończył się katastrofą.

Tom podjechał pod dom i zaparkował na wybrukowanym podjeździe. Jeanette gorączkowo szukała pretekstu, by w ostatniej chwili się wymówić i zniknąć. Porozumienie z ojcem Toma może okazać się zbyt wątłe, zaś jego matka jest całkowicie nieprzewidywalna i kompletnie nie wiadomo, co może jej strzelić do głowy.

- To był zły pomysł - zaczęła.
- Teraz na to wpadłaś? - Tom skrzywił się ponuro.
- Może pójdziesz sam...
- A ty co zrobisz? Schowasz się w krzakach?
- Możesz podrzucić mnie do restauracji i zabrać, gdy będziesz wracać.
- Nie ma mowy. Obiecaliśmy, że przyjedziemy, i tak się stanie.

Czekają na nas. Zresztą czy muszę ci przypominać, że to wchodziło w zakres naszej umowy? Ja przestanę zrządzać, a ty postarasz się dogadać z moimi starymi.

Niech ci będzie - mruknęła niechętnie. Coraz bliższa perspektywa tego wieczoru zaczynała ją przerażać.

- Jeanette, moi rodzice muszą pogodzić się z faktem, że nasza znajomość to coś naprawdę poważnego. Ruszajmy śmiało, nie ma na co czekać.

- Zaraz, zaraz! - wykrzyknęła. - Przynajmniej o ile mi wiadomo, nie mamy żadnych poważnych zamiarów. Sypiamy z sobą, ale to nie to samo.

Tom popatrzył na nią przeciągle.

- To jest jak najbardziej poważny układ. Będziemy tu teraz siedzieć i roztrząsać tę sprawę? Oboje doskonale wiemy, że jeśli zechcę, bez trudu udowodnię ci, jak bardzo się mylisz.

Te słowa podziałały na nią... a może nie słowa, lecz świadomość, że są tuż pod czujnym okiem jego rodziców. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Naprawdę? - zapytała prowokacyjnie.

Tom zamrugał, po chwili oczy mu pociemniały.

- Chcesz mnie sprawdzić?

- Tak. - Poczwała na plecach rozkoszny dreszczyk.

Tom w mgnieniu oka wysiadł z samochodu, otworzył drzwi z jej strony i podał rękę, pomagając wyjść Jeanette.

- Idziemy.

Tknęło ją, że chyba za bardzo się zagalopowała.

- Dokąd?

- Z tyłu jest domek dla gości. Nikt tam nie mieszka.

- Szedł tak szybko, że ledwie za nim nadążała.

- Tom, zaczekaj! - zaoponowała.

- Czekałem na to od chwili, kiedy ujrzałem cię w tej sukience.

- Nie możemy zakraść się do domku twoich starych i zapomnieć o bożym świecie - tłumaczyła spanikowana. - Czekają na nas. Jak to by wyglądało?

- Nie mówiąc już o tym, że tylko ściągnęliby na siebie nieszczęście. Z jego rodzicami i tak sprawa była niełatwa.

Tom roześmiał się.

- Chcesz teraz dyskutować o etykiecie?

- Twoja matka już i tak ma o mnie fatalną opinię. Nie chcę pogarszać mojego położenia.

- Liczy się to, co ja myślę - przypomniał jej, zwalniając i przyciskając ją do kutej bramy. Obie ręce oparł na sztachetach i łapczywie poszukał jej ust.

Przywarł do niej całym ciałem, a ona natychmiast zapomniała o wszystkich wątpliwościach i zastrzeżeniach. Tom całował ją namiętnie, zmysłowo. Czowała, jak jego ręka wślizguje się pod jej sukienkę, błądzi po ciele, muska nagą skórę. Przez mgnienie jeszcze próbowała się opierać, ale to było ponad jej siły. Przepadła z kretesem. Zawirowało jej w głowie, w płucach zabrakło powietrza, miała mgłę przed oczami.

- Tom... - wyszeptała, wtulając twarz w jego ramię. - Nie powinniśmy... no i jak ja im się teraz pokażę? Wszyscy od razu się domyśla.

Pogładził ją po policzku, odgarnął niesforny kosmyk z jej twarzy.

- W domku jest łazienka, zaraz się ogarniesz. Choć dla mnie wyglądasz bosko, taka potargana i zaróżowiona, cała promienna.

Przeciągnęła dłonią po rozwichrzonych włosach. A tak się starała, by je ułożyć!

- No nie - jęknęła.

- Nie ruszaj ich - poprosił. - Naprawdę wyglądasz fantastycznie. Nic z nimi nie rób.

- Zobaczę. Gdzie jest ten domek?

Budynek przy głównym wjeździe do rezydencji, który niegdyś służył za siedzibę odźwiernego, był niewiele mniejszy od domu Jeanette. Wnętrze było bardzo wysmakowane. Ciemny burgund, granat, akcenty beżu. Jeanette obrzuciła je uważnym spojrzeniem, popatrzyła na Toma.



- Mama urządziła ten dom dla ciebie, prawda?

- Mieli nadzieję, że jeśli stworzą mi tu prywatny azyl, to zamieszkać w rezydencji. Przynajmniej póki się nie ożenię i nie zacznę wieść ustatkowanego życia, zgodnego z ich oczekiwaniami.

- Mieszkałeś tu kiedyś?

- Nie, ale oni wciąż nie tracą nadziei, że to jeszcze nastąpi. Przekonywałem ich, by wynajęli ten dom, ale nawet nie chcą o tym słyszeć. Ojciec powtarza, że nadejdzie dzień, kiedy się opamiętam i wrócę do Charlestonu, gdzie dobry adres ma wielkie znaczenie.

Wzrok Jeanette padł na zegar nad kominkiem. Przeraziła się. Już byli spóźnieni.

- Boże, zobacz, która godzina. Twoja matka nas zabije, w każdym razie mnie. Dla niej to ja będę winna.

- Powiem jej, że spóźniliśmy się przeze mnie.

- Jestem za dwie, minuty. - Pobiegnę do łazienki.

Tom nie przesadzał. Naprawdę wyglądała zachwycająco. Mnóstwo kobiet płaci ciężką kasę, by osiągnąć taki efekt, lecz jakże często z mizernym skutkiem. Jej twarz promieniała, włosy w delikatnym nieładzie. Poprawiła sukienkę, opłukała twarz i pociągnęła usta szminką. Po dwóch minutach dołączyła do Toma.

- I jak? - zapytała.

- Wyglądasz cudownie - zapewnił. Przewróciła oczami.

- Dzięki za komplement, ale teraz wymyśl jakiś powód, dlaczego się spóźniliśmy. Tylko żeby się nie domyślili.

- Nie ma sprawy. Powiem, że wyjechaliśmy za późno, a potem staliśmy w korku. - Poprowadził ją alejką do rzęście oświetlonego domu.

Wieczór był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku i przez otwarte okna i tarasowe drzwi wylewały się rozbawione śmiechy i dźwięki muzyki. Weszli od strony tarasu.

- Jesteś! - Matka Toma spostrzegła ich od razu.

- Już myślałam, że zapomniałeś drogę do domu.

- Obrzuciła Jeanette chmurnym spojrzeniem, lecz przywitała się z nią uprzejmie.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała Jeanette, udając, że nie zauważa jej kwaśnej miny. Właściwie powinna się do tego przyzwyczać.

- Tom, pokaż się ojcu. Chciałby cię komuś przedstawić.

- Dobrze. - Wyciągnął rękę do Jeanette, lecz matka stanęła między nimi.

- Jeanette zostanie ze mną. Poznam ją z gośćmi, choć myślę, że sporą część pań już miała okazję poznać, gdy pracowała w „Chez Bella”.

Tom zeszywniał.

- Mamo, jeśli celowo postawisz Jeanette w niezręcznej sytuacji...

- Jeanette jest naszym gościem - oschle stwierdziła matka. - Nie mamy zwyczaju stawiać naszych gości w niezręcznej sytuacji.

Popatrzył na nią twardo.

- Trzymam cię za słowo.

Jeanette odprowadzała go wzrokiem. Czowała się nieswojo, lecz nie miała innego wyjścia, jak uśmiechnąć się z przymusem i robić dobrą minę do złej gry.

- Wspaniałe dekoracje, pani McDonald - zagaiła. - Ten motyw dziadka do orzechów jest wyjątkowy. Domyślam się, że przygotowania pochłonęły kilka tygodni.

Dom rzeczywiście robił oszałamiające wrażenie. Tysiące migoczących światełek, dziesiątki dziadków do orzechów, poczynając od miniatuerek zdobiących choinkę, przez większe ustawione na kominku, do największego stojącego przy wejściu. Wiedziała od Toma, że zielone girlandy były sztuczne, lecz w powietrzu unosił się sosnowy aromat przywołujący atmosferę nadchodzących świąt.

- Od lat staramy się pięknie przystrajać dom, tłumy przychodzą go oglądać - z dumą oznajmiła pani McDonald. - To nasza rodzinna tradycja, którą z radością hołubimy.

- Czy pani córki są tutaj? Chętnie bym je poznała.

- Dziś ich nie ma. To oficjalne spotkanie, nie rodzinna uroczystość - odparła znacząco.

Oczywiście, na rodzinną okazję na pewno nie zostałabym zaproszona, natychmiast domyśliła się Jeanette.

Przez następne pół godziny wymieniała zdawkowe grzeczności z obecnymi paniami. Wiele z nich kiedyś poznała, również ich najskrytsze sekrety. Teraz rozmowa się nie kleiła. Odnosiły się do Jeanette uprzejmie, lecz widać było, że nie potrafią odnaleźć się w tej sytuacji.

Jeanette nie dała się zdeprymować. Przywitawszy się, poszła do baru, poprosiła o kieliszek wina i wyszła na taras, by przez chwilę odetchnąć. Z otwartego okna innego pokoju dobiegły ją podniesione głosy. Jeden z nich należał do Toma. Podeszła bliżej.

- Tato, ile razy mam ci powtarzać, że nie mam zamiaru pracować w kancelarii prawniczej w Charlestonie? - zawołał Tom. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak stresująca była ta rozmowa dla mnie i dla Dwighta Mitchella?

- A czy ty zdajesz sobie sprawę, jak głupio zrobiłeś, odrzucając jego ofertę? Mitchell i McLaughlin to najstarsza i najbardziej prestiżowa

kancelaria w Charlestonie, a nawet w całym stanie. To by cię ustawiło na całe życie, nie tylko finansowo, również w kontekście ewentualnej kariery politycznej.

- Nie mam zamiaru pracować w kancelarii - powiedział stanowczo. - Już sam nie wiem, jak mam mówić, żeby to do ciebie dotarło.

- Kiedy przestaniesz robić mi na złość? - odparował ojciec.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Mam pracę, która mi odpowiada. Przyjmij to do wiadomości, a wtedy nie będziemy prowadzić takich rozmów.

- Czy to samo odnosi się do Jeanette? Naprawdę tak ci na niej zależy?

- Dobrze wiesz, że tak. Chcę, byście ją lepiej poznali. Jeanette jest dla mnie bardzo ważna. Wy również, niezależnie czy wierzysz w to, czy nie. Bardzo mi zależy, żeby nasze stosunki dobrze się ułożyły.

Ojciec westchnął ciężko.

- Też bym tego chciał, tylko że oboje z matką wiązaliśmy z tobą takie nadzieje.

- Tato, każdy człowiek ma swoją własną drogę, swoją wizję przyszłości. Podążam do mego celu, i to jest najważniejsze. Mam kobietę, którą kocham, przy której jestem szczęśliwy.

- Mimo że nie jest z naszych sfer? Tom roześmiał się.

- Bo nie ma przodków wywodzących się od brytyjskiej rodziny królewskiej czy innych tego rodzaju powodów do dumy, które są takie istotne dla mamy? Daj spokój, ojczy, mama zawsze była snobką, ale ty nigdy.

Na chwilę zaległa cisza.

- Masz rację - znużonym tonem odezwał się pan McDonald. - Nie mam prawa do takich uwag. Moi przodkowie ciężką pracą doszli do swojej

pozycji, a mój ojciec to wszystko zmarnował. Dla niego najważniejszy był alkohol, hazard i kobiety. Przez całe życie starałem się odbudować to, co on stracił. Nie chodziło o majątek, lecz o nasze dobre imię. Nasze dobre imię jest dla mnie najważniejsze. I dalsze wypełnianie naszej misji, tak jak było niegdyś. Mama zdobyła się na wielką odwagę, wychodząc za mnie. Przysiągłem jej, że nigdy tego nie pożałuje, ale ostatnio ma coraz więcej oporów, by pokazywać się publicznie.

- Sądząc po imprezach, w których bierzecie udział, nie jest aż tak źle. - Tom zawahał się na moment. - Jeanette wspomniała mi, że nie wiem o pewnych rzeczach, że ukrywacie przede mną coś, co by mi wyjaśniło wasze podejście. Czy chodzi o dziadka?

- Prawie doprowadził nas do ruiny, a nasza reputacja została pogrzebana. To dlatego mama tak się stara, by ludzie postrzegali nas inaczej.

- Aha. Zaczynam rozumieć.

- To może jej trochę odpuścisz?

- Pod warunkiem, że i wy trochę nam odpuścicie. Kocham Jeanette. Zamierzam się z nią ożenić, jeśli mnie zechce.

- Tom, nie rób tego. Złamiesz matce serce.

- Tylko wtedy, jeśli nie spróbuje lepiej poznać Jeanette. Bo w takim przypadku nasze drogi się rozdziela. Przykro mi, że dziadek tak się zachował, ale to dawne dzieje i mnie w żaden sposób nie dotyczą. Ludzie już dawno o wszystkim zapomnieli. Nigdy nie usłyszałem na ten temat choćby słowa.

- Ukrywaliśmy to przed tobą i twoimi siostrami, chcieliśmy, byście mieli szczęśliwe dzieciństwo, byli dumni z waszego dziedzictwa. Duża w tym zasługa mamy, bo zdecydowała się za mnie wyjść, a naprawdę bardzo ryzykowała.

- Tato, zawsze byłem z ciebie dumny. Czasami się nie zgadzamy i nie zamierzam dostosować mojego życia do twoich oczekiwań, ale to nie zmienia moich uczuć do ciebie.

Ojciec znużonym gestem wskazał na pokój.

- To wszystko powinno przypaść tobie.

- To nie jest mi potrzebne - miękko powiedział Tom. - Mam już wszystko, czego chcę. Pracę, która daje mi satysfakcję, kobietę, którą kocham.

- Nie zmienisz zdania?

- Nie. Odpowiada mi moje życie. Spróbuj to zrozumieć.

- Spróbuję - odparł głucho. - Wracaj na przyjęcie. Za chwilę podadzą kolację. Powiedz mamie, że zaraz przyjdę.

- Tato, przepraszam, jeśli zrobiłem ci przykrość.

- Nie przepraszaj. Kto jak kto, ale akurat ja dobrze wiem, że człowiek musi wybrać to, co mu najbardziej odpowiada. Przez całe życie starałem się, by nie pójść drogą mojego ojca.

Tom zawahał się.

- Jak się czujesz?

- Bywałem w gorszych sytuacjach - odparł z niewesołym uśmiechem. - Idź już. Ja zaraz wracam.

Tom był już przy drzwiach, gdy zatrzymał go głos ojca.

- Synu?

- Tak?

- Podoba mi się twoja dziewczyna, chcę, żebyś to wiedział. Liczyłem, że poznasz kogoś z Charlestonu, może przy naszej pomocy, ale decyzja należy do ciebie. Jeanette ma charakter. Jeśli się pobierzecie, to mam nadzieję, że będziecie z sobą tacy szczęśliwi jak ja i twoja mama.

Gdy wyszedł, ujrzał pośpiesznie oddalającą się Jeanette. Dogonił ją.

- Słyszałaś, prawda?

- Nie podsłuchiwałam. Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza i usłyszałam wasze głosy.

- Przepraszam za niektóre rzeczy, które ojciec powiedział. - Uśmiechnął się. - Słyszałaś, że mu się podobaś?

- Tak. To dla mnie wiele znaczy, bo zdaję sobie sprawę, jak trudno było mu to powiedzieć. - Rozjaśniła się w uśmiechu. - Teraz muszę jeszcze przekonać do siebie twoją matkę.

- Może innym razem? - zaproponował, wpatrując się w nią przenikliwie. - Może się już ulotnimy? Straszny tu tłum.

Chętnie by na to poszła, lecz dobre maniery zwyciężyły. Zostali więc na kolacji i wcale tego nie żalowali. Na starannie nakrytym stole pyszniły się srebra i kryształy, wśród zielonych gałązek wesoło migotały wysmukłe białe świece, a doskonała jagnięcina, czekoladowy deser i wyborne wino wprawiły zebranych we wspaniałe humory. Jadalnia rozbrzmiewała wesołym gwarem, a gospodarze starali się włączyć Jeanette w rozmowę.

- Może teraz się pożegnamy? - zapytał Tom, gdy szli do salonu na kawę. - Robi się późno, a skoro świt zaczynamy świętować.

- Czy mi się wydaje, że już nie możesz się tego doczekać?

- Żebyś wiedziała.

- Jak miło to słyszeć. - Rozpromieniła się. - No to chodźmy się pożegnać z twoją matką.

- Myślałam, że inauguracja tego waszego festiwalu odbyła się tydzień temu. - Clarisse McDonald popatrzyła na Toma, jakby przyłapała go na kłamstwie.

- Wtedy zaczęły się obchody - zaczął Tom.



- Będą trwały przez dwa tygodnie, to jedno z największych wydarzeń w roku - podjęła Jeanette, choć Tom znacząco szturchnął ją w bok. - Powinniście państwo przyjechać. Przez cały dzień będą otwarte kramiki, wystąpią chóry, całe miasto jest świątecznie przystrojone, wieczorem zapalają się światełka.

- Miło brzmi.

Ku swemu zaskoczeniu w jej głosie Jeanette nie słyszała drwiny czy szyderstwa.

- Naprawdę powinni państwo to zobaczyć - powtórzyła. - Tom włożył mnóstwo pracy, a nasza choinka wprost zapiera dech.

- Może przyjedziemy. - Popatrzyła na Toma. - Jeśli ci to nie przeszkadza?

- Skądże. Będziemy ma miejscu, znajdziecie nas.

- Jeszcze raz dziękuję za dzisiejszy wieczór - powiedziała Jeanette.

Pani McDonald zawahała się, jakby szukając odpowiednich słów.

- Cieszę się, że przyjechaliście. - Zabrzmiało to nieco sztywno, lecz szczerze. Pocałowała syna w policzek. - Powiem ojcu o festiwalu. Mam nadzieję, że jutro się zobaczymy.

- Dobranoc, mamó.

Kiedy już wyszli na zewnątrz, Jeanette odetchnęła z ulgą, a Tom rozluźnił krawat.

- Nie było tak źle, jak myślałam - przyznała.

- Moi starzy naprawdę się postarali. Ujęła go za rękę.

- Ja też. - Popatrzyła na niego uważnie. - Czy to prawda, co powiedziałeś ojcu, że chcesz się ze mną ożenić?

Uśmiechnął się.

- To też usłyszałaś.



- Nie szeptałeś mu tego do ucha. No więc?

- Taki mam plan, ale na pewno nie poproszę o twoją rękę na podjeździe pod domem rodziców. Znajdę bardziej romantyczną scenerię.

Jeanette wygięła usta w uśmiechu.

- Dobrze wiedzieć.

Jeanette na ochotnika pomogła udekorować „Sullivan's", z zapalem zabrała się do szykowania gwiazdkowej imprezy w spa, a potem, jakby jeszcze jej było mało, postanowiła urządzić przyjęcie w swoim nowym domu. Rozesłała zaproszenia, zaczęła szperać po książkach kucharskich, szukając inspiracji do menu, kupiła wielką choinkę do salonu. Tom pomógł jej ją ustawić, lecz wykręcił się od ubierania drzewka.

W poniedziałek Maddie wzięła ją na rozmowę. Usiadły z herbatą na klubowym patio.

- Jeanette, co się z tobą dzieje? Właśnie dostałam zaproszenie.

- Przyjdziecie całą rodziną, prawda?

- Oczywiście, ale czy trochę nie przesadzasz? Cały wolny czas poświęciłaś na dekorowanie restauracji Dany Sue, potem na naszą imprezę. Teraz robisz przyjęcie u siebie. Chcesz nadrobić stracony czas czy może testujesz Toma?

- No co ty? Czemu miałabym to robić?

- Ty mi na to odpowiedz.

Zamyśliła się. Chyba tak nie postępowała...

- Od kolacji u jego rodziców świetnie nam się układa. Zaczynam myśleć, że naprawdę może z tego coś być.

- A czy przypadkiem nie robisz tego wszystkiego, żeby zapełnić pustkę? - domyślnie rzekła Maddie. - Chcesz, by znowu było tak jak kiedyś.

Do tej pory nie widziała tego w ten sposób, lecz słowa Maddie otworzyły jej oczy. Tego przecież chciała: by święta były takie jak przed laty. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, więc szukała ucieczki w substytutach.

- Z rodzicami mam coraz lepsze układy, ale na temat świąt nie padło choćby słowo. Myślę, że nie dotarli jeszcze do tego etapu.

- A gdybyś tak zaprosiła ich do siebie na święta? W nowym miejscu, z dala od wspomnień będzie im łatwiej się odnaleźć. Wiesz, że też są zaproszeni na świąteczny obiad do „Sullivan's”.

- Spróbuję ich zaprosić.

- Jeśli odmówią, nie bierz tego do siebie. To będzie tylko znaczyło, że jeszcze się nie pogodzili z przeszłością.

- Zadzwoń do nich. Skoro udało się z rodzicami Toma i nawet przyjechali do nas na festiwal, może i z moimi pójdzie gładko. Zaraz to zrobię.

- Powodzenia! - zawołała za nią Maddie. - Tylko pamiętaj, że masz wokół siebie oddanych przyjaciół. Jesteśmy jak jedna wielka rodzina.

- Dzięki. - Poczowała łzy w oczach.

Maddie dobrze jej poradziła, choć nie powinna mieć wielkich nadziei, bo przecież chodzi o święta Bożego Narodzenia. Ale może się uda, może rodzice zrobią krok do przodu i wyrwą się z tego zakłętego kręgu bolesnych wspomnień. Wtedy i dla nich zaświta nadzieja.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Weszła do swego gabinetu i wybrała numer rodziców. Mama jak zwykle zdziwiła się, słysząc jej głos.

- Jeanette? To ty?

- Tak, mammo.

- Coś się stało?

- Nie, wszystko dobrze. Jak czuje się tata?

- Coraz lepiej. Te lekarstwa naprawdę działały cuda. Jest jak nowo narodzony. - Umilkła. - Nie, cofam to. Jest taki jak wtedy, kiedy za niego wyszłam.

- Bardzo się z tego cieszę. A ty, mammo? Wróciłaś do swojego trybu życia? - Podczas ostatniej rozmowy mama wspomniała, że planuje znów aktywniej działać w parafii, co Jeanette uznała za dobry znak.

- W środę byłam na spotkaniu w kościele.

- I jak było?

- Świetnie. Wreszcie miałam okazję, by pogadać ze znajomymi paniami. Nie widziałam się z nimi kilka miesięcy i przez ten czas niektóre zostały babciami. Było naprawdę miło, stęskniły się za mną. Obiecałam upiec czekoladowe ciasto z karmelową polewą na spotkanie po niedzielnej mszy.

- Super. Słyszę po głosie, że jesteś w dobrej formie.

- Tak, już dawno nie czułam się tak dobrze. Ale mów, co u ciebie. Co z tym twoim znajomym?

- Wszystko dobrze.

- A w pracy?

- Też. Mieliśmy gwiazdkową imprezę dla klientek, ja ją organizowałam. Udała się doskonale. Teraz szykuję imprezę u mnie, w Wigilię, właśnie dlatego dzwonię. Chciałam was zaprosić na święta do Serenity. W domu mam gościnną sypialnię, więc możecie zostać na kilka dni, poznać moich przyjaciół.

Cisza, która zapadła, była przykra, choć się jej spodziewała.

- Wiesz, że od śmierci Bena nie obchodzimy świąt - odezwała się wreszcie mama.

- Mamo, to stało się wiele lat temu. Mnie też bardzo Bena brakuje, ale na pewno by nie chciał, żebyśmy przekreślili święta. Tak bardzo je lubił. Powinniśmy spędzić je w rodzinnym gronie. W niczym nie będziesz musiała mi pomagać, wszystko już mam załatwione. Przyjaciele zaprosili nas na świąteczny obiad, więc nie trzeba będzie niczego szykować. Chciałabym, żebyście poznali moich znajomych. Tom też będzie, jego już znacie. Naprawdę bardzo mi zależy na takich rodzinnych świętach. Mama nadal milczała.

- Hm, porozmawiam z ojcem - powiedziała wreszcie. - Ale nie rób sobie byt wielkich nadziei.

- Powiedz mu, że to dla mnie bardzo ważne. - Urwała. - Jutro do ciebie zadzwonię. Porozmawiaj z nim wieczorem, a jutro do tego wrócimy.

- To naprawdę tak dużo dla ciebie znaczy?

- Tak. Odnalazłam tu swoje miejsce. Serenity to urocze miasteczko, a teraz jest świątecznie udekorowane i wygląda bajkowo. Spa jest fantastyczne, mój dom jest miły i przytulny, od ciebie nauczyłam się, jak to osiągnąć. Chciałabym, żebyście go zobaczyli, byśmy znów byli razem.

- Postaram się namówić ojca.

Jeanette odetchnęła z ulgą.

- Dzięki, mamó. Kocham cię.

- My ciebie też, córeczko. Wiem, że nie zawsze ci to okazywaliśmy, ale bardzo cię kochamy.

Te słowa to był najlepszy prezent, o jakim mogła marzyć. Nawet jeśli rodzice nie skorzystają z jej zaproszenia, te słowa zawsze będą dodawać jej nadziei. Może w końcu znów staną się rodziną.

Tomowi coraz bardziej udzielał się świąteczny nastrój. Może dzięki Jeanette, która cieszyła się jak dziecko, może dzięki mieszkańcom, którzy z utęsknieniem wypatrywali nadchodzących świąt. Sam złapał się na tym, że z przyjemnością przygląda się miejskiej choince na placu przed ratuszem i nuci pod nosem kolędy, wtórując melodiom puszczanym z głośników przed sklepem Ronniego.

Już miał wyjść z biura, gdy do gabinetu weszła Teresa, anonsując niezapowiedzianego gościa. Dobry humor Toma rozwiął się w jednej chwili, gdy usłyszał, że tym gościem jest Dwight Mitchell, potężny adwokat z Charlestonu.

- Co cię sprowadza do Serenity? - przywitał go z uprzejmym uśmiechem, wskazując fotel.

- Oczywiście ty. Uznałem, że jeszcze powinniśmy pogadać.

- Dziękuję, że poświęciłeś czas, by tu przyjechać, lecz wydaje mi się, że jasno wyłożyłem moje stanowisko - odparł, posepniejąc. - Nie interesuje mnie praca w kancelarii.

Dwight uśmiechnął się.

- Wystarczająco jasno. Przyjechałem w innej sprawie. Szukamy do władz Charlestonu człowieka od finansów, a wiem, że już coś takiego robiłeś. Teraz zarządzasz miastem, więc zdobywasz nowe kwalifikacje. Jesteś też specjalistą od planowania rozwoju miast i odniosłeś wiele

sukcesów na tym polu w poprzednich miejscach. Słyszę, że jesteś bardzo oddany pracy, a właśnie ktoś taki jest nam potrzebny. Według mnie byłbyś idealnym kandydatem, ale najpierw chciałem upewnić się, czy byłbyś tym zainteresowany. Miałbyś pod sobą finanse, ale nie tylko. Zamierzamy stworzyć specjalny zespół, który opracuje perspektywiczny plan rozwoju całej aglomeracji. Pokierowałbyś tym zespołem. Czytałem twój artykuł o przyjaznej przestrzeni miejskiej i nie tylko ja jestem pod wielkim wrażeniem. To byłaby dodatkowa praca, obliczona na dziesiątki lat. Marzymy o tym, by Charleston stał się najwspanialszym miejscem na naszym globie - zakończył z emfazą.

Tom nie wierzył własnym uszom. Niespodziewanie spada mu z nieba propozycja, o jakiej mógł tylko marzyć. Byłby odpowiedzialny za finanse wielkiego miasta, a do tego zyskałby szansę zrealizowania swoich koncepcji urbanistycznych. Wprost nie do uwierzenia!

Przez mgnienie pomyślał, że Jeanette będzie temu przeciwna, lecz to nie ostudziło jego zapału. Zresztą to jeszcze nic pewnego.

- Jestem zainteresowany.

- Cieszę się.

- To miał być kolejny krok w mojej karierze, ale twoja oferta sięga znacznie głębiej.

- Świetnie to rozumiem. Mógłbyś pracę zawodową połączyć z pracą naukową na naszym uniwersytecie, nie będzie żadnej kolizji interesów. Twoja kariera bardzo przyspieszy, a im szybciej, tym lepiej, nie uważasz? Serenity to miłe miasteczko, ale prawdziwe życie toczy się w metropolii.

Tom zawsze miał identyczne przeświadczenie. Oczywiście fakt, że Dwight tu przyjechał, jeszcze niczego nie przesądzał, ale powinien spróbować. Zrobić to nie tylko dla siebie, lecz również dla Jeanette i ich

wspólnej przyszłości. Skrzywił się, uzmysławiając sobie, że usprawiedliwia czyn, który jej z pewnością się nie spodoba.

- Muszę cię o coś zapytać - rzekł tknięty nagłą myślą. - Czy mój ojciec maczał w tym palce?

- Nie. Chyba nawet nie wie, że rozpoczęliśmy poszukiwania. Staramy się zachować dyskrecję. John Davis odchodzi w lutym, więc nie zostało dużo czasu. Ty będziesz moim najpoważniejszym kandydatem.

- Dziękuję. W takim razie weź mnie pod uwagę.

- No to od razu umówmy się na rozmowę kwalifikacyjną. Może pojutrze? Dasz radę przyjechać do Charlestonu? Wiem, że to nie jest sprzyjająca pora, ale wolałbym nie odkładać tego na po świętach. Oczywiście rozmowa dotyczyć będzie stanowiska szefa od finansów, bo sprawa zespołu planującego rozwój miasta jest zupełnie inną bajką. Będzie to ciało społeczne, choć działające pod egidą miasta. To jak, przyjedziesz?

Tom spojrział na kalendarz. Pojutrze przyjeżdżają rodzice Jeanette, za dwa dni Boże Narodzenie. Zaprosiła go na kolację. Powinien się wyrobić.

- O której?

- Powiedzmy o drugiej. Będziesz pierwszy, z którym się spotkamy, więc postaraj się wyrzucić dobre wrażenie, żebyśmy szybko doprowadzili sprawę do końca. Wtedy miałbyś wystarczająco dużo czasu, by przygotować swego następcę.

Druga, czyli byłby na styk. Rozmowa nie potrwa dłużej jak godzinę, góra dwie. Zdaży wrócić na kolację. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, razem z Jeanette zastanowią się nad decyzją. Nie ma co martwić się tym na zapas.

- Przyjadę. I jeszcze raz dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Bił się z myślami, czy powiedzieć Jeanette o tej propozycji, lecz ostatecznie zdecydował, że jeszcze się z tym wstrzyma. Wiedział, że nie



będzie zadowolona. Nie chciał psuć jej humoru, zwłaszcza że to jeszcze palcem na wodzie pisane.

Miał świadomość, że na siłę szuka usprawiedliwienia, ale sam też potrzebował czasu, żeby się oswoić. Potrzebował też argumentów, by dowieść Jeanette, że przyjęcie nowej posady będzie korzystne dla nich obojga.

Westchnął. Wiedział, że sam siebie oszukuje. Jeanette się wścieknie. I poczuje się głęboko rozczarowana i zraniona, jeśli o wszystkim dowie się po fakcie.

Z drugiej strony, przecież nie będzie tego odkładał na wieczne czasy. To sprawa kilku dni. Gdy wszystko się wyklaruje, przedstawi jej sytuację i postara się przekonać ją, by się zgodziła.

Co chwila patrzyła w okno, wyglądając rodziców.

To prawdziwy cud, że zgodzili się spędzić z nią święta. Żałowała, że w takiej chwili nie ma przy niej Toma, ale cieszyła się, że przyjedzie do nich na kolację. Jutro i pojutrze też będą razem.

Upewniła się, że w domu nie pozostał najmniejszy pyłek, lampki migotały na choince, a rudy kot, którego przygarnęła kilka dni temu, nie stracił kolejnej bombki. Kot popatrzył na nią i miauknął przeciągle. Podszedł i otarł się o nią, a potem polizał jej rękę szorstkim języczkiem i mruczając, umościł się na poduszce na kanapie. Jeanette uśmiechnęła się. Zawsze chciała mieć swojego zwierzaka i teraz to marzenie wreszcie się spełniło. Może to znak, że jej życie wkroczyło na nowe tory i teraz już będzie tylko lepiej.

Na podjeździe spostrzegła samochód rodziców. Pobiegnęła ich przywitać.



Z radością usłyszała, że wesoło się przekomarzają. Naprawdę się zmienili, znów byli tacy jak kiedyś. Promieniała, oprowadzając ich po domu, a im wszystko się podobało, nawet granatowa sypialnia.

- To Tom wybrał ten kolor. Miałam wątpliwości, ale wyszło całkiem nieźle.

- Czy to coś poważnego? - Ojciec popatrzył na nią badawczo. - Skoro pozwalasz mu wybierać kolor farby, to chyba tak? Mam go wypytać, jakie ma zamiary?

- No co ty! Ale jak na razie dobrze nam się układa. Przyjedzie do nas na kolację. - Zmieniła temat. - Jak już się rozpakujecie, przyjdźcie do kuchni. Mam kawę, herbatę i ciasteczka. Upiekłam według przepisu mamy.

- Ja już tam idę! - oznajmił ojciec.

- Ty łakomczuchu! - westchnęła mama. - On nigdy nie może się oprzeć tym ciasteczkom, zwłaszcza prosto z pieca.

W kuchni Jeanette nalała ojcu kawę.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że przyjechaliście - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Powinniśmy to byli zrobić już dawno temu - odrzekł z żalem. - Zmarnowaliśmy tyle czasu.

- Ale teraz jesteście. - Cmoknęła go w policzek.

- I to się liczy.

Skosztował ciastko, uśmiechnął się.

- Po mnie jesteś bystra, ale do pieczenia masz smykałkę po mamie.

- Uważaj, żeby mama tego nie usłyszała - powiedziała ze śmiechem. - Ona jest tak samo bystra jak ty.

- To prawda. - Wyraźnie spochmurniał. - Dziękuję niebiosom, że mi ją zesłały i że ode mnie nie odeszła. Nie było jej lekko, tobie również.

- Obie cię kochamy.

I w gruncie rzeczy tylko to było ważne.

Minęła szósta, lecz Tom wciąż nie dał znaku życia. Jeanette coraz bardziej się denerwowała, wreszcie zadzwoniła do Teresy. Okazało się, że po południu pojechał na spotkanie do Charlestonu. Komórkę odebrał nie od razu, w tle słychać było zduszony gwar.

- Gdzie jesteś?

- Miałem spotkanie w Charlestonie, przeciągnęło się, a teraz poszliśmy do baru na drinka. Nie spostrzegłem, że zrobiło się tak późno.

- Domyślam się. Skoro piłeś, nie powinieneś siadać za kierownicą. Zostań u rodziców.

- Ale twoi rodzice...

- Jutro się z nimi zobaczysz, jeśli zdołasz się wyrwać z Charlestonu.

- No tak, ale chciałem ci opowiedzieć, co się wydarzyło. - Gdy Jeanette czekała w milczeniu, spytał zaniepokojony: - Jesteś tam?

- Tak.

- Zaproponowano mi posadę. Dokładnie taką, o jakiej marzyłem. Nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko. Chcę jak najszybciej ci wszystko opowiedzieć.

- To posada w Charlestonie?

- Tak.

- Przyjąłeś ją? Nie uzgadniając tego ze mną?

- Nie do końca. Najpierw chcę omówić to z tobą, dopiero wtedy dam im odpowiedź. To okazja, o jakiej zawsze marzyłem.

Czytała między wierszami. Tom zamierza się zgodzić.

- No to gratuluję-wydusiła przez zaciśnięte gardło. Jej najczarniejsze obawy właśnie się spełniają. Znow jest na drugim miejscu. - Możesz sobie darować jutrzejsze przyjęcie. Szkoda na to twojego czasu.

- Zaraz, poczekaj. Odwołujesz zaproszenie? - zdumiał się.

- Tak. Nie przychodź.

- Bo pojechałem na rozmowę w sprawie pracy? Do diabła, czułem, że powinienem ci najpierw powiedzieć, ale chciałem poznać konkrety, żeby przedstawić ci dokładny obraz. To wspaniała perspektywa dla nas obojga.

- Znasz moje podejście. Gdybyś powiedział mi wcześniej, może mielibyśmy o czym rozmawiać. Nie zrobiłeś tego, czyli moje zdanie się dla ciebie nie liczy.

- Mylisz się, Jeanette. Bardzo cenię twoją opinię.

- Ale sam podjąłeś decyzję. Tom, życzę ci jak najlepiej, ale ja mam dość.

Rozłączyła się, nim zdążył odpowiedzieć. Zmuszała się do jedzenia, choć z trudem hamowała łzy. Na szczęście rodzice nie komentowali nieobecności Toma, a po kolacji mama przegoniła ją z kuchni.

- Może odbierz wreszcie ten telefon.

- Nie mam zamiaru. - Uścisnęła mamę. - Dzięki, że o nic nie pytaliście.

- Boję się tylko, że tata nie będzie taki dyskretny, gdy wpadnie na Toma.

- Powiedz mu, że może mu przyłożyć.

- Na pewno nie będę podsuwać mu takich pomysłów, bo z radością dopadnie tego, kto zrobił ci przykrość.

- To nie to. Po prostu jestem wściekła.

Mama poklepała ją po dłoni.

- Czasami te dwie rzeczy bardzo trudno odróżnić.

W Boże Narodzenie Tom przyszedł do „Sullivan's", choć nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Dana Sue zadzwoniła, ponawiając zaproszenie, również dla jego rodziców, lecz Jeanette nadal nie chciała z nim rozmawiać. A dzisiaj z pewnością tu będzie.

Pluł sobie w brodę, że tak beznadziejnie pograł. Czemu nie usłuchał intuicji, zignorował przeczucia? Może pierścionek, który miał w kieszeni, ostudzi złość Jeanette? Może jego rodzice wywrą na nią zbawienny wpływ? Ostatnio lepiej się dogadują; sam fakt, że przyjadą tu dzisiaj, świadczy o tym wymownie. Może Jeanette uwierzy, że oni też nie staną na drodze do ich szczęścia?

Największym problemem jest praca. Gdyby z niej zrezygnował... Jednak nie mógł się na to zdobyć. To będzie ostatnia karta, którą rzuci na szalę.

- Co ty tu robisz?

Zmroził go jej lodowaty ton.

- Dana Sue nalegała, bym przyszedł. - Nie mógł oderwać od niej wzroku. Widział, że nadal jest zła, lecz sińce pod oczami były aż nadto wymowne. Też źle sypiała.

- Skoro tak, to zrób, jak uważasz, lecz trzymaj się ode mnie z daleka i nie psuj świąt innym.

- Absolutnie nie mam takiego zamiaru. Liczyłem, że zamienię z tobą parę słów na osobności.

- Po co? - spytała nieufnie.

- Mam dla ciebie prezent. Stropiła się.

- Ja dla ciebie nic nie mam. Miałam, ale wczoraj zwróciłam go do sklepu.

- Już dostałem od ciebie prezent. Zmieniłaś moje życie, wniosłaś w nie coś, czego nigdy bym się nie spodziewał. Wiem, że schrzaniłem sprawę, ale uwierz mi, naprawdę chciałem to z tobą omówić zaraz po powrocie do Serenity.

- Może nie przyklepałeś jeszcze tej oferty, ale decyzję już podjąłeś.

- Chciałem przyklepać - uściślił - lecz nie zrobiłem tego. Jesteś dla mnie ważniejsza od posady.

- To tylko słowa. Liczą się czyny.

- A co powiesz na to? - Wyjął z kieszeni pakuneczek ozdobiony czerwoną kokardą. - Czy to cię przekona?

Cofnęła się o krok, nie odrywała oczu od jakże nęcącej paczuszki.

- Tom?

- Tak, Jeanette - powiedział z powagą.

- Co to ma znaczyć? Zaśmiał się.

- Gdy otworzysz, sama zrozumiesz.

- Nadal chcesz pracować w Charlestonie? - Zwęziła oczy.

- Chcę, ale to podlega negocjacjom.

- Naprawdę? - Zamrugwała.

- Jesteś dla mnie ważniejsza niż ta posada. Wiem, że źle zrobiłem, nie mówiąc ci zawczasu, ale to działo się tak szybko. Przepraszam cię.

- Jeśli mamy być razem, musimy wspólnie podejmować decyzje.

- Wiem. A jeśli uznasz, że zmiana pracy jest wykluczona, zrezygnuję z niej.

- Przecież to twoje marzenie - powiedziała z rezygnacją. - Prawda?

- Tak.

- Więc jak mogłabym ci to popsuć?

- Ty znaczysz dla mnie więcej. -Uniósł jej brodę, by na niego popatrzyła. - Jeanette, taka jest prawda. Uwierz mi.

- No dobrze, a co z twoimi rodzicami? Niby jest już trochę lepiej, ale...

- Zaraz powinni tu być. Dana Sue ich zaprosiła, sam bym się na to nie zdobył. - Popatrzył na nią żarliwie. - Zobaczysz, że nam się uda. Wierzę w to, Jeanette.

- Nie wyjadę z Serenity.

- Nie ma takiej potrzeby. Coś się wymyśli. Mogę dojeżdżać, możemy część czasu spędzać tu, część w domku gościnnym.

- Wszystko już sobie obmyśliłeś.

- Staram się. Chciałbym spełnić wszystkie twoje życzenia, tylko powiedz, czego pragniesz.

- Wszystkiego. Ciebie, Serenity, mojego domu, pracy, która da ci satysfakcję. - Westchnęła. - Rozważmy te dojazdy.

- Dzięki. Coś jeszcze chcesz ustalić, nim przyjmiesz moje oświadczyzny?

- Nie będziesz w kółko marudzić, że nie lubisz Bożego Narodzenia.

- Załatwione. To co, otworzysz prezent?

- Jeszcze nie. - Popatrzyła na niego figlarnie. - Chyba powinieneś porozmawiać z moim tatą.

- Mam go poprosić o błogosławieństwo?

- Nie, pogadać z osobą, która właśnie odkryła świąteczne przesłanie. Jest tam, przebrany za Mikołaja. - Widząc jego minę, wyjaśniła: - Opierał się, ale nie miał wyjścia. Mary Vaughn i Sonny znów do siebie wrócili i Howard zabrał ich i wnuczkę do Aspen. Ktoś musiał go zastąpić. Maddie, Helen i Dana Sue dopadły mojego ojca i tak trajkotały mu nad uchem, że szybko się zgodził.

Popatrzyła na ojca otoczonego wianuszkami dzieciaków. Dwójka studentów, pewnie Tyler i Annie, o których tyle słyszała, ustawiali je w kolejce. Tyle że w ogóle nie odzywali się do siebie.

- Tyler i Annie, prawda?

- Nie mamy pojęcia, co się stało, że tak wrogo odnoszą się do siebie.

- Może magia świąt na nich też podziała.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. Popatrz na swojego tatę. Jest zachwycony.

- Zawsze miał miękkie serce dla dzieci i uwielbiał święta. -

Uśmiechnęła się. - Powinieneś mu podziękować, bo ty byłeś następnym kandydatem na Mikołaja.

- Zaraz mu dziękuję. - Odgarnął z jej twarzy pasemko włosów. - Chyba mamy okazję do świętowania.

Wspięła się na palce i pocałowała go.

- Już ci się udzielił świąteczny nastrój? Tom roześmiał się.

- Naprawdę coś czuję.

- Uważaj. To uroczysta kolacja, wszyscy na nas patrzą. Nie mówiąc już o tym, że zaraz tu wejdą twoi rodzice. Nie chcę, żeby nas przyłapali na całowaniu.

- W takim razie później.

- Dużo później. Wesołych świąt!

- Najweselszych, kochanie!

